KWESTYA CHIŃSKA
w oświetleniu ekonomiczno-społecznem.

„Na wschodzie sięgając morza, na zachodzie krainy piasków latających, ku krańcom dobiegając północy i południa — sława Niebieskiego Państwa i jego potęga napełniają świat cały. Juj przesyła ciemnobarwny klejnot i zawiadamia o ukończeniu swego dzieła". Tak kończy się księga *Juj-kung*, zawierająca pierwszy opis geograficzny Chin, sporządzony za panowania cesarza *Jau* w roku 2350 przed erą chrześcijańską. A zawiera ta księga nie tylko opis krajów, które zwiedził wysłannik cesarski, lecz zarazem rady, jak należałoby sprawować rządy tego obejmującego „cały świat" państwa, jak ujarzmić rzeki, jakie sporządzić drogi, jakie wznieść budowle. Legion komentatorów mozolił się nad tą księgą klasyczną, i znajomość jej dziś, po upływie tysiącoleci, jest obowiązującą dla każdego męża uczonego w państwie Niebieskiem. Świat zaś zachodni, świat „barbarzyńców o rudej szczecinie", dowiedział się o księdze tej dopiero w roku 1777, kiedy ojciec jezuita *Moyria de Maillac* podał ją w przekładzie francuskim. Lecz dopiero w sto lat potem inny „bar-

barzyńca", który szedł osobiście szlakami Juj, dał nam autentyczną interpretacyę prastarej księgi [1]). Był nim baron niemiecki *Ferdinand von Richthofen*. Radami, zawartemi w dziele jego, kierowali się dyplomaci niemieccy, kiedy wtargnęli do prowincyi *Szan-tung* w roku 1897, a od zajęcia miasteczka wybrzeżnego *Kian-czan*, które jeden z majtków niemieckich krótko i węzłowato „gnojówką" nazwał, zaczęła się najnowsza era w historyi państwa Niebieskiego, a może i świata. Zadaniem tych kartek ma być ułatwić czytelnikowi zrozumienie wypadków historycznych, które w danej chwili odgrywają się na dalekim zachodzie.

Messer Marco Millione nazwali kiedyś dowcipnisie włoscy swego rodaka *Marco Polo* zato, że w opisie swej podróży po Chinach (1272—1296 roku) szastał milionowemi cyframi. Dziś wszakże wiemy, że rzeczywiście, mówiąc o tym kraju, trzeba używać miary, często przekraczającej miernik, używany w stosunkach europejskich.— Już co do obszaru należy pamiętać, że cała zachodnia Europa pomieści się wygodnie w państwie Niebieskiem. Dziś liczą bowiem na Europę prócz Rosyi około 4.400.000 kilometrów kwadratowych i 309 milionów ludzi, Chiny zajmują obszar 5.396.000 km. kw., a ludność obliczają na 360—400 milionów.

Richthofen nauczył nas rozróżniać dwie zasadniczo różniące się od siebie części państwa, rozdzielone pasmami gór wschodniego, czyli chińskiego *Kuen-luń*. Północna część posiada klimat kontynentalny, o dwu jasno oddzielonych porach roku, południowa — klimat o zmianach więcej skomplikowanych; północna po największej części posiada glebę urodzajną, jednostajną niemal na całym obszarze, w południowej tłusta gleba alluwialna zapełnia doliny rzek, przerzynające pasma skalistych gór. Północna część to kraina pszenicy, bawełny i roślin strąkowych, południowa to kraina uprawy ryżu, herbaty, trzciny cukrowej, drzewa oliwkowego. Pszenica i rośliny strączkowe są jeszcze uprawne, lecz w znacznie mniejszych rozmiarach. Inny jeszcze kontrast daje się zauważyć, mianowicie pod względem dróg komunikacyjnych: północ — to kraj dróg wozowych, południe — to kraj ścieżek pieszych. Na północy muł, koń, osieł i wielbląd,—pierwsze dwa, jako zwierzęta pociągowe, ostatnie, jako juczne — służą do transportu ludzi i ciężarów; na południu muł i koń bywają używane, jako zwierzęta juczne, osieł i wielbląd są

---

[1]) China. Ergebnisse eigener Reisen und darauf gegründeter Studien. Berlin 1881—1884.

nieznane, głównym atoli czynnikiem w komunikacyi jest siła robocza ludzka. Tak samo różnica jaskrawa zachodzi co do spławności rzek. Prawie całą część południową, z wyjątkiem tylko najbardziej oddalonych krajów poludniowo-zachodnich, pokrywa sieć rzek spławnych, którą uzupełniono kanałami; na północy zachodnia część jest pozbawioną rzek, wschodnia posiada rzeki trudne dla spławu, gdyż przepełnione mieliznami. Dopiero przekopanie wielkiego kanału, zwanego cesarskim, uprzystępniło równinę zachodnią dla żeglugi.

Pod względem politycznym Chiny właściwe są podzielone na 18 prowincyi, i niezbędnym będzie krótki przegląd tych prowincyi pod względem charakteryzujących je warunków ekonomicznnch.

Na południe od zwrotnika, postępując od wybrzeży morskich ku zachodowi, natrafiamy prowincye: *Kuang-Tung*, *Kuang-Si*, *Jui-Nan*. Kuang-Si obejmuje środkowy bieg rzeki „Zachodniej", *Ksi-Kiang*, Kuang-Tung obejmuje jej ujście, Jui-Nan źródła. Najważniejsza z nich, położona nad morzem Kuang-Tung posiada nadto ważną arteryę komunikacyjną w rzece Pekang. Charakter przeważnie górski, lecz nader żyzna gleba dolin rzecznych zapewnia pomimo to dobrobyt ludności. Prócz wielu roślin podzwrotnikowych uprawiają tu trzcinę cukrową, i prawie całe Chiny stąd zaopatrują się w cukier. Ludność należy do kilku szczepów etnicznych. Najbardziej posuniętym kulturalnie jest szczep, zamieszkujący miasto *Kuang-Tung* czyli, jak ochrzcili je europejczycy, *Kanton*. Tu rozwinęły się w stopniu najwyższym rękodzieła, i wszystkie owe sprzęty misterne, wzbudzające podziw dla artyzmu chińskiego, stąd pochodzą. Tu też europejczycy najpierw zdołali zawiązać stosunki stałe z ludnością Chin, i u ujścia Ksi-Kiangu są położone *Makao*, dawna kolonia portugalska, i posiadłość angielska *Hong-Kong*, a nieco dalej ku północy leży miasto pocztowe *Szan-Tu* czyli *Swantau*, otwarte oddawna dla handlu europejskiego.

Sąsiednie zaraz prowincye *Kuang-Si*, *Jui-Nan* i położona od nich ku północy *Kuei-Czu* mają charakter przeważnie górzysty, a w górach szczepy tubylcze zachowały zupełną prawie niezależność i zaledwie formalnie uznają zwierzchność chińską. Tylko w dolinach rzecznych gdzieniegdzie osiedli koloniści rolnicy chińscy. Są to siedliska wiecznych buntów, rozruchów i krwawych wojen religijnych. Góry obfitują w węgiel i metale — żelazo, miedź, rtęć; lecz o eksploatacyi tych bogactw na długo jeszcze nie może być mowy.

Na zachód od ostatnio wymienionej leży prowincya *Hunan*. Jakkolwiek przeważa i tu charakter górzysty dzięki licznym rze-

kom, należącym do systemu rzecznego *Hsiang-Kiang'u* i *Juen-Kiang'u*, kraj ten oddawna stał się dostępnym dla cywilizacyi chińskiej. W żyznych dolinach kwitnie uprawa krzewu herbacianego, na stokach gór uprawa bawełny, a prócz tego oddawna są tu eksploatowane bogate pokłady węgla. Mamy tu jedno z prastarych siedlisk kultury, i miasto *Hsiang-Tau* było do niedawna siedliskiem handlu pomiędzy środkowymi a północnymi krajami Chin; dopiero od zaprowadzenia żeglugi parowej na *Jang-Tse* handel ten podupadł. Ludność tutejsza dostarcza głównego kontyngentu dla armii chińskiej.

Z tą prowincyą handlową graniczy przemysłowa *Kiang-Si*, przecięta rzeką *Kan-Kiang*, odnogą *Jang-Tse*. Wyrób porcelany i papieru zatrudniają dziesiątki tysięcy rąk. Rola jest mało urodzajną, i tylko uprawa herbaty daje zyski. Jest to siedlisko owych sławnych, obrotnych handlarzy chińskich, którzy, stąd wychodząc, opanowali cały handel detaliczny wzdłuż głównej arteryi komunikacyjnej rzeki *Jang-Tse*.

Dalej ku wschodowi są położone prowincye przybrzeżne *Fukien* i *Czekiang*, obydwie nader żyzne, przecięte licznemi rzekami spławnemi, obydwie o starej kulturze. Uprawa jedwabników przybrała tu rozmiary największe nie tylko w Chinach, lecz w świecie całym, a prócz tego uprawiane są olbrzymie ilości herbaty i ryżu.

Wszystkie te prowincye leżą ku południowi od rzeki „Błękitnej" czyli *Jang-tse-kiang*, wzdłuż niej zaś są położone *Sz-czuan*, *Hupei*, *Ngan-Huei* i *Kiang-Su*. W pierwszych dwu przeważa charakter górzysty, lecz wzdłuż rzeki głównej i jej odnóg rozsiadły się niezliczone osady pracowitej rolniczej ludności. Prowincye te mogą zaopatrzyć z własnych plonów wszystkie potrzeby swej ludności, gdyż z wyjątkiem bawełny uprawiane tu są wszystkie rośliny, na stokach górskich znakomite pastwiska pozwalają na wysoki rozwój hodowli trzód, góry zawierają węgiel, żelazo, miedź. W *Hupci*, w miejscu, gdzie z północy płynie *Hsiang* ku rzece Błękitnej, a z południa *Han*, rozsiadło się miasto *Hanku*, wielkie centrum handlu Chin środkowych, dokąd spławiają się miliony pudów towarów, rozchodząc się znów stąd na cztery strony świata. Lecz nie tylko, jako siedlisko handlu, prowincya ta posiada znaczenie ogromne, odznacza się ona również bogactwem przyrodzonem, a ludność przeważnie nawet zajęta jest uprawą roli, pozostawiając handel przybyszom. — *Ngan-Huei* i *Kiang-Su* również są prowincyami rolniczemi, lecz tu człowiek musiał dopiero pracą wiekową wydrzeć grunt uprawny rzece olbrzymiej, ujmując w karby jej wody, przekopując kanały i budu-

jąc tamy. Tu kultura Chin dobiega szczytu, i ludność rozsiadła się najgęściej. Na żyznym ile uprawiają tu morwę dla hodowli jedwabników, bawełnę i ryż w olbrzymich ilościach. Niegdyś było tu siedlisko władzy centralnej, cesarz rezydował w *Nan-King* („południowa stolica") lub w *Hung-czu-Fu*. Później zaś powstało tu jedno z najważniejszych miast portowych, *Szang-Hai*, główne siedlisko handlu zewnętrznego. W pośrodku pomiędzy temi trzema leży miasto *Su-Czu-Fu*, niegdyś siedlisko uczonych i bogaczy chińskich, centrum kultury i zbytku, lecz zburzone podczas rokoszu taipingów. Ludność w całym kraju wskutek łatwego dostępu dolin rzecznych uległa radykalnemu zmieszaniu i uważana bywa za typ nowoczesnego Chińczyka.

W północnej części najdalej wysuniętą ku zachodowi jest prowincya *Kan-Su*. Jest to kraj górzysty, pozbawiony zupełnie rzek spławnych. Tędy toczyły się zawsze nawałnice najazdów z Azyi centralnej, zalewając właściwe Chiny. Kraj jest względnie biedny, i tylko uprawa tytuniu i maku dla wyrobu opium daje znaczniejsze dochody. Sąsiednia natomiast prowincya *Szen-Si* odznacza się nadzwyczajną urodzajnością — kraj pszenicy, śpichlerz Chin. Tu leży prastara rezydencya *Hsi-Ngan-Fu*, prawdopodobnie identyczne z *Sera metropolis* Ptolomeusza, i tędy szedł zapewne niegdyś wielki szlak, łączący zachód ze wschodem, tędy szli posłowie od hord tatarskich do Bogdychana, tędy pędzono jeńców i branki z nad brzegów Wołgi, Dniestru i Dniepru w wieku trzynastym. Dziś ludność przedstawia mieszaninę żywiołów perskich, tatarskich i wschodnio-tureckich. Z *Szen-Si* sąsiaduje prowincya *Honan*, obfitująca w pszenicę i bawełnę, lecz pozbawiona, jak dotąd, dróg komunikacyjnych. Ludność nader gęsta często stąd odbywa wędrówki ku wschodowi; to kraj, dostarczający wyrobników, *kuli*. Dalej ku wschodowi, u ujścia *Hang-Ho*, „Żółtej" rzeki, obejmując wielki półwysep, zamykający z południa zatokę Peczylijską, leży prowincya *Szang-Tung*. Najważniejszem bogactwem tej krainy zdają się być rozległe pokłady węgla kamiennego i rudy żelaznej. Historycznie jest to ojczyzna *Konfucyusza*, którego potomkowie dotąd tu żyją. Bogactwem żelaza i węgla odznacza się też prowincya *Szan-Si*, na południu i zachodzie ograniczona brzegami *Hang-Ho*. Tu już od tysięcy lat rozwinął się prymitywny przemysł żelazny, zaopatrujący całą północ w lemiesze i miecze. Pokłady zaś węgla należą do najbogatszych w świecie. Ludność odznacza się wybitną inteligencyą i obrotnością. Wielkie przedsiębiorstwa handlowe i bankowe w całych Chinach są w ręku mieszkańców Szan-Si.

Osiemnasta prowincya to siedziba panującej obecnie dynastyi mongolskiej, która tu założyła rezydencyę północną *Pe-King.* Prowincya sama, zwana *Pe-Czyli,* jest ubogą, i tylko dzięki stolicy i łatwej komunikacyi z południem rozwinął się tu znaczny handel.

Do właściwych Chin zaliczają niekiedy jeszcze prowincyę *Szeng-King,* pomijamy ją tu wszakże, gdyż przyrodzone i społeczne cechy *Mandżuryi,* której jest częścią, jak również *Mongolii,* są znane powszechnie. Ostatnio wymienione kraje oraz *Tybet,* dotąd prawie nieznany Europejczykom, i kilka państewek na południu stanowią tak zwane „kraje lennicze", opłacające haracz i uznające zwierzchnictwo Chin, lecz pozostające poza tem w związku bardzo luźnym do państwa i rządu centralnego.

Oto kilka cyfr o obszarze i zaludnieniu tych prowincyi, jakie podają władze chińskie:

	Obszaru w kilometrach kwadratowych	Średnia ludność na kil. □			
Kuang-Tung	295,000	113	Kansu	325,000	18
Kuangsi	200,000	26	Szensi	195,000	43
Juinan	380,000	31	Honan	216,000	97
Kuei-czu	174.000	44	Szan-tung	145,000	172
Hunan	216,000	97	Szan-si	212,000	54
Kiang-si	180,000	137	Pe-czyli	95,000	124
Fukien	120,000	170	Szeng-King	1.426	0,7
Cze-Kiang	95,000	124			
Sz-Czuan	560,000	80	Chiny właściwe	5,396,000	
Hupei	185,000	162	Mandżurya	942,000	8
Nganhuei	142,000	148	Mongolia	3,543,000	0,6
Kiangsu	100,000	210	Tybet	1.200.000	1
				11,081,000	

Wielka różnorodność w charakterze ekonomiczno-społecznym oddzielnych prowincyi sprawia, że mocarstwo azyatyckie przedstawia kompleks ekonomiczny, który mógłby bez żadnych trudności pokryć wszystkie swoje potrzeby bez uciekania się do handlu zewnętrznego. Li tylko w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki znajdujemy położenie analogiczne. Nie brakło też pomysłowości i zabiegliwości mieszkańcom, by wyzyskać wszystkie źródła bogactw, podane przez warunki przyrodzone. Lecz rozwój sił społecznych, nagromadzony w tym olbrzymim układzie państwowym, zo-

stał zatamowany właśnie owem skonsolidowaniem państwowem. Mamy bowiem przed sobą państwo, które powstało i wzrastało, jak wiadomo, na drodze powtarzających się w ciągu tysiącoleci podbojów i najazdów. Ponieważ zaś zdobywcy stali na daleko niższym szczeblu kultury, aniżeli zwyciężeni, utrzymanie zdobyczy było tem trudniejszem. To też widzimy dziś przed sobą ową dziwaczną machinę państwową, zastosowaną jedynie do tego, by wytężyć wszystkie siły władz rządowych nie ku potęgowaniu energii owego wielkiego układu społecznego, nie ku powiększeniu dobrobytu mieszkańców, nie ku rozwojowi sił produkcyjnych, lecz ku utrzymaniu owego państwa o 400 milionach ludzi pod władzą dynastyi *mandżu*, ku zachowaniu *status quo*, ku zapobieżeniu buntom, przeciwdziałaniu tendencyom separatystycznym ludów, zamieszkujących kresy państwa. Tem właśnie tłómaczy się konserwatyzm i skamienienie całego państwa. Każda inowacya z góry musi być podejrzaną przedstawicielom władzy od najniższych do najwyższych, bo może ona naruszyć porządek, może zostać wyzyskaną przez jeden z czynników rozbieżnych, może sprowadzić zajścia, za które wypadnie odpowiadać przed rządem centralnym. Nie o „niechęć ku postępowi" tu chodzi, nie o „wstręt przeciw wszystkiemu, co obce", lecz o bezpieczeństwo państwa, o panowanie dynastyi *mandżu*. Konserwatyzm, posunięty do ostatnich granic, bezwzględne poszanowanie tradycyi są tu ostatecznym wynikiem tej „mądrości politycznej", którą uznano, jako odpowiadającą celowi dynastyi. Charakterystyczny przykład tego, jak oddziaływa to poszanowanie tradycyi, często wbrew nawet zamiarom władców, przytacza *Brandt* [1]). Przed kilku laty cesarzowa wysłała swojego eunucha ulubionego z poleceniami do jednej z prowincyi nad rzeką Błękitną; wszyscy urzędnicy drżeli przed wszechwładnym faworytem, który pozwalał sobie na najdziwaczniejsze wybryki. Jeden z gubernatorów wszakże kazał ująć wysłańca cesarskiego, zakuć w kajdany i w końcu ściąć, powołując się na prastary, zapomniany edykt, który opiewa, że nigdy eunuch nie może przywłaszczać sobie praw przynależnych wysłańcom cesarskim; w pałacu w Pekinie zawrzało, lecz ostatecznie nie śmiano ukarać gubernatora, gdyż powoływał się słusznie na prawo, uświęcone wiekiem. Jednak tenże urzędnik, który stawił czoło pałacowym możnowładcom, nie ośmieli się na najmniejszą ino-

---

[1]). Ostasiatische Fragen. Berlin, 1897.

wacyę, jeżeli nie będzie mógł powołać się na jakiś precedens historyczny.

Z tychże stosunków wynika niemoc militarna państwa. Pomimo faktu, że panująca od roku 1644 dynastya *mandżu* mieczem zdobyła panowanie nad Chinami, nie zdołała ona zmienić zasady, według której najwyższy urzędnik wojskowy w hierarchii urzędniczej figuruje dopiero na czwartym stopniu, ustępując urzędnikom cywilnym; przeciwnie zwycięzcy uznali za stosowne usankcyonować ten stosunek, inaczej bowiem musieli obawiać się, że w najliczniejszych prowincyach, zamieszkałych przez rdzennie chińską ludność, może zostać rozbudzony na nowo duch wojowniczy, a wtedy płonnemi byłyby wszystkie usiłowania utrzymania w karbach tych milionów siłami zbrojnemi, jakich dostarczyła Mandżurya. To też do chwili obecnej jedyna armia stała rekrutuje się z potomków owych Mongołów mandżuryjskich, którzy zdobyli tron dla dynastyi panującej; z nich składają się oddziały, zwane „wojskiem ośmiu sztandarów”, stanowiące załogę Pekinu i prowincyi Pe-czyli, a prócz tego zajmujące posterunki w prowincyach rdzennie chińskich. Liczbę ich podają na kilkaset tysięcy, lecz dokładnej liczby nikt nie zna. W prowincyach rdzennie chińskich zachowała się organizacya dawniejsza, polegająca na tem, że w razie potrzeby gubernatorowie powołują pod sztandary za opłatą ochotników, a oprócz tego utrzymują gubernatorowie małe oddziały zbrojne w celach policyjnych. W razie wojny przysługuje rządowi prawo zwołania pospolitego ruszenia. Jednakże dotąd, nawet w chwilach największego niebezpieczeństwa, władcy obecnie panującej dynastyi nie ośmielili się na taki krok, gdyż nie bez słuszności zapewne obawiają się oni, że uzbrojona raz ludność mogłaby stać się groźną dla ich panowania.

W państwach kresowych z początku stały załogą olbrzymie podobno armie, składające się z wojowników mandżuryjskich, którzy zdobyli państwo; później utworzono tu milicye z żywiołów miejscowych.

Według wykazów urzędowych powinno być pod bronią żołnierzy wszystkich kategoryi blisko 1$^1/_2$ miliona, lecz nie ulega kwestyi, że i połowy nigdy nie uda się zgromadzić w razie potrzeby. Oddziały „ośmiu sztandarów” rzeczywiście są w komplecie, ponieważ służba wojskowa, a tem samem utrzymanie kosztem rządu jest tu przywilejem dziedzicznym; lecz pozostałe oddziały, którym wypłacać żołd są obowiązane urzędy cywilne, są minimalne dla tej prostej przyczyny, że urzędnicy robią możliwe oszczędności, oczywiście na korzyść własnej kieszeni.

Jeżeli siły zbrojne tego rodzaju wystarczają jako tako na utrzymanie w karbach ludności krajowej, to w starciach z „barbarzyńcami" Zachodu państwo okazało się bezsilnem, a wkońcu uległo nawet napadowi sąsiadów wschodnich, owych *wo-jin* czyli karłów, jak zwą pogardliwie Chińczycy Japończyków. Przed tym napadem, a zwłaszcza po pogromie, powstała dążność do utworzenia armii nowożytnej. Sprowadzano instruktorów niemieckich i zapasy broni, lecz wszelkie usiłowania w tym kierunku, jak twierdzą ci właśnie instruktorowie, muszą spełznąć na niczem wobec nadużyć, jakich dopuszczają się urzędy cywilne w celu robienia „oszczędności". Stan arsenałów, okrętów wojennych, magazynów pomimo kosztów milionowych jest podobno opłakany, żołnierzom brak żywności, okradają ich na żołdzie i dziś armia podobno jest w stanie nie lepszym, jak była przed wojną japońską.

Trzeba nam teraz sięgnąć nieco wstecz i przyjrzeć się początkowi stosunków pomiędzy nowoczesną Europą a państwem Niebieskiem.

Pierwsi przybyli do Chin drogą morską Portugalczycy, zawijając w roku 1516 do Kantonu. Przyjęto ich tu przychylnie, i wrócili z okrętami, naładowanymi towarami drogocennymi. Oczywiście nowi awanturnicy poszli wnet za przykładem pierwszych. Za owych czasów handel był złączony ściśle z grabieżą i z rozbojem, i nie obyło się bez krwawych starć żeglarzy portugalskich z Chińczykami. Lecz z handlu z przybyszami ciągnęli również zyski mandaryni, i na gruncie zysków wspólnych umiano się porozumieć. Ostatecznie Portugalczycy osiedli w *Makao*, na wybrzeżu południowem w pobliżu Kantonu, oraz na wyspach *Chunsa* i *Ningpo* i bywali tolerowani czasowo w Kantonie samym. Pierwszą z tych posiadłości zdołali zachować dotąd. W ślad za Portugalczykami pociągnęli hiszpańscy i holenderscy żeglarze, a później znacznie—już za panowania obecnej dynastyi, t. j. po roku 1664—nawiązali stosunki handlowe z Chinami Duńczycy, Francuzi i Anglicy. Ci kupcy cudzoziemscy zawijali ze swoimi okrętami do portów tylko za specyalnem każdorazowem zezwoleniem władzy, a takie zezwolenie musieli okupywać hojnymi datkami. Próbowano posyłać poselstwa urzędowe do dworu chińskiego celem uzyskania sankcyi handlu, lecz w Pekinie zgodzono się przyjąć posłów tylko, jako składaczy haraczu, przyczem musieli poddać się zelżywemu ceremoniałowi, bijąc czołem przed cesarzem, narażając się na pośmiewisko dostojników dworskich. Uczyniono nawet to dla zysków handlowych, lecz nie wskazano żadnych ustępstw. Dopiero w roku 1792 poseł Anglii

oparł się tym ceremoniom upokarzającym i dopiął swego. Nie brakło też oczywiście współzawodnictwa pomiędzy handlarzami różnych narodowości, i podszczuwali oni jedni przeciw drugim władców chińskich.

Za kupcem pociągnął misyonarz, z początku odpychany przez żeglarza, awanturnika, potem używany aż nazbyt często, jako narzędzie intrygi politycznej lub poplecznik handlarza-lichwiarza. Jednym z pierwszych misyonarzy był jezuita *Francesco Xavier*, wsławiony gorliwą pracą misyonarską w Japonii. Widząc, jak potężnie na Japonię oddziaływa cywilizacya Chin, postanowił tam począć misyę, lecz rodacy portugalscy właśnie największe stawiali mu przeszkody, gdy przybył do Makao. Dopiero w roku 1582 Mateo Ricci, również jezuita, odniósł wielkie sukcesy. Poznał on, że działalność śród maluczkich nie udaje się w Chinach, zwrócił się przeto wprost do mandarynów. Będąc znakomitym fizykiem i matematykiem, użył wiedzy za przynętę dla uczonych chińskich i prędko bardzo wszedł z nimi w stosunki zażyłe. Jednakże na polu działalności misyonarskiej dwa napotkał szkopuły. Dopóki sprzeciwiał się czci dla Konfucyusza i kultowi przodków, nie chciano słyszeć o nowej wierze. Postanowił tedy uczynić ustępstwo, przyznając, że te punkty, będące w związku raczej z instytucyami państwowemi Chin, nie sprzeciwiają się dogmatom Kościoła katolickiego, i w ten sposób zdołał Ricci rzeczywiście pociągnąć za sobą licznych przedstawicieli klasy paującej. Lecz wkrótce po jego śmierci (r. 1610), kiedy przybyli misyonarze innych zakonów, wszczęły się spory o zgodność owych ustępstw z dogmatem. Rozpoczęły się zatargi, wyjednywano dekrety papieskie za i przeciw. Dzięki wysokiemu ukształceniu jezuici w końcu górowali nad przeciwnikami i zyskali wpływ niemały w pałacu cesarskim w Pekinie. Zgorszenie jednakże nie ustawało i dobiegło szczytu, kiedy do rozstrzygnięcia owego sporu dogmatycznego jezuici wezwali cesarza chińskiego, co znowu spowodowało wysłanie legata papieskiego przeciw jezuitom, ci zaś wymogli na cesarzu uwięzienie legata i wydalenie z Chin wszystkich misyonarzy, którzy sprzeciwiali się czci dla Konfucyusza i kultowi umarłych. Oczywiście walki te nie mogły przyczynić się do postępów dzieła misyonarskiego, i, kiedy umarł protektor jezuitów, *Kang-hsi*, następca jego wydał dekret (w roku 1723), zakazujący wogóle szerzenie katolicyzmu; tylko pewnej liczbie misyonarzy pozwolono pozostać, gdyż potrzebowano ich u dworu, jako astronomów, geometrów, giserów dział, zegarmistrzów i lekarzy. Nastały wtedy ciężkie czasy dla misyonarzy, i w Europie mówiono i pisano

wówczas wiele o srogiem prześladowaniu chrześcijan. Jednakże *Richthofen* stwierdza, że, jakkolwiek zdarzyły się wypadki, że opornych mnichów wsadzano do więzienia, i że tłum tu lub owdzie zburzył kościoły, o prześladowaniu specyalnem misyonarzy nie było mowy, „gdyż Chińczyk nie czuje nienawiści specyalnej do chrystyanizmu, jaką spotykamy u muzułmanów; wstręt do chrześcijan powstał dopiero w naszych czasach, kiedy chrześcijaństwo stało się atrybutem natrętnego obcego przybysza."

Za następnego panowania pozwolono znów misyonarzom na większą swobodę, lecz odtąd misyonarze powstrzymywali się od bezpośredniego wtrącania do polityki w Pekinie, a działali w cichości śród tłumów, i tam praca ich była uwieńczona większym skutkiem, spór zaś dogmatyczny został rozstrzygnięty bullą papieską *Ex quo singulari* Benedykta XIV w roku 1742 na niekorzyść jezuitów. Dopiero po zwycięstwach wojsk francuskich i angielskich w roku 1860 zaczęli misyonarze znów odgrywać rolę polityczną, dobijając się nietylko tolerancyi, lecz i rozmaitych prerogatyw dla wyznawców chrześcijaństwa, przyczem teraz rozpoczęły się intrygi katolików przeciw ewangelikom, anglikanom etc. Obecnie liczą w Chinach przeszło milion wyznawców katolicyzmu, którym przewodzi 41 biskupów, 664 europejskich i 559 tubylczych księży. Inne wyznania chrześcijańskie liczą około 34000 prozelitów.

Podczas gdy narody zachodnio-europejskie wtargnęły na kilku punktach z wybrzeży morskich do Państwa Niebieskiego, na północy Rosya stawała się jego sąsiadem na długiej linii granicznej. Niegdyś fale najezdników, idąc od stepów Mongolii, zalały kraje aż po Wołgę i Don, teraz fala odwrotna prowadziła zdobywców nad brzegi Bajkału i Amuru. Właśnie kiedy dynastya Ta-Tsingów, wiodąca ród swój z południowej Mandżuryi, zasiadła na tronie w Pekinie, kozacy Pojarkowa i Chabarowa dotarli do północnych granic Mandżuryi, do brzegów Amuru (r. 1643 i 1649—53). Traktatem, zawartym w Nerczyńsku w r. 1689, rozgraniczono Syberyę od Chin. A w roku 1693 poselstwo rosyjskie, idąc przez Nerczyńsk, Argunskoje, Czytsikar i kraj Mongołów Korczyńskich, doszło do stolicy Chin. W kilka lat potem (r. 1715) wybuchły nieporozumienia graniczne; oddział wojsk rosyjskich dostał się do niewoli i został zaprowadzony do Pekinu. Tu wyznaczono jeńcom kwaterę w zakątku miasta, i tak powstała kolonia rosyjska. W roku 1727 rząd rosyjski wyjednał, że kolonii tej przyznano prawo wybudowania cerkwi i pozwolono utrzymywać kilku duchownych. W tymże roku okazała się potrzeba nowej regulacyi

granic, jednocześnie zaś poselstwo, w tym celu wysłane, wyjednało otwarcie dwu punktów granicznych dla handlu, mianowicie *Surukhaiku* (na południe od Norczyńska) i *Kiachta*.

W pierwszej połowie bieżącego wieku powoli rozwijały się dalej stosunki handlowe na wybrzeżach pomiędzy Chinami a narodami zachodnimi, z tą tylko różnicą, że supremacya morska Anglii, jak na innych rynkach, tak i na chińskim, występowała coraz jaskrawiej. Zachowanie władz chińskich było niejednostajne. To zarządcy prowincyi starali się ciągnąć możliwie wielkie zyski osobiste z tego handlu i przyznawali nowe prerogatywy kupcom tej lub owej narodowości, to znów wydawali rozkazy przeciw wwozowi towarów. Z drugiej znów strony ciągła rywalizacya europejczyków pomiędzy sobą przyczyniała się do zaostrzenia stosunków. Trzecim czynnikiem, paraliżującym rozwój normalny, była polityka handlowa kompanii Wschodnio-Indyjskiej, która posiadała monopol na handel chińsko-angielski i dbała tylko o chwilowe interesy, poświęcając dla drobnych zysków sprawy większej doniosłości. W roku 1834 monopol ten został zniesiony, i miejsce urzędników kompanii w stosunkach dyplomatyczno-handlowych zajęli konsulowie angielscy. Narazie spodziewano się po tej zmianie błogich skutków dla unormowania wzajemnych stosunków. Stało się jednakże inaczej; w r. 1840 wybuchła *wojna opiumowa*. Zwykle poza Anglią przedstawiają sprawę tak, jakoby wojna ta wybuchła dlatego, że Anglicy chcieli zmusić Chińczyków do kupowania trucizny, a przynajmniej sprzeciwiali się zakazowi przywożenia opium do Chin. Rzecz ma się jednakże inaczej, i warto bliżej zastanowić się nad tą sprawą.

Opium było w użyciu, jako medykament i narkotyk, już od wieków. Prawdopodobnie handlarze arabscy w wieku XV wprowadzili ten narkotyk do Chin, i w tym czasie wymienia się opium, pomiędzy przedmiotami, składanymi jako haracz dworowi chińskiemu. Handel wszakże tym towarem nie był znaczny, widocznie używano wtedy opium wyłącznie, jako medykamentu. Na początku XVIII wieku dopiero wchodzi w użycie palenie opium w fajkach, przyczem jednocześnie rozpowszechnił się nałóg palenia tytuniu i opium. Nałóg rozszerzył się szybko, i około końca XVIII wieku pojawiają się dekrety cesarskie, zakazujące palenia opium, jak również handlu nim. Skutek był oczywiście taki sam, jaki byłby, gdyby w krajach europejskich zakazano używania napojów wyskokowych lub tytuniu: zaczęto palić pokryjomu, handel odbywał się również pokryjomu, na granicach szerzyło się przemytnictwo. W roku 1820 przywieziono na okrętach europejskich 20000 skrzyń

opium, w roku 1830—40 do 50000 skrzyń. Szerzenie się nałogu niepokoiło jednakże coraz bardziej władze, i w roku 1838 mistrz ceremonii *Hwang-Tsio-Cze* napisał rozprawę, w której wykazywał, że opium jest winą wszystkich klęsk, jakie trapią Chiny. Nietylko bowiem „barbarzyńcy", przywożący truciznę, rujnują zdrowie ludności, lecz jednocześnie przyprawiają państwo o ogromne straty. Dawniej bowiem handel odbywał się w ten sposób, że za towary, przywożone do Chin, cudzoziemcy nabywali inne towary, opium zaś jest tak drogie, że wielkie ilości pieniędzy idą zagranicę, jako opłata za tę truciznę. Żąda tedy autor kary śmierci na handlarzy i palaczy opium. Dekret cesarski zadośćuczynił temu żądaniu, i gubernator Kantonu otrzymał rozkaz wprowadzenia go w życie.

Jednakże nie ten zakaz bezpośrednio stał się przyczyną wojny, lecz wybuchła ona wskutek tego, że przy tej okazyi ponowiono wszystkie szykany przeciw handlowi zagranicznemu, wybuchła wskutek nagromadzenia się wzajemnych pretensyi na tem polu w ciągu całych dziesięcioleci. Bezpośrednim powodem do wojny był edykt cesarski, który wszystkich Anglików wyjmował z pod praw i zakazywał wszelkiego z nimi handlu pod karą śmierci, wywołany zaś został ten edykt jakimś sporem i bójką pomiędzy majtkami chińskimi a angielskimi, przyczem zabito Chińczyka.

Była to zatem wojna, prowadzona w interesach handlu, i to właśnie, że tu, jak w wielu innych razach, dla zysków kupieckich lała się krew ludzka, budzi ohydę. Lecz jeżeli dziennikarze, sykofanci niemieckich handlarzy gorzałką i francuskich handlarzy tytuniem, wznoszą się na koturny etycznego oburzenia z powodu angielskich handlarzy opium, powinniśmy wiedzieć, co o tem sądzić. Do rozpowszechnienia wspomnianego oskarżenia przyczynili się zresztą najwięcej może angielscy publicyści, potępiający wogóle politykę kolonialną, propagatorowie wstrzemięźliwości, i te głosy umiemy uszanować. Lecz, niestety, agitacya przeciw użyciu opium, na długo jeszcze będzie tak samo bezskuteczną, jak agitacya europejskich anti-alkoholików, gdyż używanie owego narkotyku, jak nadużycie alkoholu, sprowadza się u mas ludowych do tej samej przyczyny—nędzy. *M. v. Brandt*, były poseł niemiecki w Pekinie, pisze w tej kwestyi: „Opium używają w Chinach, jako przedmiot zbytku, jako aphrodisiacum, jako stimulans, jako środek profilaktyczny i leczniczy. W lecznictwie używają go przeciw cierpieniom płucnym, jako profilaktyczny środek przeciw febrze i dysenteryi w okolicach, gdzie panuje malarya. Nie powinno to dziwić, gdyż z tych samych powodów w Anglii np. ludność fabryczna ucieka się do używania

opium w roztworze wodnym. Jako stimulans, używają opium do do palenia chińscy uczeni, urzędnicy i kupcy, a poza tem głównie ciężko pracujący wyrobnicy na okrętach, tragarze i holownicy, a prócz tego część ludności rolniczej, głównie z prowincyi Sze-Kuen. Jako przedmiot zbytku, używają go osoby obydwu płci klas zamożnych urzędnicy, żołnierze i owa wielka masa nicponiów i próżniaków, którą znajdujemy w każdym kraju i w każdym narodzie; ci ostatni używają też opium, jako aphrodisiacum, i śród nich zdarzają się owe odrażające przykłady cielesnego i duchowego zwyrodnienia, które pokazują w Chinach podróżnym w jaskiniach opiumowych. Że opium działa zawsze szkodliwie, przeczyć nie można, lecz czyż nie nazwano również alkoholu trucizną narodową i czyż nie twierdzą, że jest on absolutnie szkodliwy? To też tak samo, jak nieprawdopodobnem jest, że ludy, nawykłe do używania alkoholu, wyrzekną go się w blizkim czasie, tak samo nie wyrzekną się inne tytuniu, haszyszu, koka, betelu, a Chińczycy opium, chyba, że rozkosz i podnieta, dane przezeń, zostaną zastąpione czem innem. Na to wszakże niema widoków, dopóki wielka masa ludności nie będzie w stanie odżywiać się lepiej" [1]).

Tymczasem nałóg szerzy się coraz bardziej i prócz klęski, jaką sprawia, podkopując siły mas ludowych, sprawia inne jeszcze. Tak np. Richthofen opowiada, że w Kansa i Szensi uprawiają i zasiewają najlepsze pola makiem dla otrzymania opium, gdyż wysoka cena produktu i małe koszta transportu czynią tę uprawę dla rolnika zyskowniejszą od uprawy zbóż. „Straszna klęska głodowa — twierdzi tenże autor — która dziesiątkowała ludność prowincyi Szan-Si w roku 1879, nigdy nie przybrałaby tych rozmiarów, gdyby ogromne rozpowszechnienie uprawy maku w tym kraju nie zmniejszyło w tak znacznym stopniu produkcyi zboża." Przeciw tej uprawie— jak informuje nasz autor—również walczono zakazami i podatkowaniem, lecz te zakazy są bezskuteczne dlatego, że uprawa daje tak wielkie zyski. Dochodziło już z powodu opodatkowania uprawy do buntów i zabójstwa poborców [2]). Zresztą *tout comme chez nous:* wyobraźmy sobie, coby się działo, gdyby naszym szlachetnym producentom gorzałki zakazano produkcyi tej trucizny?

Zauważyć zresztą należy, że misyonarze, jakkolwiek mogą oni przez wpływ swój powstrzymywać przynajmniej neofitów od uży-

---

[1]) *M. von Brandt*, l. c.

[2]) Richthofen: China etc., tom. II, str. 671—672.

wania trucizny, niezawsze chwytali się środków szczęśliwych. Na konferencyi, obradującej nad tą kwestyą, lekarz angielski Boone wskazał na fakt, że misyonarze rozdawali środki przeciwdziałające, a mianowicie pigułki, zawierające morfinę; neofici wkrótce poczęli handlować tym medykamentem, a skutek był ten, że obok użycia opium rozpowszechnił się morfinizm stokroć szkodliwszy jeszcze.

W każdym razie sprawa opiumowa dziś już nie odgrywa roli w polityce.

W wojnie w roku 1840 Anglicy najpierw zaprowadzili blokadę portów aż do ujścia rzeki Błękitnej i zdobyli kilka fortów przymorskich. Chińczycy zgodzili się na układy pokojowe, lecz zwlekali z ratyfikacyą traktatu. Wskutek tego Anglicy zdobyli forty Kantonu, i znów rozpoczęły się układy i nastąpiło zawieszenie broni (20 marca r. 1841), co wszakże nie przeszkadzało rządowi chińskiemu wydać dekret, nakazujący wytępienie „barbarzyńców" i naznaczający nagrody za zabicie oficerów angielskich. Wtedy Anglicy poczęli bombardować Kanton i zabrali miasta: *Amoi*, *Czu-Czan*, *Czyng-Czai* i *Ningpo*. Dopiero, kiedy fregaty angielskie dotarły do Nanking i poczęły bombardować miasto, zgodzono się w Pekinie na zawarcie pokoju. Chiny zapłaciły 21 milionów dolarów odszkodowania i otworzyły dla handlu porty *Kanton*, *Amoi*, *Fu-Czu*, *Ningpo* i *Szang-Hai*, zgodzili się na rezydowanie konsulów angielskich w tych miastach i na redukcyę ceł wwozowych i ceł, pobieranych przy przewozie towarów z jednej prowincyi do drugiej, t. zw. *linking;* prócz tego odstąpiono Anglikom na wieczne posiadanie wyspę *Hong-Kong*.

W następnem dziesięcioleciu jeden z peryodycznie powtarzających się w Chinach buntów przybrał rozmiary olbrzymie. Panująca dynastya mandżurska *Tsing* zawsze jeszcze posiada licznych przeciwników, którzy garną się do potomków ostatniej dynastyi chińskiej *Ming*. Po wojnie zatem owi *Ming-Szin* („ludzie Mingów") podnieśli rokosz w kilku miastach. Rokosz ten przybrał olbrzymie rozmiary; kiedy z nim połączyli się *taipingowie*, ci nadali całej sprawie charakter wojny religijnej. W pobliżu Kantonu pojawił się marzyciel religijny *Sintsnen;* misyonarz niemiecki Gützlaff zapoznał go był z chrystyanizmem, a wkrótce potem począł on miewać wizye i zaczął działać zaczepnie przeciw Chińczykom, burząc uświęcone posągi bogów. W roku 1850 rząd chiński chciał go uwięzić, lecz kilka rodów powstało w jego obronie, i wkrótce rokosz ogarnął całą prowincyę Kuangsi, i poplecznicy okrzyknęli marzyciela cesarzem, założycielem nowej dynastyi *Taiping* (pokój świata) i władcą *Tin-*

kwok (państwa zbawionego). Rokosz szerzył się dalej, ogarniając z kolei prowincye Hanan, Kupei, Kiangsi, Nganhui i Kiangsu, a w roku 1853 rokoszanie opanowali Nanking i założyli tu nową rezydencyę. Sintsuen kazał drukować przekłady biblii i opiekował się chrześcijanami, sam wszakże nie przyjął chrześcijaństwa, lecz ogłosił się „młodszym bratem Chrystusa”, równym Dalai-Lamie, cesarzem Chin i Japonii. Wojska chińskie ponosiły srogie porażki, i dopiero, kiedy śród rokoszan wybuchły niesnaski, udało się rządowi wyprzeć ich z miast najważniejszych, prócz Nankingu.

Tymczasem wybuchła druga wojna z Anglią. Pomimo traktatu z r. 1842 władze chińskie, a specyalnie gubernator Kantonu, nie przestawały szykanować kupców angielskich i nie pozwalały im przebywać w miastach, nawet tych, które zostały otwarte dla handlu. Dnia 8 października roku 1856 czterech mandarynów kantońskich udało się na pokład statku, płynącego pod flagą angielską, kazali związać i uprowadzić załogę, składającą się z 12 Chińczyków. Kapitan angielski zaniósł protest do władz chińskich, lecz nie otrzymał odpowiedzi, a kiedy konsul angielski Parkes celem zaniesienia reklamacyi udał się na pokład dżungi wojennej chińskiej, gdzie więziono owych majtków, został znieważony i obity. Zażądano wtedy wydania jeńców konsulatowi, gdzie sprawa przeciw nim miała być rozpatrzoną przy udziale urzędnika chińskiego, lecz temu żądaniu również nie stało się zadość. Gubernator sam rozprawił się z jeńcami, uznał trzech z pośród nich winnymi i oświadczył, że pozostałych 9 wyda konsulatowi. Lecz teraz konsulat obstawał za wydaniem wszystkich i domagał się formalnego przeproszenia. Kiedy żądaniu temu odmówiono, admirał Seymour rozpoczął kroki wojenne przeciw fortom Kantonu. Forty zostały wzięte, siedziba gubernatora zburzona, lecz on sam nie ustąpił, przeciwnie, wydał rozkaz wyrżnięcia cudzoziemców. Jednocześnie próbowano też podburzyć ludność chińską Hongkongu przeciw Anglikom. W Anglii jednakże nie zgodzono się na wypowiedzenie wojny, i z tego powodu doszło do rozwiązania parlamentu, przyczem wszakże nowe wybory dały większość stanowczą gabinetowi Palmerstona. Dopiero wtedy wysłano z pełnomocnictwem nadzwyczajnym do Chin lorda Elgin, który usiłował z początku załatwić sprawę na drodze pokojowej, tembardziej, że wybuchły rozruchy w Indyach, i Elgin skierował wojska, będące w drodze do Chin, do Indyi. Tymczasem zawiązano przymierze pomiędzy Anglią a Francyą, i wojska złączone w liczbie 5,000 ludzi wkroczyły do Kantonu (27 grudnia r. 1857). Jednocześnie posłowie Anglii, Francyi, Rosyi i Stanów Zjednoczonych wy-

słali noty dyplomatyczne do Pekinu, żądając ukarania gubernatora Kantonu i spełnienia traktatu, gwarantującego wolność handlu i osiedlania się Europejczyków w miastach portowych. Nie otrzymawszy odpowiedzi, posłowie udali się z okrętami wojennymi do zatoki Peczylijskiej, forty w Taku zostały wzięte przez zjednoczone siły zbrojne, i wojska zajęły Tientsin (20 maja r. 1858). Teraz dopiero rząd chiński zgodził się na układy, i w czerwcu zawarto traktaty z każdem z państw europejskich, gwarantując zastrzeżone w traktacie 1842 roku prawa, a prócz tego dopuszczenie ambasad europejskich w samym Pekinie i prawo wyznawania chrystyanizmu w całem państwie, oraz zobowiązano się zapłacić Anglii 30, a Francyi 15 milionów franków odszkodowania. Lecz i tym razem w Pekinie zwlekano z ratyfikacyą traktatu i nakazano wzmocnić fortyfikacye wzdłuż brzegów Pei-Ho. W czerwcu r. 1859 wojska angielskie usiłowały zburzyć te fortyfikacye, lecz zostały odparte, i dopiero, kiedy połączono 12,600 wojska angielskiego i 7,500 francuskiego, udało się wkroczyć do Tientsinu w lipcu roku 1860. Rząd w Pekinie zgodził się teraz na wpuszczenie do stolicy ambasadorów, którym miała towarzyszyć warta honorowa. Kiedy jednakże oficerowie angielscy i francuscy udali się do Pekinu dla umowy co do pomieszczenia dla ambasadorów, zostali zamordowani przez oddział wojsk tatarskich. Wtedy wojska zjednoczone, pobiwszy armię 50,000 Chińczyków, wkroczyły do Pekinu, i tu dopiero zawarto pokój w październiku roku 1860.

Charakterystycznym dla stosunków chińskich jest fakt, że, kiedy nad rzeką Żółtą grzmiały działa i wojska chińskie walczyły zapamiętale przeciw cudzoziemcom, wdzierającym się do Pekinu, kiedy sama dynastya była narażona na największe niebezpieczeństwo, w Szang-Hai i innych portach najspokojniej prowadzono handel z Anglikami i Francuzami; władze chińskie pobierały w imieniu cesarza cła od towarów, przywożonych na okrętach wrogów. Więcej nawet—zdarzało się, że w tymże czasie gubernatorowie chińscy używali pomocy sił zbrojnych angielskich przeciw powstańcom taipingom i otrzymywali takową. Drugą zaś charakterystyczną stroną jest to, że w dokumentach urzędowych, zabranych przez Europejczyków w zburzonym przez nich pałacu letnim cesarza, znaleziono dokumenty, które Brandt charakteryzuje w taki sposób: „Z jednej strony najuniżeńsze łgarstwa, w których autorowie nie śmią przeczyć wprawdzie zwycięstwom barbarzyńców, lecz osłabiają je przynajmniej i apelują do łaski monarszej, by raczył przyjąć pokorne prośby, jakie zanoszą zwycięzcy, a które zanieść do stóp tronu śmie

sprawozdawca, jakkolwiek wie, że popełnia przez to czyn karygodny. Z drugiej zaś strony bezmierna napuszoność i głupota, z którą wydaje się dekrety pełne gniewu, nakazujące wytępienie barbarzyńców, to znów obiecuje się tymże barbarzyńcom łaskawe spełnienie warunków pokoju w nagrodę za to, że ustępują z kilku zajętych punktów. Jest to farsa, której znaczenie dla stosunków państwa chińskiego jest tem donioślejsze, że chodzi tu nie o środki tumanienia tłumów, lecz farsa odgrywa się pomiędzy ludźmi świadomymi stanu rzeczy. W ciągu wszystkich zajść od r. 1840—60 występuje nieodmiennie nienawiść Chińczyków ku wszystkiemu, co obce, i przeświadczenie o własnej doskonałości." [1])

Po ukończeniu wojny rządy angielski i francuski udzieliły pomocy władzom chińskim ku uskromieniu taipingów; oficerowie angielscy i francuscy organizowali w tym celu oddziały żołnierzy chińskich i wraz z mandarynami ścigali powstańców. W tej wojnie z taipingami szczególnie odznaczył się Gordon, który wraz z Li-Hung-Czangiem komenderował oddziałem „niezwyciężonych". Boje strasznie krwawe i z obu stron prowadzone z całem okrucieństwem azyatyckiem zakończyły się dopiero zdobyciem Nankingu w r. 1864, przyczem wódz powstania podpalił pałac i rzucił się w płomienie wraz ze swoim haremem.

Lecz jednocześnie z powstaniem taipingów, szerzącem się na południu, srożyło się powstanie na zachodzie i na północy. W roku 1855 mahometanie, zamieszkujący prowincyę Juinan i stanowiący tu blizko połowę ludności, podnieśli rokosz przeciw władzom chińskim, i boje trwały do roku 1873. W roku zaś 1861 wybuchło powstanie mahometan, zamieszkujących prowincye Hansu i Szensi, gdzie liczą ich do 15 milionów, $^4/_5$ ogółu ludności. Zamordowano komisarzy cesarskich, i kalif Daud podniósł sztandar „świętej wojny", a jednocześnie powstały plemiona, zamieszkujące Kaszgar, Kuldżę i Tarbagatai, kraje we wschodnim Turkiestanie, zostające pod zwierzchnictwem chińskiem, i w roku 1866 Jakób Beg ogłosił się sułtanem Kaszgaru, aż dopiero w roku 1878 po strasznym rozlewie krwi zdołano ujarzmić nanowo te kraje.

Powstanie to spowodowało zajęcie Kuldży przez Rosyę, lecz w roku 1881 na zasadzie traktatu, zawartego w Petersburgu, kraj ten został przywrócony Chinom, i wyznaczono granicę w Turkiestanie wschodnim.

---

[1]) Brandt, l. c., str. 107—108.

Stosunki pokojowe z państwami zachodnio-europejskiemi trwały do roku 1884, kiedy Francuzi wkroczyli do Tonkinu. Francuzi zagarnęli byli w roku 1858 w państwie Syamskiem prowincyę Cochinchin i żywili nadzieję dostania się wzdłuż rzeki Mikong w głąb półwyspu Indo-Chińskiego, gdy to się jednakże nie udało, dążeniem było opanować Annam i Tonking. W roku 1869 awanturnik francuski, niejaki Dupuis, który zarówno co do waleczności, jak co do czelności, śmiało wytrzymuje porównanie z conquistadorami hiszpańskimi, udał się wzdłuż rzeki *Song-ma* w głąb kraju Annamitów. Przyjęto go tu bardzo źle, więc zażądał opieki dla swoich „interesów uprawnionych" od rządu francuskiego. Z powodu wszakże wojny z Niemcami pomocy tej otrzymać nie mógł, więc przez cztery lata na własną rękę z garstką ludzi wojował przeciw tłumom Annamitów. W roku 1874 dopiero pośpieszono mu z pomocą i po zwycięstwie nad Annamem zapewniono sobie pomiędzy innemi prerogatywami wolną żeglugę na rzece Song-ma. Tu jednakże Francya musiała toczyć bezustanne boje z piratami chińskimi, w których ginęły całe bataliony francuskie. Stąd zatargi z Chinami, które rościły pretensye do zwierzchnictwa nad Annamem i Tonkinem. Układy dyplomatyczne nie doprowadziły do skutku, wybuchła wojna, której rezultatem było przyznanie Francyi protektoratu nad Annamem i Tongkinem.

Jedną z najbardziej drażliwych i niebezpiecznych kwestyi w ostatnich czasach stała się kwestya misyonarzy chińskich. Na zasadzie traktatu z roku 1860 misyonarzom przyznano wyjątkowe prawo, którego wogóle Chińczycy dotąd odmawiają innym Europejczykom, prawo przebywania stale w miastach chińskich po za portami. Dla kolonii kupieckich zostają wyznaczone w tych miastach dzielnice specyalne, w których nie wolno przebywać Chińczykom, i kolonie te korzystają z zupełnego samorządu. Misyonarze natomiast mają prawo zakładać misye wśród dzielnic chińskich. Stąd nawiązują się stosunki najbliższe pomiędzy misyą a ludnością, lecz jednocześnie władze chińskie, gdyby nawet chciały dać opiekę misyonarzom, nie mają ku temu możności w chwilach rozbudzenia namiętności tłumów. Jeżeli zaś nawet śród ludności „oświeconej" Europy mogą powtarzać się zaburzenia przeciw Żydom, jeżeli nawet w Szwajcaryi i Francyi zdarzają się niekiedy wybuchy nienawiści przeciw przybyszom, robotnikom włoskim, to nie mamy powodu dziwić się wybuchom anti-chrześcijańskim. Dodać jeszcze należy, że misyonarze, dążąc do osiągnięcia możliwie wielkiego wpływu, nader często przywłaszczają sobie prawo pośredniczenia w zatar-

gach pomiędzy członkami swojej parafii a pozostałą ludnością, co znowu musi budzić ku nim niechęć tej ludności, jak również urzędników, którzy widzą w tem zamach na swoją władzę. Prócz tego istnieją trudności czysto politycznej natury. Wszyscy poważniejsi badacze zgadzają się, że w ogólności rząd chiński jest pod względem wyznaniowym najzupełniej tolerancyjnym lub, lepiej może powiedzmy, obojętnym. Tłómaczy się to poprostu wielką ilością najróżnorodniejszych wyznań śród ludności. Tam tylko, gdzie na podstawie religijnej powstaje jakikolwiek ruch polityczny, budzi się czujność mandarynów, którzy z doświadczenia własnego lub z historyi wiedzą, czem grożą tego rodzaju ruchy. Ze strony zaś chrześcijaństwa obawiają się władze chińskie podwójnie komplikacyi politycznych. Po pierwsze, rządy europejskie czynią ich odpowiedzialnemi za każdą krzywdę, wyrządzoną przez kogokolwiek misyonarzom chrześcijańskim, a powtóre, powołując się na historyę powstania taipingów, nie bez powodu twierdzą, że szerzenie chrystyanizmu doprowadza do powstawania sekt, grożących bezpieczeństwu państwa. Lecz jeszcze jedna strona kwestyi zasługuje na uwagę, a mianowicie związek pomiędzy instytucyami społeczno-ekonomicznemi a religią w rdzennie chińskiej ludności, wyznającej buddyzm. Jednostką społeczną jest tutaj ród, i ród tylko włada ziemią, jednostka tylko z ramienia rodu może być posiadaczem czasowym. Związek zaś pomiędzy członkami rodu naocznie przejawia się w kulcie wspólnych przodków; w świątyni, poświęconej przodkom, zbierają się członkowie rodu dla rozstrzygnięcia spraw publicznych, i tu przechowują się archiwa, regulujące sprawy posiadania ziemi. Neofita chrześcijański, usuwając się od kultu przodków, odrywa się tem samem od grupy rodowej, zostaje izolowanym, nie może brać udziału we wspólnych sprawach rodu. Stąd muszą powstawać wieczne zatargi o dział tych neofitów we własności rodowej, a zatargi te zapewne zaostrzają się jeszcze, gdy misyonarze i tu udają się po interwencye władz. Wobec tego wszystkiego nie tyle dziwić się należy wybuchającym nieporozumieniom i gwałtom, dokonywanym na misyonarzach, ile temu, że takie wypadki bywają względnie rzadkie.

Jednakże nie ze strony mocarstw europejskich miały zagrozić państwu Niebieskiemu nowe zatargi, nie kwestye handlu zagranicznego, ani kwestya misyi dała powód do nowych zawikłań wojennych ostatniej pory; burza nadciągnęła od strony „państwa wschodzącego słońca”. W roku 1868 zaszły przewroty nadzwyczajne w Japonii. Dawny ustrój państwowy przedstawiał wiele analogii z ustrojem feudalnym Europy zachodniej; drobni książęta przywła-

szczali sobie coraz więcej władzy, i w wieku XVI Japonia rozpada się na cały szereg niezależnych państewek, a nad królewiętami tego kraju dzierży władzę nominalną *mikado*, cesarz, otoczony aureolą boskiej potęgi, lecz w rzeczywistości pozbawiony wszelkiej władzy. Przy jego boku staje *sziongun*, wódz wojenny, niejako *majordomus*, trzymający w wiecznym strachu nominalnego władcę i wiecznie będący w zatargach z pozostałymi wasalami, z pośród których wyszedł. Na początku wieku siedemnastego jeden z tych sziongunów z rodziny Takugawa narzucił państwu nowe formy polityczne: mikado utracił formalnie ostatnią władzę, prawo zakazywało mu wyraźnie mieszać się do spraw krajowych, a załoga, postawiona w stolicy samej w pałacu, zmuszała do przestrzegania tych praw. Była to teraz dosłownie władza, „*qui regne mais ne gouverne pas*", a zachowano go dlatego tylko, że wymagała tego religia — tłum widział w mikado przedstawiciela bóstwa na ziemi. Władzę dzierżył teraz z prawa już sziongun, lecz członkowie jego rodu i najpotężniejsi książęta wasalni stanowili radę państwową, której przysługiwało prawo udziału w sprawowaniu rządów. Szlachta rodowa poczęści stanowiła dwór mikada, a częścią była podległą bezpośrednio sziongunowi, poczęści zaś zostawała w stosunku lenniczym do książąt, z których ramienia dzierżyła ziemię. Oczywiście cały bieg spraw zależał wyłącznie prawie od osoby szionguna; o ile były to osobistości wybitne, umiały utrzymać cały ten systemat w równowadze, inaczej ulegały intrygom, do których taki ustrój był jak umyślnie stworzony. Z biegiem czasu książęta południowej części, jako najbardziej bogaci — a bogactwo to wzrastało wskutek ożywionego handlu z Europejczykami, który rozwijał się stopniowo od wieku XIV — poczęli wywierać wpływ przemożny i ograniczać władzę szionguna czyli *tajkuna* (tak przekręcili nazwę Europejczycy, przybywający do Japonii), i jeden z tych książąt południowych, *Koszu* w roku 1864 targnął się otwarcie na tajkunat, lecz uległ w walce. Z nim wymarł ród *Tokugawów*, który dziedziczył tajkunat, i władza przeszła do rodu *Mito*, lecz przeciw nowemu władcy natychmiast powstali zwartą potęgą książęta południowi i tym razem udało im się nadać sprawie taki obrót, że występowali przeciw tajkunowi w imię mikada, i w roku 1868 mikado, a raczej partya, która posługiwała się nim, zwyciężyła. Zwycięzcy jednakże nie przedstawiali jednolitej partyi, książętom zależało na możliwem ograniczeniu wyzwolonej z pod tajkunatu władzy monarszej, partya dworska dążyła do zaprowadzenia absolutnego monarchizmu. Przytem stronnictwo dworskie było wrogo usposobione względem cudzoziemców, ksią-

żęta poznali, że wszelkie zatargi z cudzoziemcami muszą zakończyć się porażką. Zakończyło się tem, że pod wpływem Europejczyków cały ten bigos oblano sosem konstytucyjnym; powstało państwo, mające zewnętrznie formy podobne do Anglii, wewnątrz szarpane walką, toczącą się pomiędzy spadkobiercami dawnych instytucyi feudalnych. Jednakże władza książąt szybko chyliła się do upadku, i w następnych 25 latach centralizacya robiła szybkie postępy, a wskutek coraz większego rozwoju handlowego przybrzeżne przynajmniej części kraju rozwijały się szybko pod względem handlowym i przemysłowym, i ludność, uwolniona od ucisku drobnych książątek, chętnie przyjmowała nowy stan rzeczy. Element opozycyjny stanowiły tylko tłumy szlacheckie. Pozbawieni środków utrzymania, ci dworacy-szlachcice rzucili się w wir intryg partyjnych, starali się niekiedy podburzać ludność rolniczą północy do buntów, stawali na czele rozruchów przeciw cudzoziemcom. Jednakże z wszystkich tych nawałnic politycznych ostatecznie państwo wyszło obronną ręką, i walka partyi sprowadziła się ostatecznie do walki stronnictw w parlamencie. Parlamentarna opozycya jednakże sprawiała niemałe trudności rządowi, i w końcu za wzorem mistrzów europejskich panowie ministrowie „państwa złocieni” znaleźli środek prosty na załatwienie trudności wewnętrznych — wojnę z sąsiadem.

Od niepamiętnych lat zachowała się świetna tradycya zwycięstw wojowników japońskich na lądzie stałym, dokąd ci azyatyccy wikingowie urządzali raz po raz wyprawy. W starej stolicy japońskiej *Kioto* dotąd stoi pomnik *mimi zuka*, pomnik zawierający według podania zabalsamowane uszy i nosy 185738 Koreańczyków i 29014 Chińczyków, którzy polegli od miecza japońskiego podczas wyprawy w r. 1592, a złożono to do kopca w ofierze bogini litości (sic!), której świątynię zdobi 33333 obrazów. Morderczy ten najazd w rzeczy samej podkopał potęgę królów koreańskich, którzy stali się bezsilnymi wasalami mocarstwa chińskiego.

Zwycięska wyprawa przeciw Korei nie przestała być marzeniem awanturników szlacheckich w Japonii, a spełnienie tego marzenia mogło wybawić rząd z tarapatów. Pretekst do wojny znalazł się łatwo. Już na początku lat osiemdziesiątych Japonia starała się wmieszać do spraw koreańskich na zasadzie jakoby lenniczej zależności Korei od Japonii. Faktycznie zaś istniał stosunek zwierzchniczy Chin do Korei, która należała do państw „granicznych, płacących haracz”, podobnie, jak Birma, Tybet i inne. Chcąc zapobiedz knowaniom japońskim, rząd chiński, a właściwie Li-Hung-Czang, wicekról peczylijski, kierujący polityką zewnętrzną, skłonił rząd

koreański w roku 1882 do zawarcia traktatów handlowych z państwami europejskiemi oraz ze Stanami Zjednoczonymi. We wszystkich tych traktatach rząd koreański oświadczył, że, jakkolwiek w sprawach wewnętrznych, jak i zewnętrznych, jest samodzielnym, jednakże zwierzchnictwo Chin nad Koreą, jako „państwem granicznem”, nie zostaje naruszone przez zawarcie tych traktatów. W tymże roku zawarto traktat handlowy pomiędzy Koreą a Chinami, w którym zastrzeżono „nienaruszenie odwiecznego stosunku”; ponieważ wszakże—powiada dalej traktat—Korea pozwoliła kupcom zagranicznym na handel w swoich portach, zniesione zostają zakazy handlu morskiego pomiędzy Chinami a Koreą. Fortel ten nie zapobiegł przecież wmieszaniu się Japonii do spraw koreańskich, kiedy w Seulu, stolicy Korei, wybuchły zamieszki. Japonia, jakkolwiek nie proszona, posłała oddział wojsk na pomoc królowi. W roku 1885 doszedł do skutku traktat pomiędzy Chinami a Japonią w Tientsinie, podpisany przez hrabiego Ito i Li-Hung-Czanga, na mocy którego oba państwa cofnęły swoje wojska z Korei i zobowiązały się wzajemnie w razie, gdyby nowe okoliczności wymagały wysłania wojsk, ponownie zawiadamiać się wzajem o takim kroku i cofnąć wojska natychmiast po spełnieniu każdorazowego zadania.

W roku 1894 wybuchły nowe zamieszki w jednej z południowo-zachodnich prowincyi Korei, i Chiny zawiadomiły rząd japoński, że wskutek prośby króla Korei wysyłają oddział wojsk celem przywrócenia spokoju w „państwie granicznem podwładnem”, o czem zawiadamiają zgodnie z traktatem tientsińskim. Japonia zaprzeczyła, aby Korea była „państwem podwładnem” i oświadczyła, że wysyła również wojska do Korei.

W Tokio skorzystano teraz ze sporu o owo zwierzchnictwo Chin nad Koreą i postarano się skwapliwie zaostrzyć sytuacyę. Do rządu koreańskiego skierowano ultimatum, domagając się cofnięcia wojsk chińskich z Korei, a gdy temu nie stało się zadość, wojska japońskie zajęły pałac królewski w Seul i uwięziły króla (25 lipca r. 1894); nowo zamianowany przez Japończyków rząd wezwał Japonię do wyrugowania wojsk chińskich, wojska japońskie zostały skierowane ku południowi, ku granicy chińskiej, jednocześnie zaś pancerniki japońskie napadły na statek, wiozący transport wojska chińskiego do Korei, przyczem zatopiono 1200 ludzi. Po tem wszystkiem nastąpiło wypowiedzenie wojny (dnia 1 sierpnia roku 1894).

Na krótko przed wybuchem wojny w lutym — Li-Hung-Czang, główny wódz sił zbrojnych na wschodzie Chin, udał się był

na inspekcyę fortów Sziao-chau, Port-Arthur, Talien-Uan i Wei-Ha-Wei i wojsk, wyćwiczonych przez instruktorów niemieckich, oraz okrętów wojennych, sprowadzonych z Niemiec. Nietylko chińscy, lecz również europejscy sprawozdawcy z zachwytem pisali o świetnych rezultatach tej inspekcyi; Li-Hung-Czang był bohaterem dnia w prasie europejskiej, szczególniej angielskiej i niemieckiej, a od rządu swego otrzymał najwyższe odznaczenie—trójokie pióro pawie. Działa japońskie pouczyły dopiero, jak złudnymi były te popisy: pancerniki zostały zburzone w bitwie przy ujściu rzeki Yalu, wojska chińskie wyparte z Korei i pobite na własnym gruncie, porty Talien-Uan, Wei-Ha-Wei i Port-Arthur zajęte przez Japończyków. Chińczycy i Japończycy oskarżają się wzajemnie o straszne okrucieństwa, popełniane w czasie wojny. Oficerowie rosyjscy i amerykańscy, jako naoczni świadkowie, stwierdzili w rzeczy samej, że przy zdobyciu Port-Arthuru japońscy żołnierze z zimną krwią mordowali jeńców, lecz dodają, że rzezie te były spowodowane widokiem ciał pomordowanych w straszny sposób jeńców japońskich, zawieszonych na murach fortecy. W każdym więc razie dzicz azyatycka wyprawiała sobie orgie krwawe w jednej, jak w drugiej armii.

Rokowania pokojowe, przy których pośredniczył poseł Stanów Zjednoczonych, wszczęto już w listopadzie 1895 roku, lecz rozbijały się one z powodu trudności formalnych, jakie wyszukiwała Japonia, chcąc odwlec układy, dopóki wojska jej nie staną w pobliżu Pekinu. Dopiero w marcu Li-Hung-Czang został wysłany dla układów do portu japońskiego Szimonoseki, przyczem jakiś fanatyk japoński dopuścił się haniebnego zamachu na posła, raniąc go kulą pistoletową w twarz. Traktat, zawarty 17 kwietnia 1895 roku, gwarantował zupełną niezależność Korei, Chiny ustępowały Japonii południową część półwyspu Lia-Tong, zamykającego na północo-wschodzie zatokę Peczylijską, wyspę Formosa i grupę wysp Pekador oraz zobowiązały się zapłacić kontrybucyi wojennej 200 milionów taelsów (około 800,000,000 franków). Prócz tego dla handlu miały zostać otwarte miasta chińskie Sza-si (w prowincyi Hu-pei), Czung-king (w prowincyi Sze-kuan), Su-chan (w prowincyi Kiang-su) i Hong-chau (w prowincyi Sze-kiang), a prócz tego zastrzeżono kupcom japońskim: 1) prawo dzierżawienia czasowo śpichlerzy dla towarów za obrębem miast wolnego pobytu; 2) żeglugi parowymi statkami na rzekach Yang-tse i Wu-sung oraz na kanale cesarskim od Szang-tai do Hang-chan; 3) zakładania fabryk

w miastach, otwartych dla handlu, przewozu maszyn wszelkiego rodzaju (co dotąd było wzbronionem).

Już po zawarciu traktatu trzy mocarstwa europejskie: Rosya, Francya i Niemcy (później przyłączyła się do wspólnej akcyi Hiszpania) zaprotestowały przeciw zajęciu przez Japonię dzielnicy na lądzie stałym. W nocie, podanej przez ambasadorów, trzymanej w tonie rady przyjacielskiej, mocarstwa orzekły, że zajęcie Lia-Tong, położonego tak blisko Pekinu, może zagrażać pokojowi w Azyi wschodniej i pokojowi świata, a z tego powodu „mocarstwa oczekują od mądrości rządu japońskiego zrzeczenia się tego owocu jej zwycięstw.” Pomimo tonu przyjacielskiego zrozumiano w Tokio, że mocarstwa będą obstawały na spełnieniu żądania, i dnia 5 maja ambasadorowie w Petersburgu, Paryżu i Berlinie oświadczyli, że Japonia ustępuje z Lia-Tong. Chiny zaś musiały wzamian za zwróconą prowincyę zapłacić 30 milionów taelsów.

Zawarcie pokoju nie zupełnie poszło w smak partyi opozycyjnej w Japonii. Oskarżano ministra spraw zewnętrznych, hrabiego Ito, że nie potrafił wyzyskać położenia, że zawarł traktat, nie odpowiadający „godności wielkiego narodu”, że małodusznie ustąpił przed interwencyą mocarstw. Ostatecznym wynikiem tej walki parlamentarnej było usunięcie ministeryum, partya narodowo-liberalna zwyciężyła na całej linii, i odtąd „postęp” stał się hasłem ogólnem, najgłówniejszym wszakże punktem programu „postępowego” było bezustane powiększanie sił zbrojnych. Powtarza się tu z małemi zmianami historya Niemiec po zwycięstwie nad Francyą.

Jednocześnie polityka japońska poczęła grę hazardową w Korei, która zakończyła się haniebnym epizodem zamordowania królowej. Zaraz po wtargnięciu wojsk japońskich poseł japoński powołał do życia komisyę, mającą wypracować program. Kilka z punktów tego programu, jak ustanowienie równości wobec prawa, zniesienie niewolnictwa, uregulowanie poboru podatków, zasługują na najzupełniejsze uznanie, inne były po części śmieszne, po części wręcz szkodliwe, jak np. nakazy co do formy sukien i fryzury, gdyż drobnostkowe te szykany wywołały oczywiście nienawiść ku nieproszonym opiekunom.

Po zawarciu pokoju Japończycy nie myśleli bynajmniej ustąpić z państwa, którego „niezależność” była powodem do wojny. W czasie okupacyi zdążyli byli obsadzić rząd swojemi kreaturami i przez nich sprawowali dalej rządy. U dworu wytworzyły się dwie partye, z których jedna pod wodzą energicznej królowej działała skrycie przeciw Japonii, druga pod wodzą ojca króla, ex-regenta Tai-Wen-

Kun — była narzędziem japońskiem. Narazie po ciosie, zadanym Japonii przez wtrącenie się mocarstw, partya królowej zdołała usunąć rząd, narzucony przez Japończyków. Rzeczy przyjęły inny obrót, gdy w lipcu 1895 roku przybył do Korei nowy ambasador japoński, Miaura, fanatyk buddyjski i członek owej wojowniczej i intryganckiej arystokracyi japońskiej, i ten postanowił złamać jednym zamachem opór partyi królowej, a środkiem do tego miała być rewolucya pałacowa, która oddałaby rządy w ręce Tai-Wen-Kuna. Pod kierownictwem tegoż zgraja sprzysiężonych wtargnęła do dworca i zamordowała dworzan, należących do partyi królowej, ministra dworu i samą królową (w październiku roku 1895). Król niezaraz dowiedział się o spełnionej na małżonce zbrodni, dowiedział się tylko, że musi podpisać dwa edykty, podane przez posła japońskiego, z których jeden naznaczał nowe ministeryum, złożone z kreatur japońskich, drugi — degradował królową i umieszczał ją w najniższej klasie kobiet. Pierwszy z tych dekretów król podpisał, drugi pomimo protestu króla ogłoszono w jego imieniu z podpisami nowych ministrów. Posłowie mocarstw, rezydujący w Seulu, teraz dopiero dowiedzieli się o mordzie dokonanym i udziale, jaki brał w nim Miaura. Rząd japoński kazał uwięzić posła, dostawić i postawić przed sądem wojennym. O przebiegu śledztwa sędzia podał reskrypt japońskiemu ministrowi, a konsul generalny Stanów Zjednoczonych w Korei wydrukował przekład tego dokumentu w *The Korean Repository* w marcu 1896 roku. Wynika z niego najoczywiściej, że Miaura był nietylko wtajemniczony w plany zabójców, lecz kierował ich krokami i ułatwiał spełnienie zbrodni. „Lecz — tak kończy się ten ciekawy dokument — niema dowodów dostatecznych, czy którykolwiek z oskarżonych (prócz posła stawało przed sądem kilku Japończyków, którzy brali udział w zamachu) spełnił w rzeczy samej uplanowaną zbrodnię. Niedowiedzionem też jest, że oskarżony Hirayama zabił ministra dworu królewskiego Li-Koszoku w pałacu królewskim. Wobec tego wszyscy oskarżeni na mocy § 165 prawa karnego zostają uwolnieni od odpowiedzialności i wypuszczeni z pod straży.” Tak więc Japonia, owa wychwalana przez dziennikarzy liberalnych Japonia, małpująca gorliwie instytucye polityczne, będące ideałem burżuazyjnych polityków Europy, nie zdobyła się nawet na ukaranie zbrodni, której powstydziłaby się nawet horda dzikich Kafrów, zbrodni, która najbezczelniej zadaje kłam wszelkim górnolotnym frazesom polityków japońskich o zadaniach cywilizacyjnych Japonii.

Dla dopełnienia ohydnej farsy zastępca mordercy na urzędzie ambasadora kazał królowi, będącemu właściwie jeńcem sprawców zamachu, przyjąć tytuł cesarski, lecz interwencya posłów zapobiegła temu.

W kilka miesięcy później (11 lutego r. 1896) król wraz z następcą tronu uciekli tajemnie z pałacu i szukali przytułku w ambasadzie rosyjskiej, i odtąd zakończyła się, jak się zdaje, na zawsze rola Japonii w Korei. Po roku pobytu w poselstwie rosyjskiem król osiadł w nowo-wybudowanym pałacu i dotąd sprawuje rządy. W maju roku 1896 pomiędzy Rosyą a Japonią były prowadzone układy. Przyznano Japonii prawo utrzymywania trzech kompanii wojska dla ochrony linii telegraficznej do czasu zupełnego uspokojenia kraju; przedstawiciele obu mocarstw będą wspierali radą rząd koreański w sprawie uregulowania finansów, w razie zaś, gdy zajdzie potrzeba pożyczki, oba mocarstwa po wzajemnem porozumieniu będą dążyły z pomocą; siły zbrojne mają być reorganizowane własnemi siłami Korei; Japonia zarówno, jak Rosya, będą utrzymywały oddziały zbrojne nie więcej, jak 200 ludzi, dla ochrony swoich posłów, dopóki spokój zupełny nie będzie przywrócony w stolicy i kraju. W maju r. 1897 wybuchły jeszcze rozruchy w północnej Korei, lecz zostały z łatwością stłumione. Zmiany zaszły jeszcze w grudniu tegoż roku przez usunięcie dozorcy ceł i podatków Browna, Anglika, i zastąpienie go przez rosyjskiego poddanego Aleksiejewa.

Dla charakterystyki stosunków azyatyckich warto przytoczyć brzmienie dekretu, w którym zwyczajem, uświęconym w Chinach, król koreański sam siebie oskarża przed ludem swoim. Dekret taki został rozlepiony na murach stolicy zaraz po przybyciu króla do ambasady rosyjskiej.

„Biada! Biada! Niegodni byliśmy i źle sprawowaliśmy rządy królestwa tego. Wskutek tego górę wzięli przewrotni, a cnotliwi kryć się musieli. Z dziesięciu lat ostatnich każde nową niosło klęskę. Jedne z tych klęsk wywołali ci, którym ufaliśmy, jak własnym źrenicom, inne przez ludzi krwi naszej i ciała naszego. Pięciusetletnia Nasza dynastya narażoną została na szwank, i miliony Naszych poddanych popadło w nędzę. Te rzeczy straszne sprawiają, że rumienimy się i pocimy ze wstydu. A wszystkie te klęski były powodowane stronniczością Naszą i uporem, przez co daliśmy powód do bezeceństwa, a błędy Nasze sprowadziły nędzę i niedolę. A wszystko było Naszą winą własną od początku do końca.

„Los szczęśliwy sprawia wszelako wystąpienie wiernych, a gorliwych przyjaciół, którzy wraz z nami dążą do wytępienia zła, a to budzi w nas otuchę, że nastąpią cisze po burzy, a klęski poniesione przyczynią się do okrzepnięcia państwa. Boże! po długiej niewoli człowiek godzien swobody, a po porażkach niebiosa dają błogosławieństwa.

„Miłosierdziem jest przepełnione serce Nasze, lecz litości nie znamy dla zdrajców, co byli sprawcami zbrodni w lipcu i październiku roku 1895. Ci zasłużyli na śmierć w obliczu prawa ludzkiego i boskiego. Wszystkim natomiast innym urzędnikom, żołnierzom, rolnikom i pracownikom niech będą darowane przewinienia.

„Oczyśćcie serca wasze, uspokójcie ducha i udajcie się każdy do pracy swojej codziennej, jak za dawnych czasów i t. d.“

W Chinach porażka sromotna narazie nie wywołała zmian doniosłych, lecz skończyło się wszystko na intrygach pałacowych. Kozłem ofiarnym stał się Li-Hung-Czang, któremu wnet po pierwszych porażkach wojsk chińskich odebrano dopiero co udzielone trójokie pióro pawie i żółty kaftan. Edykt, wydany w tej sprawie, znów dosadnie oświetla sposób, w jaki dwór w Pekinie załatwia sprawy państwowe, i dlatego zasługuje na przytoczenie:

„Kiedy naród karłów [1]) napadł na Koreę, wysłaliśmy armię, by nieść pomoc małemu naszemu państwu lenniczemu. Odpowiedzialność cała ciążyła na cesarskim komisarzu Li-Hung-Czangu, gdyż on dowodził wojskami naszemi w Pe-Czyli. Obowiązkiem tedy jego było zgromadzić siły i odeprzeć napastników. Lecz on zwlekał z wysłaniem wojsk i nie zdołał kierować armią. Tak zaniedbał obowiązek względem Nas i zawiódł nasze zaufanie. Rozkazujemy przeto, aby pióro trójokie było wzięte z kapelusza jego i pozbawionym był prawa stroić się w żółty kaftan cesarski; jako lekka kara to go spotyka. Niech więc ten wysoki Nasz minister gorliwość powiększy i z pośpiechem większym, niż dotąd, zgromadzi wojska na polu bitew, a tak naprawi błędy swoje i odzyska dobre imię, które utracił wskutek opieszałości.“

Dowiadujemy się też z edyktu, wydanego imieniem cesarza, że „cenzorowie”, urzędnicy, którym przysługuje prawo krytyki wszystkich kroków rządowych i czynów samego cesarza, zanosili zażalenia na wtrącenie się do spraw rządowych cesarzowej-matki, przyczem cenzor uchybił formie, za co zostaje skarcony i wysłany na banicyę do Mongolii. Inny zaś edykt brzmi:

„Otrzymaliśmy rozkazy cesarzowej-matki i ogłaszamy, co następuje: „Dynastya Nasza zawsze przestrzegała porządku surowego w pałacu, przedewszystkiem zaś dbano zawsze o to, aby członkowie rodziny cesarskiej nie mieszali się do spraw rządowych. Jej cesarska mość osądziła wszakże, że nałożnice Czing-Fei i Czen-Fei, nadużywając zbliżenia do majestatu cesarskiego, ciągnęły korzyści osobiste i starały się wyzyskać wpływ swój na nas w sprawach rządowych, dopraszając się oznak Naszej łaski dla swoich krewnych, a takie postępowanie jest niezgodne z etykietą.“

---

[1]) Nazwa pogardliwa dla Japończyków.

Dlatego nakazuje się degradacya owych nałożnic o dwie klasy. Wszystko to daje pojęcie o wirze intryg, które krzyżują się przy dworze. Jak wiadomo, w ostatnich latach Li-Hung-Czang kilka razy jeszcze był powoływany do najwyższych zaszczytów i popadał w niełaskę. W roku zaś 1898 cesarz wydał edykt, wzywający mandarynów do „otrząśnięcia się z zaśniedziałości wiekowej" i nakazujący „dbać o zreformowanie wszystkich niedostatków, wynikających z tej zaśniedziałości, bez oglądania się na opozycyę." Edykt ten został opublikowany 7 września, 20 zaś tegoż miesiąca telegramy doniosły o uwięzieniu kilku popleczników cesarzowej-wdowy, w kilka zaś dni później o zupełnem zwycięstwie tej pani, która ponownie powołała do rządu Li-Hung-Czanga i kazała odwołać edykt o reformach. Czy i o ile są uzasadnione kombinacye polityczne, snute na zasadzie tych faktów, przypisujące udział w tych zajściach pałacowych dyplomacyi europejskiej, może dopiero wykazać historya. Nie ulega natomiast kwestyi już dzisiaj, że śród mandarynów w ostatnich czasach przeważała tendencya wyraźnie reakcyjna, o czem niejednokrotnie ostrzegali korespondenci pism, zwłaszcza angielskich, zwykle poinformowani dobrze przynajmniej o tem, co się dzieje w miastach portowych.

Nie brakło też w latach ostatnich buntów i rozruchów pospólstwa w rozmaitych prowincyach. Już w czasie wojny japońskiej mahometanie Tungańscy w Kansu i Szen-si oświadczyli się z gotowością bronienia państwa i prosili o wydanie im broni; ponieważ gubernator Kansu ręczył za ich lojalność, wydano im podobno znaczną liczbę karabinów odtylcowych, otrzymawszy zaś broń, powstali Tugańczycy pod wodzą niejakiego Ma przeciw władzom chińskim i plądrowali po kraju, niszcząc osady chińskie. Dopiero w r. 1896 udało się dwunastotysięcznej armii chińskiej rozproszyć powstańców. W roku 1898 wybuchło powstanie w prowincyach południowo-zachodnich, tak zwane „czarne bandy" plądrowały wzdłuż brzegów rzeki Błękitnej i tamowały całą żeglugę na środkowej jej części, i znów gubernatorzy cesarscy nie byli w stanie zapobiedz grabieży i mordom.

W stosunkach do państw europejskich zasługują na uwagę układy z Anglią i Francyą, zmieniające stosunki na granicy południowej. Anglia, chcąc zapobiedz rozszerzeniu wpływu francuskiego na państwa, graniczące z Indyami, zaanektowała w r. 1885 państwo Birma, które w Chinach było uważane za „państwo graniczne lennicze". Anglia zgodziła się na zachowanie ceremoniału, wymagającego wysyłania rocznej daniny symbolicznej, którą poselstwo, złożone z Birmańczy-

ków, składa w Pekinie z płodów krajowych, po za tem Anglia ma prawo rozporządzać się dowolnie w kraju; ścisłe wyznaczenie granic pomiędzy Birma a Chinami nastąpiło dopiero w roku 1894. Powrócono wtedy Chinom krainy Kokang, Muang-Lem i Kiang-Hung (należących do t. zw. Szan, graniczących z Syamem i położonych nad rzeką Mekong) Chiny zaś uczyniły ustępstwa na północnej granicy indyjskiej. Co zaś do Muang-Lem i Kiang-Hung zobowiązały się nie ustępować tych krajów żadnemu innemu mocarstwu (a więc przedewszystkiem Francyi).

Francya w r. 1885 po narzuceniu protektoratu nad Annamem i wyznaczeniu granic pomiędzy Tongkinem a Chinami otrzymała przyzwolenie Chin na otwarcie dwu punktów w prowincyach Yui-Nan i Kuang-Si dla handlu francuskiego, a zarazem wymogła prerogatywy handlowe, sformułowane bardzo niejasno w taki sposób: „Gdy Chiny zdecydują się na budowę dróg żelaznych, rząd chiński zwróci się w tym celu do przedsiębiorstw francuskich, rzeczpospolita zaś ułatwi dostarczenie personelu potrzebnego. Ten punkt wszakże niema być zrozumianym tak, jakoby istniał wyłączny pod tym względem przywilej Francyi.” W roku 1887 na zasadzie jakiegoś dokumentu, zapewniającego zwierzchnictwo Annamu nad jednem z państewek nad rzeką Mekong, rząd francuski zażądał od Syamu odstąpienie kraju aż do wschodniego brzegu Mekongu. Rząd syamski protestował, lecz gdy okręty francuskie poczęły kroki nieprzyjacielskie przeciw Syamowi, ustąpił, i na mocy traktatu z r. 1893 granica posiadłości francuskich została posunięta do brzegów Mekongu. Po wojnie japońskiej poseł francuski wymógł na Chinach (w lipcu 1895) konwencyę, zapewniającą dalsze prerogatywy handlowe w południowych Chinach oraz ustąpienie części kraju Kiang-Hung „dla zaokrąglenia granicy”. Ostatni punkt sprzeciwiał się wyraźnie układowi, dopiero co zawartemu pomiędzy Anglią a Chinami. Powstał więc huczek nielada w prasie angielskiej i rozmaici *jingoe'wie* prasowi wysyłali już pancerniki dla blokady portów francuskich. Rząd angielski wszakże zawarł konwencyę z Francyą, sankcyonującą nowy zabór nad Mekongiem i rozgraniczającą „sfery interesów”, kompensaty zaś poszukiwał na Chinach. Kokan przeszło ponownie pod panowanie angielskie, i granica została znów posuniętą na niekorzyść Chin, a prócz tego handlowi angielskiemu przyznano nowe prerogatywy: otwarcie dróg dla handlu pomiędzy Birma a Chinami, umieszczenie konsulatów w trzech miastach wewnętrznych w prowincyach Yui-Nan i Sz-Czuan, co było znaczną zdobyczą, gdyż dotąd tylko miasta portowe były dostępne; nadewszystko zaś

otwarcie rzeki Si-Kiang aż po miasto U-czan dla żeglugi i ustalenie ceł przy przewozie w głąb prowincyi t. z. likin.

Wspomniane tu ustępstwa terytoryalne dla rządu w Pekinie nie miały znaczenia wielkiego, gdyż chodziło zawsze o terytorya, należące do owych „państw granicznych", które, jak wspomnieliśmy, nie są uważane, jako rdzenna część państw, pozostają tylko w luźnym bardzo stosunku do władzy centralnej, której składają haracz, najczęściej czysto symboliczny, jako znak poddańczości. Inaczej zgoła przedstawiać się musiała okupacya Kiao-Czau przez Niemcy. D. 4 października roku 1897 na południu prowincyi Szan-Tung zamordowano dwu misyonarzy niemieckich, a fama głosiła, że gubernator był w zmowie z mordercami. Dnia 14 tegoż miesiąca dwa pancerniki niemieckie zawinęły do zatoki Kiao-Czau, i mieścina tejże nazwy została zajętą przez załogę niemiecką. Proklamacya, jaką wydał komendant niemiecki Diedrichs do ludności, donosząc, że na rozkaz swego cesarza zajął miasto, zawiera następujący ustęp charakterystyczny:

„Przeto polecam Wam, mieszkańcom wyspy Czin-Tan i przyległości, abyście w spokoju pilnowali swoich procederów, nie słuchając słów złych i swarliwych ludzi, co chcą wzbudzać zamieszki. Faktem przecież jest, że Niemcy i Chiny były zawsze i są przyjaciółmi. Kiedy Chiny toczyły wojnę z Japonią, Niemcy wszystkich sił użyły, by oswobodzić Chiny z położenia groźnego. Chcemy teraz dowieść swojej przyjaźni, jako mocarstwo sąsiedzkie, i przybyliśmy nie jako wrogowie, lecz jako przyjaciele Chin, więc nie potrzebujecie żywić podejrzeń względem nas... Zważcie położenie, a przekonacie się, że jesteście zbyt słabi, by stawić opór."

Jak wspomnieliśmy wyżej, prowincya Szan-Tung jest ojczyzną Konfucyusza, co nadaje jej szczególne znaczenie w oczach Chińczyków. Prócz tego wchodzi w rachubę, że, jakkolwiek nad zatoką zajętą nie leży żadne z miast ważniejszych, jest ona względnie blizką Pekinu, a to powinno było wzbudzić podejrzenie rządu względem dalszych planów niemieckich. Jednakże, ulegając konieczności, rząd pekiński w traktacie, zawartym 30 grudnia r. 1897 zgodził się na wydzierżawienie Niemcom pasu nadbrzeżnego zatoki wspomnianej, a prócz tego w pasie, okalającym zatokę, w promieniu 100 kilometrów przyznano Niemcom prawa zwierzchnicze, podczas gdy rząd chiński obowiązuje się nie spełniać żadnej czynności administracyjnej w tym pasie bez zgody rządu niemieckiego.

Richthofen w dziele swojem opisuje ludność tej prowincyi, jako pracowitą, obyczajną, dobroduszną. Tembardziej znamiennem jest, że od czasu okupacyi niemieckiej niema miesiąca, w którymby nie

doniesiono o napadach na posterunki niemieckie, o rozruchach, ekspedycyach karnych, egzekucyach. Jest to dowód, że wtargnięcie cudzoziemców poruszyło do głębi owych spokojnych Chińczyków.

Okupacya niemiecka pociągnęła za sobą szeregi innych, i odtąd dopiero zaczynają się rozprawy o „podziale Chin". W marcu r. 1898 porty Ta-Lien-Uuan i Port-Arthur zostały ustąpione Rosyi tytułem dzierżawy na termin dwudziestopięcioletni. Obydwa te porty, a zwłaszcza ostatni były dobrze ufortyfikowane już w r. 1896 przez Chińczyków. Roboty prowadził oficer niemiecki von Hannecken przy pomocy inżynierów niemieckich i angielskich; dział fortecznych dostarczyli Krupp i Armstrong. Urządzono też tu arsenał i doki dla reparacyi okrętów wojennych. Rząd chiński wydał podobno na te fortyfikacye 80 milionów franków. Po zajęciu przez wojska rosyjskie fortyfikacye zostały jeszcze uzupełnione, a przedewszystkiem zajęto się pogłębieniem przystani, która obecnie służy za główny punkt oparcia marynarce rosyjskiej na wodach Azyi wschodniej, punkt tem ważniejszy, że port nie zamarza przez rok cały, zamarzanie zaś jest niedogodną stroną portu we Władywostoku. Odległość Port-Arthur a od Czi-Fu, służącego jako port dla Pekinu, wynosi niespełna 150 kilometrów. Ta-Lien-Uan ma znaczenie przedewszystkiem, jako port handlowy.

W kilka miesięcy później (22 kwietnia r. 1898) Francuzi zajęli zatokę Onau-Czu-Uan. W maju zaś tego roku nastąpiło zajęcie ufortyfikowanego portu Uei-Ha-Uei przez Anglików również na zasadzie kontraktu dzierżawnego na lat 25. Port ten stanowi oparcie dla okrętów wojennych na południowo-wschodniem wybrzeżu zatoki Peczylijskiej, jak Port-Arthur na północno-wschodniem. Anglicy zajęli ten port po usunięciu wojsk japońskich, które leżały tu załogą do czasu wypłacenia kontrybucyi wojennej.

Na początku roku 1899 z żądaniem ustąpienia „stacyi węglowej" wystąpiły Włochy, upatrzywszy sobie zatokę Samum; jednakże odmówiono temu żądaniu. Przy tej okazyi dyplomaci w Pekinie odpowiedzieli podobno posłowi włoskiemu, że wiedzą wprawdzie o tem, jak potężnem było niegdyś państwo rzymskie, nie wiedzą atoli, co się z niem właściwie stało i nie widzą powodów ustępstw terytoryalnych dla małego państewka, co rości jakieś pretensye do spadku po owem mocarstwie. Gazety zaś chińskie umieszczały podobno artykuł następający:

„Bunt włoski został poskromiony i posła odesłano z powrotem. Z tego posłowie innych państw lenniczych powinni nauczyć się baczyć na szacunek należny naszemu wielkiemu rządowi chińskiemu. Wspaniałomyślny i ludzki zawsze

rząd nasz chętnie udziela stacyi węglowych biednym barbarzyńcom zachodu, gdy o to proszą pokornie, zawsze bowiem dynastya Tsing kierowała się nauką wielkiego mędrca i dlatego skłonniejszą jest świadczyć łaski, niż karać i t. d."

W tymże roku krążyły pogłoski o zamiarach okupacyjnych względem Chin ze strony Austryi i Danii, lecz ile w tem było prawdy, dotąd niewiadomo.

Francya zaś niedwuznacznie wyrażała chęć zajęcia Hei-Nan, i tylko opozycya Anglii powstrzymała ją dotąd od takiego kroku.

Wspominaliśmy kilkakrotnie o ustępstwach dla handlu, jakie wymożono na Chinach. Postaramy się teraz scharakteryzować obecne położenie.

Dla handlu morskiego zostały otwarte następujące miasta portowe:

Kanton	z ludnością	chińską	około	2500000
Tientsin	„	„	„	1000000
Hon-Ku	„	„	„	800000
Hang-Czu	„	„	„	700000
Szang-Hai	„	„	„	580000
Tut-Czan	„	„	„	650000
Su-Czu	„	„	„	500000
Czung-King	„	„	„	300000
Ning-Po	z ludnością	chińską	około	255000
Czing-Kiang	„	„	„	140000
Amoy	„	„	„	96000
Wu-hu	„	„	„	80000
Un-Czu	„	„	„	80000
Sza-Si	„	„	„	73000
Niu-Czuang	„	„	„	60000
Kiu-Kiang	„	„	„	55000
Wu-Czen	„	„	„	50000
Kiang-Czu	„	„	„	40000
Czi-Fu	„	„	„	35000
Snatau	„	„	„	35000
I-Czang	„	„	„	34000
Sung-Czu	„	„	„	22000
Pak-Hoi	„	„	„	20000
Szmao	„	„	„	15000
Mencz	„	„	„	12000
Soni-Czai	„	„	„	4000

Prócz tego otwartemi są dla handlu wszystkie miejscowości, zajęte na wybrzeżach przez Europejczyków, prócz Port-Arthura, a więc Makao, Hong-Kong, Kiao-Czau, Talien-Uan, Uei-Ha-Uei. Co do granicy lądowej zastrzeżonym jest handel wolny na granicach Mandżuryi oraz na południu, na granicach posiadłości francuskich i angielskich.

Zdobyczą wojny r. 1860 było prawo osiedlenia się na stałe kupców cudzoziemskich w miastach, otwartych dla handlu. Wyznaczono im tutaj dzielnice, w których rządzą się autonomicznie. Pobyt w Chinach po za obrębem tych miast może być tylko czasowym za specyalnym paszportem gubernatora prowincyi odnośnej, gdyż gubernator odpowiada za bezpieczeństwo cudzoziemców.

Wyjątek stanowią tylko, jak wiemy, misyonarze. Po wojnie japońskiej, jak wspominaliśmy, dozwolono Japończykom dzierżawić nieruchomości na skład towarów po za miastami, otwartemi dla handlu, a prawo to potem zostało przyznane wszystkim cudzoziemcom wogóle.

Według świeżo ogłoszonych obliczeń konsula generalnego Stanów Zjednoczonych liczono w roku 1899 poddanych poszczególnych państw, osiadłych w Chinach, i firm handlowych, przez nich założonych:

Anglia	osób	3362	firm	401
Stany Zjednoczdne .	„	2335	„	70
Niemcy	„	1134	„	115
Francya	„	1183	„	76
Rosya	„	1621	„	19
Holandya.	„	106	„	9
Dania	osób	128	firm	4
Hiszpania	„	448	„	9
Szwecya i Norwegia.	„	244	„	2
Austrya	„	90	„	5
Włochy	„	124	„	9
Portugalia	„	1423	„	10
Japonia	„	2440	„	195
Korea	„	42	„	—
Innych	„	29	„	—
Ogółem . . .	osób	17139	firm	933

Do tej liczby nie wchodzą oczywiście cudzoziemcy, przebywający w posiadłościach europejskich. W liczbie zaś poddanych angielskich są policzeni również Indusi. Oczywiście liczba Europejczyków i Japończyków, przebywających w Chinach, wzrasta nader szybko, i suma, powyżej podana, jest np. wyższą od obliczonej za rok poprzedzający o 3772 osób i 200 firm handlowych.

Co do obrotów handlowych generalny inspektor ceł w Shanghai, Sir Robert Hart, podaje cyfry następujące (w „Haikuan-Taels”, monecie rządowej Chin, wartości nominalnej 6,40 franków, lecz wobec spadku ceny srebra, przedstawiającej wartość w walucie złotej 3,50 franków):

W roku	Przywóz	Wywóz	Ogółem
1887	102263669	85860208	188123877
1888	124782893	92401067	217184960
1889	100884355	96947832	207832187
1890	127093481	87144480	214237961
1891	134400963	100947849	234951712
1892	135101198	102583525	237684723
1893	151362819	116632311	267995130
1894	162102911	128104522	290207433
1895	171696715	143293211	314989926
1896	202589994	131081421	333671415
1897	202828625	163501358	366329983
1898	209579334	159037149	368616483
1899	264748456	195784832	460533288

Wzrost zatem zarówno wywozu, jak przywozu, jest nader szybki, lecz jeżeli weźmiemy pod uwagę, że chodzi tu o państwo o czterechsetmilionowej ludności, handel zewnętrzny przedstawia się dotąd jeszcze bardzo skromnie. W Japonii np., która liczy zaledwie dziesiątą część ludności, ogólna wartość przywozu i wywozu w roku 1898 wynosi 1124,6 milionów franków; a zatem nie o wiele mniej, niż wartość przywozu i wywozu Chin w tymże roku (1280,1 milionów franków).

Najważniejsze pozycye wywozu w roku 1899 były następujące (w Haikuan-taels):

Jedwab	82109000
Herbata	31469000
Skóry	3929000
Lekarstwa	1522000
Tytuń	2309000
Wełna	3591000
Fasola	5529000
Bawełna	2980000
Futra	3791000
Maty	3651000

Najważniejsze pozycye przywozu:

Opium	35793000
Tkaniny bawełniane . .	103466000
Tkaniny wełniane . . .	4175000
Inne tkaniny i przędza .	4609000
Wyroby metalowe . .	9208000

Udział państw poszczególnych w handlu zewnętrznym z Chinami przedstawia się tak w tej statystyce (w Haikuan-taels):

	Przywóz	Wywóz
Anglia.	40161115	13462577
Hongkong	118096208	71845588
Indye Wschodnie	31911294	1731498
Singafore.	3646195	2231792
Australia.	272553	670078
Kanada	1208865	259519
Stany Zjednoczone	22288754	21685715
Kontynent Europy za wyłączeniem Rosyi	10172398	36763506
Rosya przez Odesę	3233239	5343480
Rosya przez Kiachtę. . . .	—	9987706
Mandżurya rosyjska. . . .	289165	3225806
Japonia	35896745	17251144
Makao.	3408516	5824487
Kochinchiny, Annam i Tongkin	1611140	945544
Jawa i Sumatra	629129	355510
Inne kraje	930838	3701142

Cyfry te dowodzą ogromnej przewagi Anglii w porównaniu z innymi krajami w handlu zewnętrznym z Chinami. Na Anglię i jej kolonie przypada więcej, niż połowa tego handlu. Zauważyć wszakże należy, że znaczna część towarów, idących przez Hong-Kong, pochodzi z kontynentu europejskiego lub zostaje skierowaną stamtąd na kontynent. Dla kupców bowiem eksporterów niemieckich, francuskich i włoskich pośrednictwo starych firm angielskich, osiadłych w Hong-Kong oddawna i najlepiej zawsze poinformowanych o stanie rynku azyatyckiego, jest najbardziej dogodnem, tem bardziej, że większość wypłat uskutecznia się wekslami płatnymi z jednej strony w Londynie, z drugiej w Hong-Kong lub w Szang-Hai. Pomimo zakładania licznych firm w miastach chińskich Hong-Kong na długo zapewne jeszcze będzie odgrywało tę rolę dominującą w handlu zagranicznym. Droga transsyberyjska nie zmieni też zasadniczo położenia, gdyż najważniejsze przedmioty wywozu—jedwab i herbata—pochodzą z południowych prowincyi, i dlatego zawsze komunikacya morzem pozostanie dogodniejszą dla importerów europejskich, inne znów towary—jak bawełna, skóry, wełna—nie mogą być przewożone lądem z powodu zbyt wielkiej różnicy w kosztach transportu wodnego a lądowego. Znaczenie tej drogi pod względem handlu tranzytowego z Chin do Europy polega na tem przedewszystkiem, że może ona wywrzeć wpływ ogromny na rozwój produkcyi w północnych prowincyach chińskich, lecz oczywiście wtedy dopiero, gdy rozwiną się środki komunikacyi w tych prowincyach. Co do handlu importowego do Chin, trzeba brać w rachubę, że dotąd

tylko prowincye południowe i przybrzeżne są rynkiem, na którym wyroby europejskie znajdują odbyt. Północne zaś prowincye, jak dotąd, zbyt są biedne, by zostać poważnymi odbiorcami.

To też dla najbliższej przyszłości najważniejsze mają znaczenie dla handlu koncesye, które wymogły na Chinach Anglia i Francya w południowej części państwa, a wobec konsekwencyi, do których, jak dotąd, zmusza Anglię zasada „drzwi otwartych”, korzyści, stąd płynące, przysługują handlowi wszystkich krajów. Przedewszystkiem więc zdobyczą pierwszorzędną było otwarcie żeglugi parowej po rzece Błękitnej, z początku aż do Han-Ku, później do I-Czank, a w końcu aż do Czung-King, po rzece Si-Kiang aż do U-cze-fu. W ten sposób zostały zerwane tamy, jakie stawiał handlowi dawny zakaz, kupcy europejscy stali się niezależni od pośredników chińskich i mogą wejść w stosunki bezpośrednie z dostawcami i odbiorcami towarów wzdłuż tej najważniejszej arteryi handlowej Chin, z miast przybrzeżnych tych rzek bowiem odbywa się cały handel z najbogatszemi prowincyami państwa. W r. 1898 Anglia wymogła na rządzie pekińskim zniesienie zakazu żeglugi dla Eur pejczyków po wszystkich rzekach spławnych, a w ten sposób handel bezwątpienia wzrośnie w sposób niebywały. Na rzece Błękitnej natychmiast urządziły stałą komunikacyę za pomocą parowców dwie firmy angielskie, dwie niemieckie i jedna chińska; na Si-Kiang firma chińska utrzymuje kilka statków, a na pozostałych rzekach urządzenie stałej komunikacyi jest kwestyą dnia.

Pierwszą kolej żelazną w Chinach wybudowali w r. 1876 Anglicy pomiędzy Szang-Hai a potem Usong na odległości 16 klm. Była ona wybudowaną bez koncesyi, podstępem: wydzierżawiono poprostu grunt i zbudowano na nim drogę. Wobec tego rząd, zaniepokojony niesłychaną inowacyą, pociągnął do odpowiedzialności gubernatora, linię zaś wykupił i kazał zburzyć. W kilka lat później została wybudowaną droga od kopalni węgla w Kaiping do Tientsinu i Taku. Głównym akcyonaryuszem towarzystwa, eksploatującego kopalnie, jak również towarzystwa żeglugi parowej pomiędzy Taku a Szang-Hai był gubernator prowincyi Pe-Czyli, znany Li-Hung-Czang, tem samem pan ten był osobiście zainteresowanym w budowie drogi i z łatwością uzyskał od rządu koncesyę. Kapitałów dostarczyły wymienione towarzystwa, w których obok Chińczyków uczestniczą Anglicy, budowę poruczono inżynierom angielskim. W roku 1892 droga ta została przedłużoną na północ do Czan-Hai-Kuan, gdzie „wielki mur” dobiega morza. Podczas wojny chińsko-japońskiej linia ta odegrała poważną rolę, ułatwiając transport wojsk chińskich.

Po wojnie rząd udzielił tymże towarzystwom koncesyi na przedłużenie linii od Tientsinu do Pekinu, przyczem wszakże nie pozwolono urządzić stacyi na terytoryum stolicy, i linia kończy się w szczerem polu na kilka wiorst od wałów, otaczających miasto. Nawet na linię tramwajową od dworca do miasta rząd nie zgodził się dotąd pomimo wszelkich zabiegów i interwencyi dyplomatycznych. W roku 1896 utworzono za współudziałem tegoż Li-Hung-Czanga „cesarską kompanię budowy dróg", której udzielono koncesyi na budowę drogi od Pekinu do Pao-Ting-Fu, stolicy prowincyi Pe-Czyli, i na przedłużenie ku północy drogi pod Czau-Hai-Kuan do Kiu-czu nad zatoką Liao-Tong. Kapitałów dla pierwszej z tych linii dostarczył „bank rosyjsko-chiński", dla drugiej towarzystwo „Hong-Kong and Schang-Hai Banking Corporation." Za inicyatywą gubernatora w Szang-Hai odbudowano też wspomnianą krótką linię pomiędzy tem miastem a portem Usung.

Długość wszystkich linii wymienionych wynosi zaledwie 800 kilometrów, wszystkie one są eksploatowane przez przedsiębiorstwa, na których czele stoją Chińczycy, i pierwotnie rząd pekiński oświadczył, że tylko takim towarzystwom będzie udzielał koncesyi. Po wojnie japońskiej jednakże zaczął się prawdziwy wyścig dyplomacyi europejskiej w zabiegach o uzyskanie koncesyi, i zasada wymieniona została przełamaną.

Pierwszą koncesyę wydano na budowę drogi przez północną Mandżuryę celem ułatwienia ukończenia wielkiej linii transsyberyjskiej. Koncesya została wydaną na imię banku rosyjsko-chińskiego, a warunki całego przedsiębiorstwa ściśle zostały unormowane pomiędzy rządami rosyjskim a chińskim. Tor odpowiada co do szerokości torowi drogi syberyjskiej, z którą nowa droga łączy się na stacyi Nagadan. Po przekroczeniu granicy linia zostaje przeprowadzoną do miasta Kai-Lai, przetnie na długości 320 wiorst płaskowzgórze, a następnie pasmo gór Czin-Gan spuści się ku dolinie rzeki Noni i po moście przejdzie rzekę w odległości 60 wiorst na południe od ważnego punktu handlowego Cziczikar, dalej przez miasta Hula-Czen i Ninguta ku miastu Nikołajewskoje, stacyi drogi Ussuryjskiej, prowadzącej do Władywostoku. Długość całej tej linii wynosi 1920 wiorst, z czego 1425 wiorst przechodzi po terytoryum chińskiem. W ten sposób planowany pierwotnie tor drogi syberyjskiej zostaje posunięty znacznie ku południowi i długość jego zostaje skróconą o 514 wiorst. Najważniejszem atoli jest, że nowy tor przecinać będzie znacznie bogatszy kraj; w Cziczikar i Ninguta odbywają się oddawna jarmarki ważniejsze dla północnej Mandżuryi. Koncesya zo-

stała wydaną na lat 80, po latach 36 rząd chiński ma prawo wykupu drogi, o ile przechodzi po terytoryum chińskiem, musi wszakże w tym razie dotrzymać zobowiązań co do łączności pociągów, taryfy przewozowej, transportu poczty i t. p., a przedewszystkiem i wtedy jeszcze kolej zostaje pod kontrolą rosyjskiego ministeryum finansów. Dla zabezpieczenia toru kolejowego wzdłuż tegoż zostają urządzone posterunki wojsk rosyjskich. Prócz tego zastrzeżono, że bank wspomniany ma prawo nabywania i eksploatacyi kopalń wzdłuż linii kolejowej.

W konwencyi uzupełniającej z d. 28 marca roku 1898 została zatwierdzoną w zasadzie budowa drogi transmandżuryjskiej, która łączyłaby drogę powyższą po przez Kirin i Mukden i Niu-Czuan z portami Talien-Uan i Port-Arthur.

W r. 1899 bank Hongkong-Szanghaiski uzyskał za pomocą ambasadora angielskiego koncesyę na budowę drogi od Czan-Hai-Kuan do Niu-Czang, a ponieważ przy pierwszym z tych punktów kończy się istniejący tor, prowadzący do Pekinu, powstałoby stąd bezpośrednie połączenie stolicy z północnym wybrzeżem zatoki Liatong. Przeciwko budowie tej drogi Rosya podniosła jednakże protest, Anglia zaś ujęła się za przedsiębiorcami, którzy już podnieśli byli w Anglii pożyczkę na budowę drogi. Spór został załatwiony konwencyą, zawartą pomiędzy Anglią a Rosyą z dnia 28 kwietnia r. 1899, w której Anglia obowiązuje się nie poszukiwać w swojem imieniu ani dla poddanych angielskich koncesyi na budowę dróg na północ od wielkiego muru chińskiego, Rosya zaś obowiązuje się nie popierać u rządu pekińskiego żadnych koncesyi, żądanych na budowę dróg w basenie rzeki Błękitnej, ani przeciwdziałać pośrednio czy bezpośrednio koncesyom, jakieby w tej dziedzinie popierał rząd angielski.

Co do wspomnianej wyżej drogi angielskiej protest został cofnięty, lecz Rosya zastrzegła, że ewentualnie poprze budowę dróg przez rosyjskich poddanych w kierunku południowo-wschodnim od drogi mandżuryjskiej, nawet, gdyby tory takich dróg krzyżowały się z linią angielską. To też nie ulega kwestyi, że prędzej czy później zostanie utworzona komunikacya pomiędzy drogą mandżuryjską a Pekinem zapomocą linii, zostającej pod wpływem rosyjskim. Prócz tego powstał podobno plan połączenia Pekinu z drogą syberyjską linią, idącą bezpośrednio do Kiachty (odleglej od toru drogi syberyjskiej tylko o kilkadziesiąt wiorst) po przez Mongolię. Ponieważ droga taka leżałaby na północ od wielkiego muru, konwencya, zawarta z Anglią, nie stoi na przeszkodzie.

W roku 1896 powstał w Pekinie plan budowy wielkiej transchińskiej drogi, łączącej Pekin z Kantonem przez Han-Ku, a więc drogi, przecinającej od północy ku południowi wschodnią część państwa. Plan taki podobał się podobno w Pekinie, głównie ze względu na znaczenie strategiczne, lecz gdy gubernator Kantonu, któremu powierzono urzeczywistnienie planu, zwrócił się do kapitalistów, którym przyobiecano prócz gwarancyi znacznych zysków wszelkie nagrody, okazało się, że o zebraniu kapitału niema mowy, jakkolwiek ci sami kapitaliści chętnie lokują kapitały w przedsiębiorstwach, na których czele stoją Europejczycy. Podczas swojej podróży po Europie Li-Hung-Czang, zdaje się, porozumiał się co do owego planu z kapitalistami belgijskimi, i w roku 1896 została utworzona „*Société d'études des chemins de fer en Chine*”, i inżynierowie belgijscy opracowali plan budowy drogi od Pekinu do Hau-Ku. Koszta budowy obliczono na 112,500,000 franków i belgijska „*Compagnie des chemins de fer chinois*” podjęła się udzielić rządowi chińskiemu pożyczki za procentem 5 od sta, którego wypłata zostaje zagwarantowana dochodami ogólnymi państwa. Projekt ten, poparty przez przedstawicieli rządów belgijskiego, francuskiego i rosyjskiego, lecz zwalczany przez Anglię, zyskał jednakże w czerwcu r. 1898 aprobatę rządu pekińskiego, i prace zostały rozpoczęte. Pierwsza emisya akcyi w wysokości 66,500,000 franków została z łatwością umieszczoną na giełdach belgijskich, francuskich i holenderskich. Przy subskrypcyi zaofiarowano podwójną sumę, najpoważniejsze banki wzięły udział w tej pożyczce; głównym akcyonaryuszem chińskim jest Li-Hung-Czang. Obecnie jest już w ruchu część tej linii pomiędzy Pekinem a Paoking, i dochody według wykazów towarzystwa przeszły oczekiwania.

Co do drugiej części owej wielkiej linii zostały wszczęte układy z kapitalistami amerykańskimi, i w kwietniu r. 1898 został zawarty kontrakt tymczasowy, powierzający budowę towarzystwu „*American Chine Developement*”, które ma udzielić pożyczki w wysokości 100 milionów franków; obecnie prowadzone są studya w celu wytknięcia toru.

Trzecia wielka linia, na którą została udzieloną koncesya w roku 1899, ma łączyć Tientsin i Cze-Kiang (u ujścia rzeki Błękitnej), idąc mniej więcej równolegle do „wielkiego kanału”, a finansują ją bank angielski Hong-Kong-Szang-Haiski wraz z bankiem niemieckim *Deutsch-Asiatische Bank*. Linia ta ma się łączyć z trzema liniami w prowincyi Szan-Tung, które budują Niemcy głównie celem utworzenia komunikacyi pomiędzy portem Kiao-Czau a kopal-

niami węgla i żelaza w głębi prowincyi. Na końcu południowym linia ta ma mieć kilka odnóg dla połączenia miast, leżących u ujścia rzeki Błękitnej.

Prócz tych wielkich dróg komunikacyjnych Anglia i Francya zastrzegły sobie prawo budowy dróg od południowych swoich posiadłości — Annam-Tongkin z jednej, Birma z drugiej strony—do południowych prowincyi i Chin. Koncesye zostały udzielone już Francyi na trzy, Anglii na dwie takie linie. Pomiędzy obu mocarstwami istnieje żywa rywalizacya w dążeniu doprowadzenia linii swoich możliwie do brzegów rzeki Błękitnej.

Traktat pokojowy, zawarty z Japonią, zawiera — jak wspomnieliśmy—ustępstwa co do przywozu maszyn i zakładania fabryk. Ustęp odnośny brzmi: „Poddanym japońskim dozwolonem będzie zakładać wszelkiego rodzaju przedsiębiorstwa przemysłowe w miastach i portach dla handlu zewnętrznego, będą też mieli prawo sprowadzać wszelkiego rodzaju maszyny, opłacając ustanowione cła. Towary, wyprodukowane przez poddanych japońskich w Chinach, co do ceł wwozowych, ceł wewnętrznych i podatków będą podlegały tym samym przepisom, co towary, przywożone przez Japończyków do Chin."

Rząd pekiński usiłował oprzeć się temu paragrafowi, twierdząc, że zakładanie takich fabryk i rozpowszechnienie maszyn „zagraża bezpieczeństwu państwa i dobrobytowi ludu", musiał wszakże ustąpić zwycięzcy.

Zgodnie z praktyką ogólną te ustępstwa zostały niebawem przyznane cudzoziemcom wogóle, a jednocześnie oczywiście prawo zakładania fabryk uzyskali poddani chińscy. To też w krótkim czasie powstały fabryki, a przedewszystkiem przędzalnie bawełny i jedwabiu. Obecnie w Szang-Hai jest w ruchu dziewięć przędzalni bawełny o 300,000 wrzecion, a w kilku innych miastach razem do 400,000 wrzecion. Właścicielami są po większej części Chińczycy.

Jednocześnie ze współubieganiem się o koncesye na budowę dróg żelaznych poczęła się też rywalizacya o koncesye na eksploatacyę kopalń węgla i żelaza. W Mandżuryi, jak wspomnieliśmy, jednocześnie z koncesyą na drogę żelazną udzielono bankowi „rosyjsko-chińskiemu" koncesyi na eksploatacyę kopalń wzdłuż tej drogi, a niebawem prawo to zostało rozpostarte na wszelkie przedsiębiorstwa kopalniane w całej prowincyi, nie wyłączając kopalń złota. Podobnie zarezerwowano poddanym rosyjskim monopol co do bogactw kopalnianych Mongolii. Monopol posiadają także Niemcy co do prowincyi Szan-Tung, gdyż linie kolejowe, na które uzyskano

koncesye, zostały wytknięte z uwzględnieniem położenia pokładów węglowych, a w koncesyach zostało zastrzeżone prawo eksploatacyi pokładów wzdłuż linii. Prócz tego znajdują się w tej prowincyi piaski, zawierające dyamenty, i Niemcy zajęli się zaprowadzeniem nowożytnych urządzeń przemywania owych piasków. Dyamenty te nie nadają się do szlifowania i służą tylko do celów technicznych; szklarze chińscy zaopatrywali się tutaj w drobne kamienie do swoich narzędzi. Dla eksploatacyi tych bogactw mineralnych utworzyło się w Niemczech towarzystwo z kapitałem zakładowym 12 milionów marek.

Jedną z najbardziej obfitujących w bogactwa kopalniane jest prowincya Szan-Si. Zawiera ona pokłady węglowe na przestrzeni 13,500 mil kwadratowych, i żyły węglowe posiadają grubość 15 metrów i więcej, a prócz tego pokłady rudy żelaznej i źródła nafty. Istnieje tu prastary przemysł górniczy o formach pierwotnych.

Dwie grupy kapitalistyczne — „bank rosyjsko-chiński" i „Peking Syndicate", jako przedstawiciel kapitalistów angielskich, włoskich i chińskich — ubiegały się o koncesye na zakładanie kopalń i wielkich pieców, i w roku 1898 rząd zgodził się na podział prowincyi, przyznając w północnej części monopol pierwszemu, a w południowej drugiemu towarzystwu, przyczem pobiera 5% podatku od dochodów brutto oraz 25% od dochodów netto.

Peking Syndicate wraz z innem towarzystwem chińskiem, którego głównym akcyonaryuszem jest gubernator prowincyi Ho-Nan, uzyskało koncesyę na eksploatacyę bogactw mineralnych tej prowincyi—rudy żelaznej, cynkowej, ołowianej i miedzi. Założone w roku 1898 w tym celu towarzystwo zebrało kapitału akcyjnego 120 milionów franków i ma niebawem przystąpić do eksploatacyi.

Co do prowincyi południowych Si-Czuan i Yui-Nan, obfitujących w bogactwa mineralne wszelkiego rodzaju, Francya i Anglia zawarły układ w roku 1896, zastrzegający, że mocarstwa nie będą popierały żadnych tendencyi monopolistycznych przy poszukiwaniu koncesyi na kopalnie. Udzielono tu dotąd kilka koncesyi pomniejszych, lecz, o ile wiadomo, eksploatacya nie została nigdzie rozpoczętą, co tłómaczy się prawdopodobnie obawą rozruchów w tym kraju o ludności nader niespokojnej.

Wspominaliśmy kilkakrotnie o wielkich bankach, biorących udział w przedsiębiorstwach kolejowych i przemysłowych w Chinach. Niektóre z nich mają jednakże inne jeszcze zadania, a mianowicie pośredniczenia w emisyach pożyczek państwowych Chin.

Do roku 1895 długi państwa Niebieskiego wynosiły:

Pożyczka z roku	1874	po 8%	627675	funtów sterlingów
" "	1878	" "	1604276	" "
" "	1884	" "	1515000	" "
" "	1886	" "	2250000	" "
" "	1887	" "	250000	" "
" "	1894	" 7%	1635000	" "

Po zawarciu pokoju między Chinami a Japonią gorączka opanowała sfery bankierskie w Anglii, Francyi, Niemczech i Belgii: spodziewano się pożyczki co najmniej miliardowej, a jakkolwiek na takich pożyczkach egzotycznych tracą często drobni kapitaliści, nastręcza się tu zawsze okazya obłowienia się dla banków, podejmujących się emisyi. Tym razem obiecywano sobie, że pożyczka da najmniej 5%. i banki przyjmą emisyę po 95%. Jednakże rzeczy wzięły inny obrót: Za pośrednictwem rosyjskiego ministeryum finansów utworzyło się konsorcyum z siedmiu banków francuskich i czterech rosyjskich, które udzieliły Chinom pożyczki 400 milionów franków po 4% i po kursie 94 za 100, przyczem wypłatę odsetek i kapitału w razie niewypłacalności Chin gwarantuje Rosya, ze strony zaś Chin zostały oddane w zastaw za wypłatę odsetek i amortyzacyę te dochody z ceł morskich, które dotąd nie zostały zastawione. Interes okazał się bardzo korzystnym, gdyż publiczność, wierząc w szybki rozwój Chin, o którym gazety poczęły rozpisywać się, przedstawiając wszystko w barwach tęczowych, nabywała chętnie papiery chińskie, które niebawem podniosły się w kursie prawie do *pari*, wobec czego banki emisyjne zarobiły znaczne sumy; obliczają, że sama tylko grupa francuska zarobiła na tej emisyi 13 milionów franków.

Też same banki francuskie i rosyjskie ufinansowały następnie wspomniany kilkakrotnie „bank rosyjsko-chiński", któremu powierzono budowę kolei mandżuryjskiej; kapitał zakładowy tego banku wynosi 6 milionów rubli, pierwszym jego prezesem został książę Uchtomskij, siedzibą banku jest Petersburg, filie zaś założono w Szang-Hai, Han-Kan, Tien-Tsin i Pekinie. Głównem jego zadaniem, jak wiemy, była emisya akcyi kolei chińskiej i akcyi przedsiębiorstw kopalnianych.

W dalszych pożyczkach pośredniczyła wspomniana kilkakrotnie „Hong-Kong and Shang-Hai Banking Corporation", posługująca się kapitałami angielskimi i chińskimi (kapitał zakładowy 4 miliony funt. sterl.) oraz „Deutsch asiatische Bank".

Od roku 1895 Chiny zaciągnęły 42 miliony funtów sterlingów długu państwowego.

Część tych milionów wróciła do Europy w formie zapłaty za pancerniki, armaty, karabiny i naboje, zakupione przez Chiny. Otrzymanie tych obstalunków było znowu przedmiotem licznych zabiegów dyplomatycznych, a kiedy w roku 1896 Li-Hung-Czang, wysłany dla uczestniczenia w uroczystościach koronacyjnych w Moskwie, jako reprezentant cesarza chińskiego, odbył podróż po Europie i Ameryce, fabrykanci broni osobiście popierali przed nim swoje interesa. W Essen np., p. Krupp, „król armatni", podczas bankietu ofiarował gościowi jego podobiznę, odlaną ze śpiżu armatniego, a nie mniej wyraźnie dali mu do zrozumienia pp.: Scheider-Creuzot, Armstrong i Maxim, czego spodziewają się po jego wizycie. W parlamencie angielskim podsekretarz ministerynm wojny, Wyndham, oświadczył niedawno, że dwie tylko firmy angielskie wywiozły od roku 1895 do Chin:, 71 dział fortecznych i 11790 naboi do nich, 123 polowych i 49000 naboi, 297 dział karabinowych systemu Maxim'a i 4228400 naboi. Z Niemiec według statystyki urzędowej od r. 1895 do 1899 włącznie wywieziono do Chin: 1389500 kilogramów „broni palnej ręcznej dla celów wojennych" i 844700 kilogramów prochu strzelniczego; tabryki niemieckie wybudowały też dla Chin w ostatnich latach okrętów wojennych za sumę około 200 milionów marek. Kiedy więc eskadra międzynarodowa zdobywała w czerwcu roku bieżącego Taku, obstrzeliwano ją pociskami z dział pochodzenia francuskiego, niemieckiego, angielskiego, amerykańskiego, a oddział wojsk międzynarodowych pod wodzą admirała Seymour'a razili Chińczy karabinami systemu *Non olet*, Martini, Li-Malfort i Manlichera. Panowie Krupp, Scheider-Creuzot, Maxim, Armstrong etc. nie czują zapachu krwi, zagarniając złoto, wypłacone za naboje, co raziły ich rodaków...

Powstał zatem w Chinach cały kompleks interesów kapitalistycznych, i polityka państw o ustroju kapitalistycznym względem wielkiego państwa azyatyckiego pozostaje w związku najściślejszym z tymi interesami. Żądza ekspansyi, gorączkowe poszukiwanie nietylko już rynków zbytu, lecz lokaty dla kapitałów jest niezmiernie charakterystyczną cechą współczesnej fazy rozwoju kapitalistycznego, jest bowiem konsekwencyą konieczną dotychczasowego rozwoju. Na pierwszy rzut oka dziwacznym i niezrozumiałym przedstawia się obraz: czyż w państwach cywilizowanych Europy i Ameryki rzeczywiście doszliśmy już do takiego stanu, że siły produkcyjne muszą sobie szukać ujścia aż na dalekim wschodzie? Czyż obfitujemy już tak bardzo we wszystkie produkty pracy ludzkiej, że musimy koniecznie uszczęśliwić nimi ludy, zamieszkują-

ce kraje w głębi Azyi? czyż rzeczywiście kapitały, nagromadzone pracą wiekową w państwach zachodu, nie znalazłyby już żadnego zastosowania w Europie, i musimy używać fortelów dyplomatycznych dla narzucenia pożyczek milionowych państwu uwarkoczonych Azyatczyków? Toż dosyć chyba Europejczyków chodzi bez koszul i butów, toż miliony rolników europejskich morduje się na roli z sochą drewnianą, mieszka w chatach do chlewów podobnych, nie ma za co kupić krowy-żywicielki, toż tysiące włók moczarów i nieużytków w Europie czeka nakładów pracy i kapitału, tysiące mil dróg czeka naprawy, toż prowincye całe czekają na budowę kolei, toż miasta nasze cuchną dla braku kanalizacyi, i trujemy się w nich dla braku wodociągów, toż tysiące ludzi mrą u nas dla braku urządzeń hygienicznych! Nie mówiąc o tem, że zaspokojenie tych potrzeb dałoby zyski społeczne niepomierne, w wielu razach nawet rachubą czysto kupiecką możnaby tu oczekiwać zysków sowitych. Pomimo to widzimy brak kapitałów na zaspokojenie tych potrzeb społecznych, podczas gdy miliardy szukają lokaty w Chinach. Odpowiedź prosta: tam cały świat nowy otwiera się, świat pełen bogactw naturalnych, a zarazem pełen sił roboczych, ich zaś zastosowanie da „nadwartość", z której gromadzą się nowe kapitały. Zysk, powiększony o kilka procentów, stał się powodem dostatecznym dla ekonomistów, by zapomnieli o pięknej teoryi, opiewającej, że kapitał „jest rezerwoarem żywej siły społecznej dla kraju, w którym został nagromadzony, rezerwoarem, skąd czerpie społeczeństwo całe", i poczęli doradzać kapitalistom lokatę gdzieś w pożyczkach chińskich i kopalniach w Szan-Si.

Jednocześnie zmieniły się radykalnie poglądy tych sykofantów kapitału na rolę państwa. Owo państwo, od którego tak niedawno wymagano jedynie *laissez faire, laissez passer*, któremu przyznano jedynie znaczenie policyanta, utrzymującego porządek, teraz zostało wezwane do czynnego poparcia planów kapitalistycznych. By zaś skutecznie poprzeć plany „swoich" kapitalistów, rządy Anglii, Francyi, Stanów Zjednoczonych i Niemiec domagały się wydatku setek milionów na zbrojenia morskie, a wymowni ministrowie, jak np. hrabia Bülow i nowouszlachcony pan Tirpitz, wyraźnie powoływali się na „możliwość podziału wielkiego placka", na komplikacye polityczne, mogące zajść na dalekim wschodzie. Kiedy cesarz niemiecki w roku 1898 wysyłał brata swego na daleki wschód, mówił o „pięści w żelaznej rękawicy" (*die gepanzirte Faust*), a książę Henryk odparł, że płynie ze swoim okrętem, by głosić na wschodzie „ewangelię jego cesarskiej mości." I rzeczywiście pięścią zbrojną Niemcy, a za nimi inni dobijać się poczęli „podziału placka", jak

trywialnie może, lecz trafnie określił marzenia kapitalistyczne pan minister Bülow. Pamiętać wszakże należy, że ta „pięść w żelaznej rękawicy" przedewszystkiem zaciążyła na tych, co pracą swoją stworzyli kapitały, poszukujące zysków przy pomocy tej pięści, na masach ludowych, ponoszących ciężary nowych zbrojeń. Prędko zapomniano o pełnych prawdy, bijącej w oczy wywodach komunikatu dyplomatycznego, przesłanego przez hrabiego Murawiewa przedstawicielom państw w sierpniu 1898 roku: ponieważ ciężary finansowe wzrastają i podkopują dobrobyt ludów, duchowe i fizyczne siły narodów, praca i kapitał tych narodów zostają zużyte opacznie i nieprodukcyjnie. Setki milionów zostają użyte, by stworzyć straszne maszyny zniszczenia, które dziś uchodzą za ostatnie słowo nauki, jutro zaś wskutek jakiegokolwiek wynalazku w tej dziedzinie tracą wartość. Narodowa kultura, postęp ekonomiczny w wytwarzaniu wartości wchodzą na manowce i zostają sparaliżowane. Kryzysy ekonomiczne są poniekąd wynikiem tych niepomiernych zbrojeń, a stałe niebezpieczeństwo, jakie kryje się w tem nagromadzeniu środków wojennych, sprawia, że armie nowożytne stają się ciężarem, coraz dotkliwiej ciążącym na ludach. Jasnem jest, że, jeżeli stan taki potrwa dłużej, to doprowadzić może do katastrofy, której uniknąć było głównem zadaniem, a której wspomnienie już budzić musi zgrozę. Zapomniano o tych prawdach, i oto stoimy wobec skutków owej „ewangelii pięści zbrojnej", wobec katastrofy, którą sprowadził nowożytny kapitalizm, dążąc do podboju nowego świata. Chcemy wierzyć w szczerość zapewnień kierowników polityki europejskiej o zamiarach utrzymania harmonii, lecz nikt, znając historyę owych konszachtów kapitalistyczno-politycznych, prowadzonych w latach ostatnich w Chinach, ręczyć nie może, czy obecne położenie rzeczy w Chinach nie doprowadzi do dalszej katastrofy — walki o zdobycz chińską pomiędzy państwami kapitalistycznemi.

Dotąd charakter zajść w Pekinie nie jest znanym dokładnie, lecz jasnem jest zupełnie, że nowożytny najazd ekonomiczno-polityczny musiał poruszyć do głębi owo wielkie zbiorowisko ludzi, stanowiące państwo chińskie. Zajście takie, jak nieuzasadniony niczem najazd niemiecki na prowincyę chińską, jak owe wyrwane groźbą koncesye handlowe i t. p., musiały wzburzyć do głębi liczną bardzo i wpływową sferę ludzi wykształconych w Chinach. Pamiętajmy, że Chińczycy to nie Kafrowie lub Zulusi, że wiedzą oni dokładnie o tem, co się dzieje na widowni politycznej, i, jeżeli sądy ich o rzeczach politycznych mogą nam wydawać się dziwacznymi, to przecież sądzić należy, że uwagi tych ludzi ujść nie mogło niebez-

pieczeństwo, jakie grozi zewsząd państwu wskutek owych zabiegów kapitalistycznych, i że uczucia ich musiały być podrażnione w sposób najdotkliwszy niejednym frazesem, rzuconym przez mówców politycznych czy to z trybuny parlamentarnej, czy w innych warunkach. Ta klasa oświecona zresztą jest bezpośrednio zainteresowaną w utrzymaniu tych właśnie stosunków państwowo-społecznych, do których zburzenia dążą przybysze, wdzierający się do państwa. Jednostki owej klasy panującej urzędniczej umiały się zastosować do warunków, biorąc udział w przedsiębiorstwach zyskownych i bogacąc się wskutek właśnie zmian, jakie zachodzą; ogół wszakże tej klasy uprzywilejowanej musi z niepokojem śledzić przewrót, jaki się gotuje, zagrażając ich egzystencyi. Ci ludzie, jak wspomnieliśmy, mają wpływ na tłumy, i dziwnemby było, gdyby nie posługiwali się bronią, jaką jest słowo publiczne, czy to mówione czy pisane, dla szerzenia śród mas tych uczuć i poglądów, jakie sami żywią; życie zaś publiczne od wieków już wartkim płynie prądem w społeczeństwie chińskiem: każdy obchód religijny przybiera tu formę wiecu, gazety zaś i pisma ulotne znajdują czytelników w masach ludowych, gdyż umiejętność czytania jest powszechną u Chińczyków.

Niema tej niechęci klasy uprzywilejowanej, kończy się jednakże opozycya. Wtargnięcie kapitalizmu musiało poruszyć bezpośrednio masy ludu pracującego. Pamiętajmy o tem, że zaprowadzenie maszyn, poruszanych parą, wywoływało w swoim czasie bunt robotników we wszystkich krajach, począwszy od Anglii, gdyż robotnicy widzieli w maszynie współzawodnika, który o głód przyprawia; pamiętajmy, że w pierwszych torach kolejowych lud rosyjski widział „ogon bestyi”, która, według słów Apokalipsy, będzie poprzedzała przyjście Antychrysta, a przeciw pierwszym lokomotywom wychodził z obrazami święconymi, jako przeciw „nieczystej sile”. Jakież więc musiały powstać pojęcia u ludu azyatyckiego! Zważmy dalej zmiany w warunkach ekonomicznych. W opisach podróży po Chinach, szczególnie środkowych i południowych, powtarza się stale obraz: drogi przepełnione taczkami, które wiozą wyrobnicy, rzeki, przepełnione łodziami, które holują znów wyrobnicy. Pociągi kolejowe i statki parowe rugują natychmiast tysiące i setki tysięcy tych robotników. Ekonomika wulgarna pociesza nas wprawdzie, że maszyny, rugując ludzi z jednych gałęzi pracy, dają zajęcie większej nawet ilości ludzi w innej formie, tak np. owi tragarze i holownicy znajdą zajęcie przy budowie dróg, w dokach, składach i t. p. Jest to złudzenie jednakże. Do budowy dróg żela-

znych inżynierowie bezwątpienia poszukali robotników odpowiedniego uzdolnienia i sprowadzili ich na miejsce robót, do pracy w dokach i składach poszukano ludzi nawykłych do tej pracy w portach. Po latach kilkunastu zapewne okaże się, że popyt na ręce robocze wzrósł wskutek nowych środków komunikacyi i zakładania fabryk, ale co zrobią na razie tragarze i holownicy, co zrobią owi tkacze ręczni i przędzarze bawełny, którym fabryka odebrała zarobek?

Lecz na tem nie koniec przewrotom. W kosztorysach dróg żelaznych chińskich nie znajdujemy zgoła sum na wynagrodzenie właścicieli, których grunta zostały użyte pod tor. Tłómaczy się to tem, że, jak wspomnieliśmy, mówiąc o kwestyi misyi chrześcijańskich, posiadanie ziemi nie jest indywidualne, lecz rodowe, ród zaś dzierży ziemię z ramienia rządu, więc wystarcza prosty rozkaz, aby wywłaszczyć posiadaczy tych gruntów. Gdzie zaś tor kolejowy przechodzi po kraju, w którym uprawa jest możliwą tylko przy sztucznej irygacyi gruntów, tam założenie toru kolejowego musi wywołać zamęt, gdyż burzy cały system misterny praw i obowiązków właścicieli gruntów, jak to staraliśmy się wyjaśnić w innem miejscu [1]). Przyznajmy, że w ten sposób powstaje cały szereg przyczyn, które mogą wywołać opór ludności, pracującej przeciw inowacyom, jakiemi obdarza ich cywilizacya kapitalistyczna, a wobec tego wzbudza się obawa, że przewrót polityczny, jaki odbywa się obecnie w Pekinie, może z łatwością poruszyć masy ludowe, może przybrać wszystkie cechy gwałtownej rewolucyi społecznej z całem towarzyszącém jej rozkiełzaniem namiętności tłumów.

Prasa europejska lekceważy sobie zajścia chińskie, i wszystkie jej wywody kończą się argumentami „zbrojnej pięści". Zapewne — gdy chodzi o zwycięźenie armii chińskiej, wystarczy wysłanie kilkudziesięciu pancerników i kilku dywizyi wojsk; lecz jeżeli chodzi o stłumienie ruchu, który żywiołowo ogarnia lud, liczący setki milionów, w kraju o kulturze zgoła odmiennej od naszej, sprawa przedstawia się inaczej. Tu wielkie akcye, do jakich są uzdolnione armie europejskie, żadnego nie mają znaczenia; zajęcie miast, zdobycie twierdz, zwycięstwa w bitwie walnej są bezskuteczne, chodzi o zwalczenie całego narodu, o poskro-

[1]) „Kronika ekonomiczna" w zeszycie czerwcowym, str. 631—632.

mienie band, rozbiegających się po całym kraju, o chwytanie każdego człowieka zbrojnego, a w takiej walce nowożytne machiny wojenne nie sprawiają skutku; działo wtedy jest bezużyteczne, a najlepszy karabin magazynowy nie więcej wart od starej krucicy. Europejczycy toczyli już takie walki z Azyatczykami: zdobycie Tongkinu kosztowało Francyę w latach od 1883 — 1887 około 10000 poległych i 28000 rannych, oraz 300 milionów franków; na Filipinach Amerykanie dotąd nie zdołali pokonać Tangalów; Tongkin zaś i Filipiny razem wzięte nie zrównają ani co do obszaru, ani co do ludności jednej z prowincyi chińskich. Oczywistem więc jest, że, jeżeli mamy do czynienia obecnie w Chinach ze zjawiskiem takiego ruchu, to Europa długo jeszcze będzie czekała na przyobiecany przez pana Bülow „podział placka".

Lecz, być może, chodzi tym razem rzeczywiście o walkę stronnictw, ubiegających się o władzę, o rewolucyę pałacową, którą rozstrzyga bój na ulicach Pekinu, jak twierdzą niektórzy znawcy Chin. Jeżeli tak jest, to znów zradza się obawa, że rezultatem tych zajść będzie reorganizacya państwa, i Chiny, podobnie jak Japonia, staną się nowożytnem państwem militarnem. W takim razie jednakże skończy się prędko peryod okupacyi rozgraniczenia „sfer wpływów" i wymuszania „koncesyi", wtedy pocznie się, być może, bój na śmierć i życie pomiędzy Europą a Azyą militarną, i nowe ciężary miliardowe dla celów militarnych przytłoczą ludy Europy. Oto bilans polityki „uzbrojonej pięści."

J. B. Marchlewski.



PONAD SIŁY.*)

POWIEŚĆ.

ROŻDZIAŁ IV.

Posiedzenie ankiety otwarte w sali ministeryum handlu. Członkom parlamentu i wysokim urzędnikom skarbu wolno było przysłuchiwać się obradom i w razie potrzeby dawać objaśnienia. Rząd reprezentował sekcionsszef ministeryum skarbu dochodów niestałych. Obok szefa stanął wielki przemysłowiec i fabrykant wiedeński Wangenmann, mąż zaufania pana szefa sekcyi. Tadeusza otoczyli polscy przemysłowcy, prezesa Koła polscy rządowcy z koła, profesora Suessa lewica nieprzychylna rządowi.

Tadeusz zabiera głos, opowiadając o nadużyciach przez sprowadzanie zabarwionego rafinatu, opłacającego cło surowca.

Sekcionsszef, posuwający gorliwość swą do tego stopnia, że po pogrzebie swej żony wrócił wprost do biura załatwiać referaty, znany, jako nieugięty i nieskazitelny, odparł z godnością:

— Rząd o tem nic nie wie.

Urzędnicy za swym szefem powtarzają;

— My o tem nie wiemy, potwarcę czeka wielka odpowiedzialność.

---

*) Ob. „Ateneum", styczeń — sierpień, 1900 r.

Tadeusz nie zbity z tropu mówi dalej:

— Ministeryum nie wie, za to jego mężowie zaufania sprowadzają do swoich fabryk falsyfikat.

Wielkie wzburzenie wśród urzędników i rządowców „Koła polskiego”.

— Kto, gdzie? — dowodów, dowodów, potwarz!...

Profesor Suess wstaje wśród wrzawy, zwraca się do Tadeusza i mówi głośno:

— Macht nicht's, sprechen sie weiter!...

Polacy i lewica popiera Tadeusza, robi się cisza, mówi dalej:

— Mamy w gronie swojem wielkiego przemysłowca, który ma fabrykę nafty i wszelkich wyrobów naftowych, dziś mąż zaufania i jest jednym z pierwszych, którzy sprowadzają falsyfikat. Oto daty i dowody. Wyjął papiery, położył je na stole.

— W miesiącu październiku — mówił dalej:

— Nieprawda, zawołał nerwowo Wagenmann, bo zacząłem w listopadzie *).

Tadeusz rozłożył jeden z papierów.

— Dziękuję panu Wagenmannowi za sprostowanie pomyłki. Istotnie, w miesiącu listopadzie weszło do jego fabryki sześćset wagonów surowca, który miał 94 ciężkości gatunkowej!...

Suess, lewica, towarzysze Tadeusza, rozśmiali się wesoło. Prezes i prawica „Koła” poważnie wstrząsali głowami.

— Nie wiem, czy pan Wagenmann, mówił dalej Tadeusz, jest twórcą pomysłu falsyfikatu, lecz on go pierwszy zaczął sprowadzać i, jako mąż zaufania, zaufanie zyskiwał...

Rząd w osobie pana szefa sekcyi mówi nam atoli, że nic o tem nie wie?!... Niektórzy z jego człouków utrzymują, że może i egzystuje na Kaukazie surowiec, który posiada 94 procentów czystej nafty?... My jednak wiemy, że surowiec kaukaski ma czystej nafty najwyżej 35 do 40 procentów dlatego, bo idzie w tej wiadomości o naszą skórę, tembardziej, że w Austryi są dwie skóry, jedna rządu i jego szefów, druga Polaków i Słowian!...

Lewica ostatnie wyrazy przyjęła oklaskami. Prezydujący w ankiecie prezes „Koła” zadzwonił, powstał i rzekł do Tadeusza:

— Odbieram panu głos...

— Skończyłem, rzekł Tadeusz, a zatem próżna pańska fatyga.

— Do głosu zapisany doktór Suess.

---

*) Autentyczne.

Powstał profesor, rozbawiony mową Tadeusza i jego dowodami.

— Niema wątpliwości, oświadczył, że falsyfikat istnieje, że Węgry sprowadzają do Austryi czystą naftę, płacąc za nią cło, przypadające od surowca, a zatem osiem razy mniejsze. Tym sposobem niszczą skarb państwa i rujnują jedyny przemysł naftowy w Europie, jaki posiada Galicya. Tych faktów nie potrzebuję dowodzić, bo już dowiedzione, a panu prezydującemu oszczędzę przykrości odbierania mi głosu...

Wesołe szumy przeszły przez salę.

— Aby raz tym machinacyom koniec położyć, nie zajmujmy się jakością surowca, to nas nic nie powinno obchodzić, choćby nawet surowiec kaukaski posiadał 99 procentów czystego produktu. Nas, konsumentów, obchodzi nafta, i dlatego stawiam wniosek.

Uciszyło się, pióra reporterów dziennikarskich zaskrzypiały:

— Ocalimy naftę! Po ścisłem obliczeniu można postawić następujące cyfry:

1) Za wprowadzenie sto kilo czystej nafty do państwa austro-węgierskiego płaci się dziesięć guldenów w złocie czyli 12,50 w papierach.

2) Nafta, wydystylowana w Austro-Węgrzech z obcego surowca, zapłaci w złocie osiem guldenów czyli w papierach dziesięć.

3) Nafta, wyprodukowana z surowca krajowego galicyjskiego, zapłaci podatek konsumcyjny 6,50, a zatem o trzy złr. 50 centów na cetnarze mniej, aniżeli nafta, dystylowana w państwowych rafineryach z surowca obcego.

Profesor skończył, nastało poważne milczenie. Tadeusz powstał i rzekł:

— W imieniu kolegów moich tu obecnych, a mam nadzieję w imieniu kraju — przyjmuję — skłonił się Suessowi i siadł.

Towarzysze Tadeusza zgodzili się.

— Przyjmujemy oświadczenie kolegi, bo wniosek ten może uratować nasz przemysł.

— My nic przeciwko wnioskowi nie mamy, odezwał się głos z lewicy Koła — jest wyborny i sprawiedliwy.

Zrobił się szmer, zmieniający się w wesołą wrzawę. Prezes Koła polskiego a przewodniczący komisyi zadzwonił — uciszyło się.

— Posiedzenie przerywam na pół godziny dla możności poufnego porozumienia.

Wszyscy powstali prócz reporterów, kończących notatki. Polscy członkowie ankiety złączyli się z Niemcami, prawica z reprezentantami rządu, Tadeusz rozmawiał z Suessem, prezes Koła z Wagen-

mannem i szefem sekcyi. Wagenmann chwytał się za głowę, szef sekcyi ciskał z oczu pioruny. Czuć było w powietrzu, że walka wybuchnie, że Niemcy z lewicy będą bronić przemysłu galicyjskiego, a Polacy z prawicy wraz z rządem niszczyć i zabijać ten przemysł na korzyść Węgrów i siedmiu milionerów austryackich, a na szkodę skarbu państwa i upadek kraju.

Na ponownie otwartem posiedzeniu sformułowany wniosek Suessa poddano pod głosowanie. Przeszedł znaczną większością. Głosowali przeciw niemu urzędnicy austryaccy, mężowie zaufania i członkowie prawicy Koła wraz z chudą, a długą ekscelencyą, swym prezesem...

— A zatem wniosek posła Suessa przechodzi do parlamentu, rzekł przewodniczący—ankieta skończona.

Na to powstał szef sekcyi, dziękując prezesowi za przewodnictwo rozumne i „bezstronne". Reporterzy wypadli z sali. Polacy dziękowali Suessowi za wyratowanie ich i półmilionowej ludności polskiej i ruskiej od ruiny i nędzy.

Na sali po wyjściu prezesa ukazał się pan Edward. Uchylił się od wyboru do ankiety. Jako solidarnie związany członek prawicy nie mógł stawać w opozycyi przeciw prezesowi swemu i kolegom, a znowu nie chciał głosować na zgubę własnych interesów. On to w tajemnicy postarał się o dowody sprowadzenia falsyfikatu przez Wagenmanna do swej fabryki. Był duszą spisku, dzielnie pomagał Tadeuszowi, lecz również i zręcznie się kryć potrafił. Zobaczywszy się wśród swoich, zaczął siarczyście deklamować, dowodzić i grozić rządowi i jego mamelukom!...

— Tadziu, my się nie damy, przy tobie stanie cały kraj, jak jeden mąż, cały sejm, prawica Koła musi ustąpić... W parlamencie czeka nas zwycięstwo.

I Tadeusz był dobrej myśli, wierzył w zwycięstwo dobrej sprawy, ponieważ sprawa ta połączona była z korzyścią państwa.

W tym czasie dokonywała się ugoda cłowo-handlowa między Austryą a Węgrami — i Tadeusz nie wątpił, że Austrya potrafi bronić własnej skóry, a zatem i przemysłu galicyjskiego przed drapieżnością.

Pełen otuchy pojechał do swego wspólnika wielkiej rafineryi pod Kołomyją.

Ojciec Ketti po dowiedzeniu się o wniosku Suessa uściskał Tadeusza serdecznie.

— Jesteśmy uratowani, a byłem pewny, że trzeba będzie ogłosić konkurs i zamknąć naszą dystylarnię. Zaforsowaliśmy na nią

za dużo o parę kroć sto tysięcy, chociaż przez to fabryka nasza najlepsza w Austryi, lepsza od fabryki Wagenmanna, a nawet od dystylarni w Fiume, zbudowanej dla falsyfikatu...

— Jesteśmy uratowani, szepnął Tadeusz i głęboko odetchnął.

— Kamień spadł ci z serca, co?

— Spadł wielki kamień, gniótł mnie, jak zmora, i dusił...

— Konkurs nie byłby straszny, lecz zawsze kredyt zachwiany na parę lat.

— Zmarnowane życie, dodał Tadeusz.

— No, nie tak stanowczo! Możnaby się jeszcze dźwigać. Obliczmy, drogi mój, jak staniemy podług nowego oclenia nafty i opodatkowania jej u nas.

— Obliczyłem — podał bankierowi papier. Zyskujemy podwójnie, bo dystylarnie wiedeńskie będą się ubiegać o nasz surowiec naftowy. Wolą płacić podatek sześć pięćdziesiąt, niż cło dwanaście lub dziesięć. Zwycięstwo podwójne, Suess dzielny i uczciwy, on wniesie projekt w parlamencie.

Bankier wpatrywał się uważnie w cyfry.

— Nadto dobre daje dla nas rezultaty wniosek Suessa, i dlatego zaczynam się o niego bać.

— Jest również dobry i dla skarbu austryackiego.

— A za to zły dla Węgrów, i jeszcze więcej zaczynam się o niego bać wobec ugody cłowo-handlowej, dokonywanej obecnie. Kogóż się tu poświęca zawsze, jeżeli nie was?... I tego poświęcenia dla wyższej racyi będą żądać od ministra, od prezesa Koła, od większości, która jest rządową. Kto was będzie bronić?... Lewica Koła polskiego, która ma zakneblowane usta solidarnością?... Ona w najlepszym razie wyjdzie podczas głosowania.

— Nie strasz mnie pan!... Uciekłem tu, aby sobie odpocząć i dzielić się z wami rezultatami, jakie zdobyliśmy. Nie dręcz mnie pan czarną przyszłością i tem przekonaniem, że wszystko zapóźno...

— Dobrze więc, przynajmniej dziś do wieczora udawajmy, że wierzymy we wniosek Suessa. Telegrafowałeś pan do prasy galicyjskiej?...

— Po ankiecie natychmiast, a będę telegrafował po ukazaniu się *Neue Pressy*.

— Z niej dowiemy się, czego chcą Rotszyldy i Wagenmanny. Nowa *Pressa* pogodzi się z Węgrami, z konserwatywnym rządem, żeby pokaże Niemcom z lewicy, której niby jest organem, a będzie bronić fałszerstwa i przemytnictwa, bo te są „geszeftami” Rotszyldów. Nowa *Pressa* to geszeft, zasad używa, jak maszyn, do robienia ge-

szeftu. Jest to tuba Rotszyldów i ich wspólników, śpiewająca wśród rozlicznych melodyi ich melodyę—melodyę geszeftu kosztem wszystkich. Tak, tak, drogi panie Tadeuszu, za przemytnictwo i szacherstwo Rotszyldów z Węgrami każą nam drogo płacić.

— Moja kopalnia, dodał cicho Tadeusz, zapłaciła im haraczu dwakroć sto tysięcy.

— I nie bijesz we wszystkie dzwony i nie wołasz na ulicy, że to mord i rozbój?

— Nie, boby mnie uwięziono. Rządząca partya służy rządowi, a rząd popiera ją i broni. Cóż obchodzi większość galicyjską nafta o stu milionach rocznej produkcyi?... Nic — absolutnie nic. A co obchodzi rząd dziesięć milionów podatku wobec ugody z Węgrami?...

— Nic, absolutnie nic, zawołał bankier. Ten łajdak Beust wpakował Austryę ugodą z Węgrami w matnię bez wyjścia.

— Wie jednak niemiecka Austrya, co robi, bo gdyby nie była węgierską, nie byłaby i niemiecką.

— I gdyby tak było, może byłoby dla niej najzdrowiej, bo dziś, kręcąc się ciągle w tem trzęsawisku, może się zapaść.

Tadeusz milczał, pogrążony w chaotycznej zadumie.

Cicho do gabinetu ojca weszła Ketti. Nie było to już dziewczę podobne do rodzącej się wiosny życia, lecz dziewica w całym blasku piękności i zdrowia. Była to już kobieta, która umie myśleć i tworzyć sobie przyszłość. Znała przez ojca i brata interesy Tadeusza, witała go już, nie jak zakochana, lecz jak przyjaciółka, która mówi: „gdy wyjdziesz z kłopotów, to zobaczę, jeśli się tym czasem coś lepszego nie trafi"... Wiosna już odleciała odemnie i nie jestem dziewczątkiem zakochanem, w swym nauczycielu języka angielskiego, zmienionym w milionera w mej romantycznej głowinie. Już dziś znam twoje interesa tak dobrze, jak i ty — umiem patrzeć i czekać. Życie długie, trzeba je umieć przeżyć, a przedewszystkiem posiadać, aby je przeżyć wygodnie i wesoło".

Takiemi oczyma patrzała na swego nauczyciela. Tadeusz odgadł tok myśli pod czaszką dziewczyny, uśmiechnął się i, jak gdyby na podziękowanie, poniósł jej rękę do ust. Ręka była duża, lecz za to w dotknięciu wypieszczona, robiła wrażenie aksamitu. Hołd ten polskiego szlachcica ucieszył córkę bankiera, uśmiechnęła się.

— Odgadłeś, że już wulkan mego serca stygnie, i pewno dlatego twój zaczyna płonąć, myślała.

— Co za szybkie przemiany, odezwał się Tadeusz — z dziecka w wiosnę — z wiosny...

— W lato, dokończyła, czy nie za szybko?...

— Nie to chciałem powiedzieć, odparł — z pogodnego kwietnia wchodzimy w rozkoszny maj. Z dzieweczki w boginię wiosny, rzucającej rozkosz dokoła, upojenie, szczęście.

— Chciałabym panu dać to ostatnie, rzekła, abyś zwyciężył w walce, którą prowadzisz.

Tem praktycznem powiedzeniem przywróciła równowagę. Tadeusz już nie miał obowiązku silić się na poetyczne zwroty, odetchnął głęboko, Ketti myślała, że piękność jej zapiera mu oddech i rozśmiała się wesoło, rytmicznie, z pewną gamą muzyczną.

— Dziękuję za życzenie, dodał Tadeusz. Nieprzyjaciel potężny ma na swe rozkazy armie i sprawiedliwość, ma za sobą państwo i rządy, które się go boją.

— Czemuż my nie jesteśmy tak silni, jak Rotszyldy, rzekła dziewczyna? zamiast z panem walczyć, wzięlibyśmy cię do spółki w korzyściach, i sprawa byłaby załatwioną.

— Nie mógłbym należeć do takiej spółki.

— Dlaczego? rozwarła prześliczne oczy, podobne kolorem do modrego Dunaju.

— Bo tu idzie o los mej ojczyzny.

— Cóż ojczyzna ma do pańskich interesów, do korzyści, jakie mógłbyś otrzymać?

— Wszystko — gdyż solidaryzuję się z jej dolą lub niedolą...

— I bez pana da ona sobie radę.

— Ta wiosna w maju już się nauczyła praktyczności...

— Nauczyłam się tylko szczerości, odpowiedziała Ketti wesoło, patrząc wyzywająco na Tadeusza, nie jak zakochana dzieweczka, lecz raczej kobieta, pragnąca tłum mieć u swych nóg. Chodźmy do salonu, dodała, tam milej. Wsunęła mu rękę pod ramię i mówiła wesoło dalej.

— Przestań pan z ojcem liczyć i kombinować, należy coś zostawić na szczęśliwy przypadek! Jesteś pan zmęczony, wyczerpany, oczy ci świecą fosforem, odpocznij, ukołyszę twoje nerwy muzyką. Nie odczuwam waszego Chopina ani naszego Szumana, lecz zagram ci pieśni bez słów Mendelsohna, mają one w sobie niemiecką zadumę i pogodną moc.

— Dobrze, dobrze, odezwał się bankier, zabierz go i zatrzymaj do obiadu. Tylko jedno mi pan powiedz, skąd dostałeś cyfry sprowadzania falsyfikatu do dystylarni Wagenmanna?

— Z ministeryum skarbu z sekcyi dochodów niestałych.

— Ach! to wyborne. Gdyby się o tem dowiedział szef sekcyi. I drogo cię kosztowało?...

— Dwieście guldenów.

— Za bezcen głupiec sprzedał tajemnicę swego szefa.

W salonie Ketti posadziła Tadeusza na kozetce, umieszczonej w cieniu, z której jednak mógł patrzeć na jej profil.

Tadeusz zamyślił się głęboko.

— O czem marzysz? zbudziło go dziewczę.

— O sprawiedliwości bez złota i o miłości bez złota i o wielkich ideach, które do przemiany w krew ludzkości nie będą potrzebowały złota.

— Daleko do tego -— daleko!...

Kręciła dziwnie niedowierzająco główką.

— Idźmy więc zaraz, to prędzej dojdziemy.

— Którędy?

— Przez miłość...

Ketti myślała, że to początek oświadczyn, spłonęła, serce szarpnęło się w niej, oddech stał się krótki, łono się wznosiło, ręka drżała... Zapanowała jednak prędko nad sobą i rozśmiała się.

— Mistrzu, rzekła — tę Amerykę już odkryto przed tobą...

— Jest nieustannie odkrywana i nigdy nie odkryta. I miłość się kształci i coraz szersze widnokręgi obejmuje, coraz nowe odkrywa światy.

— Ta wielka, lecz ta mała nasza...

— Ta mała, jeśli się może nurzać w tej wielkiej, wtedy jest prawdziwą.

Dziewczyna znowu zaprzeczyła głową.

— Nieprawda, powiedziała, ta mała jest w sobie sama wielką, wielkość jej wystarcza dla niej w zupełności.

Tadeusz patrzał chwilę w jej modre oczy i nareszcie cicho powiedział:

— Taka jest zasadnicza różnica dwu światów...

— Dokończ, mistrzu!

— Niechaj za mnie kończy „pieśń bez słów".

— A czy mi potem powiesz? co ci ona wyśpiewa.

— Powiem, ale graj długo, długo...

I popłynęła pieśń łagodna, jak marzenie w ciszy. W ciszy tej czuć było upał Palestyny...

Niemeczka grała wytwornie—spokojnie i ciepło.

W hotelu Tadeusz zastał telegram o dwudziestu wierszach, podpisany przez Sygurda Wiśniowskiego i Klemensa Postruskiego.

„Wielka własność Kałusz, Stryj i Drohobycz stawia cię, jako kandydata do parlamentu dla obrony sprawy naftowej. Kandydatem rządowym jest doktór Julian Czerkaski. Starosta stryjski z polecenia rządu jest naszym przeciwnikiem i agituje za Czerkaskim.

„Za nami są Szeyer i grupa Żydów kopaczy i dystylatorów nafty w Drohobyczu, książę i Simon (bank kredytowy), jako przeciwnicy ministra i jego polityki finansowej.

„Wzięliśmy się do rzeczy po amerykańsku. Dziś tnę wielką mowę kandydacką za tobą w Kałuszu, Klemens w Drohobyczu.

„Stryj, jak wiesz, spalił się tydzień temu do szczętu, został jeden hotel, i ten w naszych rękach.

„Są wszelkie szanse, bylebyś zdążył przyjechać w dzień wyborów, aby wyciąć dziękczynną mowę szlachcicom i panom Żydom z wielkiej własności.

„Dla dopilnowania naszych wyborców ze starego zakonu zjeżdża ze Lwowa Simon w swojej osobie.

„Twoja działalność w ankiecie odbiła się radosnem echem w całym kraju.

„Pędź do nas bez wytchnienia, nie damy się.

„Dowiaduję się, że sam minister szle telegramy do starosty. Walka będzie zażarta, dziś mamy większość ośmiu głosów".

Telegram wypadł mu z rąk, włosy zatargał, chodził nerwowo po pokoju.

— Nie przyjąć mandatu nie mogę, bo nie mogę zdradzać sprawy. Przyjąć mandat i tu utonąć w morzu interesów austryackich bez możności bronienia ich z naszego stanowiska to śmierć moralna, bezczynność, popieranie polityki rządu i większości „Koła", która jest więcej rządową, niż sam rząd. I aby być potakującym głosem lub milczącym przeciwnikiem, szkoda na to młodości i tylu zaczętych prac w kraju. Kraj na mnie czeka, kraj mnie woła — ja sam czuję, że mogę, a zatem powinienem mu służyć — i będę.

Co robić, jak wyjść z tego labiryntu? Odmawiać wyboru nie mogę i zostać w Wiedniu, w parlamencie, nie wolno mi! Nie wolno, nie wolno pod zdradą stanu względem mego kraju.

Spakował rzeczy, kazał je odesłać na północny dworzec, zapłacił rachunek, siadł do powozu, pojechał do mieszkania pana Edwarda. Nikogo prócz Koczalskiej nie zastał. Przyjęła go z nerwowym entuzyazmem radości i strachu.

— Tak krótki czas, a jakież wielkie zmiany, mówiła. Siedzimy w Wiedniu, odcięci od kraju, wśród Niemców, nudzimy się strasznie. Co za udręczenie! Marynia smutna, często wzdycha, czasem płacze... Pan pewno wie, że ten wielki pan, pół Niemiec, pół Czech bywa codzień, jest łagodny, słodki, piękny, wszystkie panie z arystokracyi są w nim zakochane, pan Edward podobno zakupuje msze u Kapucynów, aby córkę jego Bóg natchnął rozumem i została Czeszką albo Niemką. Siadaj pan. Wyjrzała niespokojnie oknem.

— On się modli do niemieckiego Pana Boga, aby niemiecki rozum wszedł w Marynię i została Niemką, bo wszyscy panowie czescy to przecie Niemcy!... Ale od czegóż dziewczę ma matkę w niebie, przecie czuwa nad swem dzieckiem i nie odda go Niemcowi, chociażby miał zamki warowne i koronę złotą na głowie. Matka czuwa, panie Tadeuszu, i bądź spokojny. Dusza moja polska trzęsie się z wściekłości, że rodzony ojciec swe dziecko sprzedaje Niemcowi. Spojrzała na zegar i znowu wyjrzała przez okno.

— Marynia z księżną na koncercie. Wielki koncert, ma być na nim „dwór" — stroje balowe — Marynia prześliczna. Powinien się już skończyć.

Zbliżyła się do Tadeusza i szeptała mu.

— Jeżeli wróci z ojcem, to stary nie puści pana na krok. Wszystkiego się domyśla. Lecz zdaje mi się, że nie był na koncercie, i księżna ją odwiezie, ale nie wstąpi, i wtedy będziecie godzinę lub dwie razem. Nie puszczę Czecha, jeśli przyjdzie. Westchnęła ciężko.

— Co ona ma za przyjemność z tym Czechem?!... Przyjdzie, usiądzie obok niej i gada, gada, gada, a Marynia wtedy pochyli głowę na kozetkę, zamknie oczy i marzy... Pytam się jej: o czem wtedy myślisz, Maryniu?... a ona mi na to: myślę o moim mężu, o jego walkach, o jego pracy, o jego nocach bezsennych.

— I cóż? dodaję.

— Kocham go jeszcze więcej, odpowiada ze smutnym uśmiechem.

— Taką to będziesz miał żonę. Bo, że matka Maryni dopilnuje tego w niebie, wierzę, jak w sakrament!... Jadą! szepnęła.

Przyłożyła rękę do ucha — słuchała. Tadeusz już był przy oknie, przy nim Koczalska.

— Wygrałeś — kareta księżny! zawołała.

Pochyliła się do okna, aby zobaczyć na ulicę.

— Pan Edward bardzo lubi siadać do karety księżny i w książęcej karecie pokazywać się ludziom.

Kareta wjechała w bramę, Koczalska wybiegła z salonu.

— Boże, gdyby sama Marynia! ręce do góry wniósł Tadeusz.

Koczalska wróciła zdyszana.

— Sama, wygrałeś — daję ci dwie godziny czasu, będę pilnować, jak pies. Należy się biednemu dziecku na tej niemieckiej pustyni odrobina szczęścia. Idzie, patrz — moje biedactwo!...

Jedwabie zaszeleściły, weszła, stanęła na środku w przezroczystym półzmroku salonu... Wyciągnęła ręce.

— Byłam pewna, że cię zastanę, i użyłam całej zręczności kobiecej, aby wrócić sama. Podiebrada wysłałam za swemi sprawami, ojca odwiozłyśmy z księżną do parlamentu na posiedzenie „Koła” i jestem twoja, sama jedyna.

Tadeusz wzruszony nie mógł mówić.

— Za tyle trosk, za oddanie młodości mej Bóg mi cię zesłał, jako nagrodę życia. I jeżeli mi nie oddaje ciebie odrazu, to tylko dlatego, żeby zwiększyć moją nagrodę i moje szczęście.

Patrzała rozkosznie...

— Nie można przeciągać struny nawet szczęścia, zabieraj mnie, bo ucieknę z Podiebradem. Ojciec będzie ręce łamał, a ty zapłaczesz.

— Nie uciekniesz, przyjadę pilnować cię.

— Tu do Wiednia — a rozpoczęte prace, wielkie nadzieje, wszystko rzucisz dla jednej kobiety. Czyż nie łatwiej kobietę tę mieć przy sobie...

— Patrz, rzekł, podając jej telegram.

Pobiegła do okna, czytając niecierpliwie.

— Co myślisz? spytała.

— Nie przyjąć byłaby zdrada interesów, za które dziś walczę, tchórzostwo wobec rządu, siebie, koła polskiego.

— Przyjmiesz, a dalej?

— Stoczę batalię za sprawę naftową, mandat złożę i wrócę do kraju.

— Kiedy jedziesz?

— O dziesiątej kuryerem.

— Godzina jedna, tylko godzina dla mnie, dla kobiety, którą kochasz, dla twej żony?...

Wsunęła mu rękę pod ramię i zaprowadziła do przyległego buduaru.

Lampa oświecała niewielki salonik, wysłany smyrneńskim dywanem. Kozety i stoliki, na nich rozrzucone książki i ilustracye. Na osobnym cały Słowacki oprawny w biały pargamin.

— Rok się skończył, gdym odebrała pierwszy od ciebie ze Swobody list. Co to były dla mnie za czasy. W naturze mej budząca się wiosna, a w mem sercu blaski i błyskawice. Pamiętasz? pisałeś:

„Masz śliczne, wielkie oczy, uśmiech radosny i usta z koralu. Hebanowe twoje włosy spadają kaskadą na śnieżne ramiona.

„Na czole prostem i równem rozściela się zadumana dobroć w myśli bogata".

Pocałuj zadumaną dobroć na mem czole — twoją jest...

Tadeusz drżącemi ustami przysunął usta do jej czoła.

„Kocham głębię twych oczu i blaski, płynące w promieniach twego wzroku".

— Pocałuj oczy i pocałunkami rozpalaj płynące blaski.

Całował oczy, zapierając oddech.

— „Kocham białe szeregi pereł wyglądające z korali ust"...

Zapłonęła, kryjąc wstyd za rzęsy swych oczu.

Ukląkł przed nią i całował jej kolana.

Podniosła go, oddając mu korale swych ust i białe szeregi pereł...

Po chwili ocuciła się i z subtelną serdecznością mówiła, tuląc pieszczotliwie głowę do jego piersi.

— „Kocham cię, jak dobrą myśl, spełnienie obowiązku, ciche zadowolenie uczciwego życia, jak ofiarę, dobry uczynek, świętość i miłość, westchnienie za niedościgłym ideałem! Kocham cię, jak radość naszego serca, szlachetną duszę, uczciwą pracę, pragnienie służenia dobrej sprawie, kocham cię, jak myśli twoje, lecące ku mnie. I kocham twoją tajemniczość, siłę twego ducha, który prowadzi mnie naprzód wysoko i coraz to nowe słońca przede mną zapala".

Odetchnęła całą piersią....

— Taką była, rzekła spokojnie, i taką powinna być miłość twoja, i za tę miłość przysięgłam ci być twoją w dobrych i złych losach. U księżny widziałam na twem czole zadumę, w oczach smutek, w uśmiechu odcień bolesnego sarkazmu. Patrzałeś na mnie dziwnie, na Podiebrada z litością... A teraz powiedz, czy, gdybym cię nie kochała, ciebie jednego i jedynego, gdybym nie była pewna, że w dobrych i złych losach będziesz moim mężem, czy, będąc uczciwą pozwoliłabym, abyś mnie całował... Myśl twoja tego nie przypuszcza. Nie skaziłeś mnie nawet myślą twoją, wierzę w to. A więc odpowiadaj...

— Wiara moja w ciebie nigdy nie gasła. Jedyne obawy,

jedyne niepokoje, jedyne strachy szarpią mi serce, czy wart jestem ciebie.

— I może dlatego nie chcesz mnie zabrać?... Może się mnie boisz, jak świętej, bo z świętą ciężka sprawa. Nie jestem nią i nie chcę być nią... A może ty się boisz, żebym nie poleciała wprost do nieba.

— Boję się, szepnął. Grzechy przykuwają do ziemi.

— Tak, to prawda. Pierwszy mój wielki grzech Podiebrad.

Tadeusz oczy rozwarł szeroko.

— Słuchaj. Niemieckiego tego pana w czeskiej skórze ciągnęła gwałtownie zmysłowa dziewczyna z węgierskiej arystokracyi. Rzucała na niego czary, zastawiała sidła. Otóż ja te sidła jednym zamachem porwałam — i Podiebrad przyszedł do mnie. Nie odepchnęłam go, nie miałam za co — został...

Mówiłam mu, że mam narzeczonego, mrużył oczy, uśmiechał się, nie odchodził. W długich godzinach nudów wiedeńskich całemi godzinami siedziałam z przechyloną głową, z zamrużonemi oczyma i przy akompaniamencie jego głosu myślałam, jak ty, biedaku, walczysz, szarpiesz się, pracujesz, zdobywasz miejsca pracy ludziom.

Wpadła w zapał, oczy jej świeciły, usta drżały.

— Co mnie obchodzą tajniki kultury niemieckiej, co wobec wielkich naszych zadań, wobec naszej kultury, której winnam oddać siły i młodość mą. Co mnie obchodzi przekwitająca kultura zachodu wobec wiosny kultury naszej? Co mnie obchodzą ich zacieśniające się horyzonty wobec wielkich widnokręgów naszych, którym winnam oddać młodość mą, energię i zapał. Czuję się tu w więzieniu, dlaczego mnie z więzienia nie zabierasz? odpowiadaj!

— Drogę ci wykuwam na szerokie horyzonty, na szerokie nasze łany.

— Możemy ją wykuwać razem.

— Wykucie pierwszego etapu do mnie należy.

— Za długo ta praca trwa, szkoda zmarnowanej młodości, spędzonej w więzieniu i próżniactwie, powtarzam za ciotką Gertrudą. Jestem kobietą młodą i pragnę czynu, pragnę tworzyć własną kulturę, zespoloną z mym narodem, wyszłą z jego ducha, z jego charakteru, z jego pieśni, z geniuszu jego wieszczów. Taką pojmuję i mam prawo żądać, abyś ty, przyszły mój mąż, dał mi możność tej pracy! I dlaczego nie dajesz?

— Wyrok padł z twych ust. I stało się, jak rozkazałaś.

— Ustąpiłam tylko, lecz dziś dusza moja zrywa się do czynu.

Należy żyć dla ludzi i nowe drogi dla nich otwierać. To przecież radość życia...

Tadeusz pochwycił ją za ręce. Owładnięty szałem miłości tulił ją do siebie.

Wpadła Koczalska.

— Ojciec na schodach — szepnęła.

— Wracaj, mówiła gorączkowo Marynia, telegrafuj do księżny. Do widzenia — kochaj...

Z saloniku pobiegła do swego pokoju, kotara za nią zaszeleściła. Tadeusz zwrócił się do głównego salonu. Zaledwo tam wszedł, ukazał się wystraszony pan Edward, patrząc ciekawem okiem „czwania".

— Szukam cię, zawołał do Tadeusza...

— Obaj się szukamy!

— Kandydujesz — Stryj, Kałusz, Drohobycz!...

Tadeusz podał mu telegram, pan Edward czytał.

— „Sygurd Wiśniowski, Postruski, Sapieha, Simon, Szeyer z Drohobycza"... Masz zapewnioną większość, jeśli tylko Żydzi nie zdradzą.

— Jadę za pięć minut i proszę o telegramy do swoich, na listy zapóźno.

— Daję ci dwa pewne głosy, często dwa zwyciężają. Minister i prezes pracują, abyś padł. Telegraf jęczy z rozkazami do sta ro stwa w Stryju. Obejrzał się podejrzliwie.

— Gdzież Marynia?

— W swoim pokoju, odrzekła Koczalska — przebiera się.

— Nie było dziś hrabiego? — zapytał.

— Marynia ma migrenę, nikogo nie przyjmuje.

— Długo czekałeś na mnie? spytał Tadeusza.

— Pół godziny i przez ten czas układałem mowę, którą muszę wypowiedzieć w Stryju.

— Jak pragnę, żebyś wszedł do parlamentu, tylko mnie nie zdradź!

Tadeusz uścisnął rękę Koczalskiej, wybiegł, pan Edward za nim, siedli razem do powozu.

— Walka się zaostrza. Czytałem „Nową Pressę". Pioruny rzuca na ciebie, Suessa podejrzywa o zdradę, wniosek jego nazywa zdradą państwa i węszy w nim przekupstwo. Rotszyldy i Wagenmany bronią przemytnictwa zażarcie.

— Dobrzeby było dla naszego nafciarstwa, abym został wybrany i z trybuny walczył.

— Sapieha, Simon, Szeyer, Postruski — wyjdziesz z pewnością! Moje dwa głosy, tylko zaklinam cię, nie mów nikomu, aby nie doszło do prezesa. Dziś na poufnem posiedzeniu większości Koła nakazał nam wytężyć osobiste wpływy, aby cię nie dopuścić. Zabawny — przecie tu idzie o moją skórę, no — i, dodał z patosem, o kraj, o biedny nasz kraj... Boją się ciebie, to dobry znak.

Konie stanęły przed stacyą telegraficzną.

— Wracaj, jako zwycięzca, i telegrafuj, do widzenia. Brońmy się!...

Wyskoczył z powozu, Tadeusz popędził na północny dworzec.

— Dać mu głosy czy wracać do domu? to hamletowskie pytanie. Dam — przyjedzie tu, nie dam—rodacy dla przypodobania się rządowi obedrą mnie. Nie dam, Sapieha, Simon wybiorą go i przejdzie. Przecie u licha Marynia ma rozum, jest moją córką, wie dobrze, co będzie znaczyć na świecie, jako Podiebradowa!... Trzeba mu dać te dwa głosy, tem więcej, że przy agitacyi Sygurda niezawodnie już są pozyskane. Przecież tu idzie o moją skórę, o parę milionów, które Podiebrad przyjjmie z wdzięcznością!... Czym ja się przed pięciu laty spodziewał, że córka moja wejdzie w królewski dom!...

W biurze telegraficznem napisał:

„Ratujcie przemysł krajowy wasz „Czwan". Koledzy szkolni odgadną mnie, a „czwan" tutaj w Wiedniu, w „Kole" nic nie znaczy.. Robimy dla biednego kraju, co można! Chcieli mnie dla podłej ugody z Węgrami ociąć na parę milionów, ale im się nie uda przy boskiej pomocy. A jako kto może...

Wsiadł do dorożki, każąc się wieźć do klubu.

ROŻDZIAŁ V.

Na dworcu kolei północnej szwajcar wygłaszał odejście pociągu do Krakowa, Lwowa, Podwołoczysk, a zarazem zalecał wieczorne wydania dziennikóm *Neue Freie Presse*, *Fremdenblattu* i innych.

Tadeusz kupił wszystkie, wsiadł do wagonu i czytał: „Nowa Pressa" napadła gwałtownie na Tadeusza, zwąc go potwarcą dla obrony własnych interesów, Suessa opętanym przez Polaków, ministrowi skarbu przypomniała, że jest ministrem Austryi, a nie patryotą polskim, prezesowi koła, że czasy sejmikowania minęły, że

cała ankieta była nonsensem, w której lewica pierwszy raz działała z zemsty dla rządu, na szkodę państwa.

Fremdenblatt ostrożniejszy, wymawiał Polakom brak lojalności, że się niczego nie nauczyli, że ich obowiązkiem podporządkowywać interesa partykularne małej wagi interesom państwa. Tadeusza nazwał maniakiem, który w najprostszych sprawach wietrzy zdradę i podstęp. W końcu wpływowy ten dziennik zrobił następującą uwagę:

„Wniosek profesora Suessa mógłby mieć za sobą pewną logikę i uzasadnienie, gdyby nasze i węgierskie wielkie rafinerye nie posługiwały się i krajowym surowcem: Jakże oclić naftę z surowca zagranicznego, a opodatkować naftę z surowca krajowego? Jak przeprowadzić ten roździał w fabrykach rafineryi?... Pytamy się profesora Suessa i polskich nafciarzy, jaką na to dają radę? Jeżeli nie rozwiążą tego problemu, to wniosek ich, wygłoszony przez profesora Suessa, nie ma realnych, praktycznych podstaw. Węgierskie rafinerye mają prawo korzystać z surowca, przywiezionego morzem i z Galicyi".

Tadeuszowi wypadł z rąk dziennik, pociąg pędził całą siłą pary po wielkiej płaszczyźnie gładkiej i równej. Ciemna noc, chmury zaciężyły nad ziemią, światełka na stacyach rozjaśniały na mgnienie oka widnokrąg, zostawiając patrzącego jeszcze w większych ciemnościach.

Pociąg pędził, a Tadeuszowi się zdawało, że porusza się, jak żółw. Czuł za Nową Pressą całą falangę milionerów, cały kapitalizm wiedeński i fabryczny, a za *Fremdenblattem* rząd, obronę szefów sekcyi i ministerstwa skarbu.

— Cios, wymierzony we *Fremdenblacie*, jest bardzo zręczny. Jeżeli rząd nie będzie chciał znaleźć sposobu do odmierzenia ilości surowców krajowego i zagranicznego wchodzących do rafineryi — to i my na to nie poradzimy. Jeżeli poradzimy, rząd powie, że to sposób niewykonalny — i niema rady.

— A jedźże prędzej, krzyknął w pustym wagonie, bo starosta w Stryju zepchnie mój wybór, i przemysł galicyjski pogrzebią na dwadzieścia lat. Dalej, zawołał i roześmiał się. Prędzej jak ma rozkaz, przyjechać nie może. Jeśli się nie spóźnię, pierwsza moja dziewicza mowa w parlamencie będzie trwać trzy godziny.

A jeśli większość Koła nie pozwoli mi przemawiać, co wtedy zrobię?... Solidarność jest tak dobrze kneblem, jak i obroną. Tak dobrze śmiercią, jak i siłą?... Co zrobię wtedy? jak stanę wobec

kraju? Odwołam się do wyborców i zrobię to co, mi każą. Niema wyboru!... Dziwnie się plecie.

Usiadł, wyjął papier, ołówek i pisał gorączkowo, łapiąc myśli, przelatujące mu przez mózg, jak huragany.

— Jeszcze mi brak dwu lat do pełnoletności parlamentarnej, lecz nie wiedzą mego miejsca urodzenia, ciężko im będzie odnaleźć metrykę i, zanim ją znajdą, kwestya szacherstw naftowych przejdzie przez parlament.

I znowu pisał gorączkowo. Był w natchnieniu, potok nowych myśli przelatywał mu przez umysł. Chwytane myśli uznawał za oryginalne, wierzył, że zadziwią ludzi, poruszą świat! Widocznie czuł w żyłach, mózgu, sercu, młodość swą i jej energię.

— Maryniu, jakże cię pragnę mieć przy swym boku! Razem jechalibyśmy, razem układali plany, razem marzyli. Pomagałabyś mi dziękować wyborcom za ich uznanie. W Anglii widziałem przemawiającego do tłumów Gladstona. Stał na wywróconym wagonie. Weszły po drabinie do niego żona i córki — i one przemawiały. Marzę o tem, aby i Marynia przemawiała do tłumu, dziękując mu za mnie. Ona, wszędzie ona!... W każdej chwili dnia, w każdej godzinie z nią, przy niej — razem. O Boże, dlaczego jej tu niema? Dlaczego ręka jej nie spoczywa na mojem ramieniu, oczy jej nie patrzą w głąb mej duszy i nie odgadują biegu mych myśli?... Dlaczego? Bo przekleństwo losu mego inaczej chciało... Inaczej, inaczej!

Zasnął, los jego stanął przed nim w postaci wiedźmy, patrzyli na siebie oko w oko. Nareszcie zaczęła wiedźma:

— Czy ty myślisz, że ja jestem specyalnie twoim losem? Ja jestem wypadkową losów twego społeczeństwa, a nawet i wypadkową losu państwa całego. Tobie się, biedaku, zdaje, że losy ludzi są ich losami! Losy ludzi są sumą losów wszystkich, podzielonych przez jednostkę. Nic się w iloczynie nie zmienia. Filistry, wielcy panowie i lud składają się na twój los... Ty padniesz w walce, bo musisz, a Marynia pójdzie za Podiebrada, bo taki los naszych dzielnych dziewczyn... Umysł Maryni, jej bujność, jej fantazyę oziębią mury i baszty starych zamków Podiebrada. Będzie w nich żyć, jak zaklęta. Będzie się tam dyabelnie nudzić i z nudów odejdzie w lepsze światy — za tobą!

Otworzył oczy, przed nim stał konduktor z latarką u pasa — prosił o bilet, pytał, czy sobie życzy, aby go zbudzić w Krakowie, ofiarowanego guldena schował w kieszeń, życzył wesołych snów — wyszedł.

Tadeusz leżał z roztwartemi oczyma, przyzywał wiedźmę swego losu — nie przychodziła.

— A więc los najdzielniejszych taki?!...

Schwycił się za głowę, zerwał, chodził po przedziale, jak lew w klatce — nie znalazł odpowiedzi, runął na posłanie i zasnął snem dwudziestu ośmiu lat.

Spalone miasto patrzącemu się oku sprawia przerażający widok. Zgliszcza i szkielety, cmentarzysko ruin.

W to cmentarzysko wstąpiło życie, ludzie, jak mówki, pracowali nad usunięciem rumowisk. Na starych murach wznosiły się rusztowania i złotawo świecące krokwie. Ruch się wzmagał codzień, a z nim i energia ludzka rosła.

Jedyny w całem mieście budynek ocalał — hotel murowany, kryty dachówką.

Panowała w nim opozycya przeciw kandydatowi rządowemu przy dzisiejszych wyborach posła do rady państwa. Większość miała w swych rękach miejsce wyboru. Innego budynku do obrad nie było. Starostwo mieściło się w dwu domkach, naprędce z niedopałek skleconych.

Mieć miejsce wyboru to znaczy to samo, co w batalii zdobyć najlepszą pozycyę.

Roiło się w zajeździe, jego stajniach i na przylegającym placu od szlachty, nafciarzy, przemysłowców, ich sług i faktorów.

W jednej sali, wyznaczonej na wybory, radzili: Simon, dyrektor banku kredytowego we Lwowie, i Klemens Postruski, otoczony swymi Kałuszanami. Wszyscy zespoleni z naftą, jako kopacze lub właściciele ropnych gruntów. Szeyer z grupą Żydów właścicieli dystylarni w Drohobyczu. Na placu stał Sygurd Wiśniowski, mając na oku właścicieli ziemskich ze starego zakonu, którym Simon przywiózł rozkaz od wielkiego rabina, aby głosy swe oddali Tadeuszowi.

Zatętniało na drodze, konny posłaniec galopem wpadł na plac i wołał zadyszany do Sygurda:

— Panie dyrektorze, starosta ze swymi jedzie na dworzec kolei.

Sygurd poskoczył do okna.

— Na dworzec! — mamy jeszcze piętnaście minut czasu. Kochany starosto, to nie chłopskie wybory, kruczkami nas nie zmożesz. Zaprzęgać i jazda, co konie wyskoczą!

— Na dworzec, na dworzec! — wołano.

Szlachta, służba, fabrykanci z Drohobycza rzucili się do koni. Simon pomagał zaprzęgać swoje.

Co która bryczka wyjechała z zajazdu, wskakiwało na nią ilu zabrać mogła i gnała rozpędzonymi końmi na dworzec.

Do Sygurda przyskoczył żydek i, łapiąc w płuca powietrze, wołał:

— Julek Czerkas razem ze starostą pojechał, pędzą na złamanie karku — aj waj!...

Dwadzieścia powozów i bryczek pognało, Sygurd z Simonem ostatni. Żydki faktorzy lecieli naprzód piechotą, jak wiatr...

— Jedną z izb przyległych do sali wyboru musimy mieć dla siebie do operacyi. Czeka na nas ślusarz z wytrychami. Jeśli będzie zamknięta, każę ją otworzyć.

— Zrób to zaraz po przyjeździe. Od posiadania wolnej przyległej izby zależy powodzenie wyboru.

Konie pędziły wyciągniętego galopa, koła warczały, tumany kurzu biły w niebo, słońce je złociło. Wesoło wrzało życie.

Zajechali przed dworzec. Na placyku było ludno i gwarno. Fabrykanci z Drohobycza, właściciele wielkich posiadłości starego zakonu, faktorzy Simona, młodzież uwijali się przed dworcem, wśród nich cesarsko-królewscy żandarmi z nasadzonymi bagnetami, zdawało się, oczekują tylko hasła, aby zabijać ludzi. Główna falanga wyborców, prowadzona przez Klemensa Postruskiego, zalegała poczekalnię trzeciej klasy, jako salę wyborczą.

Starosta był wzburzony i wystraszony. W razie przeforsowania Julka Czerkasa (jak go nazywali stryjscy Żydzi) czekał go awans i łaska, w razie przegranej przeniesienie do zapadłej mieściny na wschodnich kresach. Blady, zdenerwowany wodził wystraszonemi oczyma, szukając jakiegokolwiek wykrętu, kruczka, jakiejkolwiek nielegalności, pozoru oporu władzy, aby użyć siły, sterroryzować wyborców, rozpędzić ich, potem naznaczyć szybko drugi termin, przeciwnikom nie rozesłać kart i swoimi ludźmi przeprowadzić.

Obok starosty stał Juliusz doktór Czerkaski, którego zadaniem w parlamencie miało być strzeżenie zdrowia prezesa Koła, stanie się cieniem jego i wiernym sługą. Dumny ze swej przyszłej roli patrzał wyzywająco na otaczających Postruskiego przeciwników. Zdawało się, że chce do nich przemówić:

— Cóż wy ze swoim głupim przemysłem, ze stoma milionami wydobywanymi z ziemi, które co rok przynosicie w darze Galicyi, wobec mnie, cienia i sługi prezesa?!... Cóż wy ze swymi dziesię-

cioma milionami podatku, podnoszącymi siłę produkcyjną Galicyi, wobec mnie, wiernego sługi rządu i rządzącej większości!

Doktór Julek miał wyzywającą postawę i drwiący wyraz twarzy.

— Cóż wy, chciał głośno zawołać, gdy Postruski wyjął zegar i rzekł łagodnie:

— Pół godziny minęło od oznaczonego czasu na akcyę wyborów.

— To do pana nie należy — zawołał groźnie starosta. Nie masz pan prawa prowokować władzy, terroryzować jéj, narzucać jej swoją wolę. Pańskiem zadaniem oddać głos, gdy tego zażądają i milczeć.

Na to Postruski odrzekł:

— Odpowiadam w sprawie formalnej. Oświadczam panu staroście, że to są wybory wielkiej własności, nie można ich terroryzować, rozpędzać bagnetami dla przeprowadzenia rządowego kandydata zabijać ludzi...

— Jak pan śmiesz w ten sposób do mnie się odzywać! — krzyknął czerwony starosta.

— My tu wszyscy jesteśmy ludzie legalni, chcemy legalnie postępować, nie ścierpimy burzycieli porządku, choćby mieli złote kołnierze na karkach—odparł blady Postruski.

Starosta spojrzał w okno, miał tylko na rozkaz sześciu żandarmów, przeciwników trzydziestu, nie licząc ich służby i przyjaciół. Zoryentował się w mgnieniu oka i, siląc się na spokój, rzekł:

— Wytaczam panu proces o obrazę władzy.

— Proszę.

— Nie jestem ciekawy pańskiego zdania...

— Mało mnie to obchodzi.

— Otwieram wybory, do skrutynium zapraszam trzech obywateli, kartki z kandydatami proszę oddawać, złożone w ćwiartkę. Żadnych już mów wygłaszać nie wolno.

W tym samym czasie w drugiej izbie Simon przy pomocy właścicieli rafineryi z Drohobycza, ściągnąwszy do siebie swych rodaków, głosujących z wielkiej własnosci, zaczął dokonywać w ich kieszeniach ścisłą rewizyę. Faktorzy pomagali mu dzielnie. Właściciele wielkiej własności, zależni od banku kredytowego i jego dyrektora, nie śmieli stawiać czynnej opozycyi.

I okazało się, że każdy z nich posiadał dwie kartki — na jednej dla Simona było wypisane nazwisko Tadeusza, na drugiej dla starosty nazwisko kandydata rządowego.

Wśród śmiechów zgromadzonych, żartów Simona, dowcipów

Sygurda wpuszczali do sali wyborców starego zakonu a wielkiej własności — i ci, mając większy strach przed Simonem, jako władcą banku kredytowego, aniżeli przed starostą, który zawsze ściągnie z nich podatki do centa, oddawali kartki na Tadeusza.

Starosta był pewny wszystkich głosów starego zakonu — jakiż go srogi zawód spotkał.

Po skrutynium przewodniczący odczytał:

— Głosujących pięćdziesięciu dwu, pełnomocnictw cztery, razem pięćdziesiąt sześć.

Rożdział głosów następujący:

— Doktór Julian Czerkawski — tu przewodniczący zatrzymał się.

Zrobiło się cicho, serca zabiły, mamelucy rządowi odzyskali pewność siebie, opozycyoniści poczerwienieli z przestrachu.

Przewodniczący przeniósł wzrok na papier.

— Doktór Julian Czerkawski otrzymał dziewięć głosów, Tadeusz — czterdzieści siedem.

Sygurd Wiśniowski rzucił się w objęcia Postruskiego, stary zakon wielkiej własności winszował Simonowi.

Sygurd zawołał:

— Niech żyje obrońca naszego wielkiego przemysłu, nowo obrany poseł do parlamentu!

— Niech żyje! — zawołała szlachta, przemysłowcy z Drohobycza, nafciarze, służba i mieszczanie na placyku, faktorzy, studenci i Żydzi...

Radość była wielka.

Starosta patrzał blady z wściekłości na stary zakon, lecz zakon nie patrzał na niego. Simon zacierał ręce i śmiał się cicho, lecz serdecznie.

— Zatelegrafuj pan to swemu panu — rzekł starosta do Simona.

— A pan swemu, obaj będą się śmiać!...

Starosta nic nie odpowiedział, poszedł wprost do telegrafu i zatelegrafował kluczem.

— Ekscelencyo! Większa własność złączona z naftą. Książę Sapieha przysłał Simona i ten wziął wszystkich Żydów. Nie było nawet można marzyć o zwycięstwie. Opozycya zdobyła czterdzieści siedem głosów, Czerkaski — dziewięć.

— A teraz ja -- rzekł Simon — telegrafuję do swego, panie starosto. Książę jest moim wspólnikiem i przyjacielem.

— A niech będzie, czem chce — odparł starosta i wyszedł.

Simon zwrócił się do telegrafisty.

— Znasz pan klucz starosty?...

— Poznałem, panie dyrektorze — byle tajemnica!

— Odczytaj go — wsunął mu dwadzieścia papierków — i bądź spokojny, nie chcę cię pozbawiać chleba.

Telegrafista czytał, Simon się śmiał.

— Jeżeli nie uchronimy od zagłady przemysłu naftowego, to przynajmniej nawarzyliśmy piwa ministrowi. Książę będzie ze mnie kontent — powiedział do Sygurda.

— Raz przecie kraj miał siłę i odwagę wypowiedzieć, czego chce! — zawołał Sygurd, rozpromieniony zwycięstwem.

Zwycięzcy wysypali się na peron. Sygurd i Simon opanowali telegraf, roznosząc po całym kraju zwycięstwo swoje.

Starosta odjechał, razem z nim Julek Czerkas z miną bohatera.

Żandarmi zeszli z posterunków, dziewięciu mameluków, mówiąc głośno o anarchii, wracało do siebie.

Drut telegraficzny drżał rozkosznie, niosąc dobrą wieść ludziom dobrej woli. Radość panowała na peronie w gromadce, zwiększającej się co chwila. Sygurd stanął na ławce, kapeluszem, zdjętym z głowy, przyzywał do siebie i zaczął:

— Pociąg, wiozący naszego posła, spóźnił się, domyślacie się, dlaczego!.. A i tak wybraliśmy go bez niego. Pociąg po wyborach leci teraz, jak opętany, za dziesięć minut stanie tu — zaczekajmy! Przyjmiemy naszego posła i w tryumfie wprowadzimy go do spalonego miasta.

— Zaczekamy! — zawołał za wyborców Postruski.

Sala restauracyi wypełniła się po brzegi, życie wrzało, przechwałki zwycięzców, opowiadania, koncepta sypały się, jak z rogu obfitości, nadzieje podniecały humor.

Pociąg nadchodził, zadzwoniono, gromada szlachty, przemysłowców i właścicieli wielkich posiadłości starego zakonu wysypała się na peron...

W otwartem oknie wagonu drugiej klasy stał Tadeusz uśmiechnięty. Szczerość wyglądała mu z oczu.

— Niech żyje nasz poseł! — krzyknął Postruski, za nim wyborcy. Wiwat! — wołali przemysłowcy z Drohobycza i wielka własność.

Sygurd wskoczył na stopnie pociągu i, ściskając Tadeusza, mówił mu:

— Jesteś naszym posłem, starosta umyślnie kazał o godzinę pociąg opóźnić. Ale to nic nie pomogło, dostałeś czterdzieści siedem

głosów, a przyszła niańka prezesa Koła dziewięć. Kraj pokazał, czego chce, powiedział, że się nie da obdzierać.

— Wychodź! — wołał Postruski.

— Wyłaź!—wołali rafinerzy z Szeyeremu, pojeni zwycięstwem. My chcemy gorącego twego słowa...

— Musisz nam podziękować. Inaczejbyś wyglądał, gdybyś pobił Czerkasa dwoma głosami — mówił Simon — ale tyś go zmiażdżył czterdziestoma siedmioma na dziewięć!

Między Postruskim, Sygurdem, Simonem, Szeyerem a całą gromadą wyborców i niewyborców szedł obrany poseł do restauracyi kolejowej. Radosna wrzawa leciała przed nim.

— Nareszcie parlament posiada nietylko wierne sługi rządu, lecz i rzetelnego reprezentanta naszych interesów, naszych krwawych prac i naszych ciężkich walk — mówił Sygurd.

— Naszej krwawicy—wołali Szeyerowszczycy z Drohobycza— którą nam wydzierają Węgrzy i milionerzy wiedeńscy. Niech przepadną!

— Dajcie mu odetchnąć i posilić się, bo gotów nam umrzeć z głodu—wołał Postruski, sadowiąc Tadeusza za stołem, gdy służący stawiał przed nim parującą ciepłem porcyę polędwicy. Szeyer podniósł kufel z piwem, za nim przemysłowcy z Drohobycza i zawołał:

— Broń nas, bo gdy my padniemy, runie z nami przemysł całego kraju...

— I górnictwo nasze padnie — wołali właściciele terenów ropnych. My jedni w Europie posiadamy na Podkarpaciu naftę i tej nam Węgrzy i Niemcy wiedeńscy zazdroszczą i robią wszysko, aby ją zabić!...

Tadeusz głodny, jak wilk, dwanaście godzin prócz filiżanki kawy nie miał nic w ustach, jadł więc z apetytem młodości, radość zwycięstwa strzelała mu z oczu, rozprawiał wesoło z Postruskim i Simonem. Wypił kilka kieliszków wina, był upojony, podniecony, rozradowany i gotów do walki.

— Co robisz? — spytał się go Sygurd.

— Wracam pierwszym pociągiem. Sprawa naftowa już w parlamencie, nie mogę stracić chwili.

— Jedź, to dobre zrobi wrażenie, pociąg odchodzi za godzinę.

— Pojadę, muszę!...

— Teraz możesz już przemówić?...

— Zgoda.

— Nie żałuj pan rządu i ministra — szepnął mu Simon—książę cię za to uściska.

— Mów ostro, śmiało i stanowczo — wołał Sygurd.

— Tu, na peronie mów, niechaj słuchają wszyscy i dowiedzą się, jakiego dajemy im posła — zadecydował Szeyer.

— Na peron wszyscy — wołał głośno Postruski — poseł dziękuje za wybór i zarazem pożegna nas.

Szlachta, przemysłowcy, urzędnicy, służba, lud i Żydzi wysypali się na peron. Tadeusz stanął na ławce.

— Moje plecy niechaj ci służą za poręcz — zawołał Postruski, podsuwając się.

Tadeusz położył rękę na jego ramieniu i zaczął:

— „Kładę mą dłoń na ramieniu reprezentanta energii narodowej i poczucia sprawiedliwości pracy i twórczości. W tej chwili jestem tej siły i tej pracy reprezentantem bez względu na uprzedzenia rasowe i religijne, bez względu na stronnictwa polityczne. Jedna jest kardynalna podstawa wszystkich — byt, zdobywany pracą. Wybraliście mnie na swego rzecznika w parlamencie, obrońcę wolności pracy, którą wykonywujecie."

— Wybraliśmy cię — zawołał Postruski — abyś bronił naszego kawałka chleba, zdobywanego w pocie czoła, a wydzieranego nam przez rząd, sprzyjający krajowi, i większość parlamentu, służącą rządowi. Za co oni nam wiążą ręce i związanych kładą na naszem bogactwie, na naszych kopalniach i każą nam z głodu umierać?... Czy po to, aby ich schylone karki klepali magnaci węgierscy, kilku przemysłowców wiedeńskich i Rotszyldzi?!... I dlatego-to zabijają nas, bo inaczej racyi nie widzę?!...

— Ugoda z Węgrami — zawołał ktoś z tłumu.

— Zgoda na ugodę. Węgrzy niech palą naszą naftę, jeśli my pijemy ich wino!

Sygurd wskoczył na stołek.

— I my—wołał—mamy prawo żyć. Ale już największe przestępstwo, jeżeli właśni bracia ogładzają nas z krzywdą kraju.

— Pociąg — wołano w tłumie.

— Lecę po bilet dla ciebie — zwrócił się do Tadeusza. Bo jeśli pociąg, który cię wiózł, spóźnił się, to pociąg, który ma cię zabrać, może cię nie wziąć. Wszystko w tem państwie niespodzianek możliwe!...

Pociąg wjechał na stacyę, Tadeusz zszedł z ławki, odprowadzony do wagonu przez gromadę wyborców.

— Telegrafuj do nas do Lwowa — wołał Simon.

— I do nas! do mnie na wieś — dodał Postruski.

— I do nas — wołał Szeyer — do Drohobycza!

— A nie daj się — dodał Sygurd, niosąc bilet — choćbyś miał wystąpić z Koła.

— Wystąp! — wołali Postruski, Simon i Szeyer, a za nimi szlachta i dystylatorzy. Sam staniesz na posterunku, oświecaj go czynami.

Tadeusz wsiadł do wagonu, wychylił się i zawołał:

— Postaram się, abyście czyny moje zobaczyli.

— Wiwat! — krzyczeli Żydzi, wznosząc kapelusze w górę.

Pociąg powoli wysunął się ze stacyi, Simon sekretarzowi swemu kazał wypłacić sto guldenów na kahał stryjski, faktorom po dziesięć papierków na głowę, najbiedniejszym Żydkom po dwa, chorym po pięć, aby była radość w Izraelu z powodu wielkiego zwycięstwa dnia dzisiejszego...

— Co powie minister na zrobioną mu sztuczkę? — mówił Simon do Postruskiego — bo książę mój będzie się śmiał i z radości ręce zacierał.

— Dosyć już — odparł szlachcic — nas naponiewierali, sprzedając bogactwa krajowe za łyżkę soczewicy przy każdej sposobności Niemcom i Węgrom.

— Panowie — przerwał wesoło Sygurd — czeka nas w hotelu skromny obiadek. Zapraszam na niego wszystkich szanownych wyborców i naszych przyjaciół.

— Odpoczniemy nareszcie — rzekł Postruski, zapraszając Simona do swego powozu.

Biedne dziatki Izraela, uszczęśliwione hojnym datkiem bankiera, gdy wsiadł do powozu, rzucali jarmułkami w górę, wołając: hura, niech żyje sto lat!

Biegli przy powozie tak długo, ile im sił starczyło.

Tadeusz zmęczony usiadł, pociąg pomykał, maszynista grał na świstawce.

— Co za zmiana w dwudziestu czterech godzinach. Wracam do Wiednia, jako zwycięzca, jako poseł do parlamentu, zdobyłem światową mównicę, głos mój będzie słyszany w całej Europie! to potęga! — Jeśli ci większość Koła udzieli tego głosu, jeśli pozwoli, abyś bronił praw swych wyborców, praw swego kraju? — szeptało mu w głębiach serca.

Zerwał się.

— Jeśli nie dadzą, to muszę spełnić wolę mych wyborców i wystąpić z Koła. Pierwsza secesya, pierwszy bunt, pierwsza jawna walka w organizmie. Jadę godzić, nie rozrywać, jadę bronić, nie napadać.

Zasłonił twarz rękoma.

— Co począć, co zrobić? Tyle spraw w kraju, tyle interesów rozpoczętych, czy wolno mi siedzieć w Wiedniu i tam czas dla Austryi poświęcać, gdy go dla kraju mam za mało? Z Wyżnicą Władek i Wit dadzą sobie radę, o Wyżnicę się nie boję, wierzę im więcej, samemu sobie. Lecz tyle innych spraw!...

Schwycił się za głowę.

Marynia w Wiedniu — świdrowało mu w mózgu.

— Właśnie — zawołał — chcąc wydobyć Marynię z Wiednia, trzeba w kraju siedzieć.

Ciężko oddychał. Z natłoku myśli głowa mu pękała.

Jakże się wszystko poplątało.

Trybuna europejska ciągnęła go nieprzepartą siłą, a obowiązki pchały do kraju. Walczył z samym sobą, marzył, bał się i rad był.

— Przynajmniej dziś się nie damy i uratujemy nasz przemysł. A jeśli padniemy w Wiedniu, to kraj nas podniesie, a za to większość Koła ze swą polityką padnie.

Inaczej się na sprawę wyboru stryjskiego zapatrywał pan minister, wierzył przedewszystkiem w starostę, w prasę większości Koła, a żartował sobie z opozycyi, z jej braku organizacyi siły, a nawet z jej tchórzostwa.

W tych dniach właśnie toczyła się ugoda z Węgrami, którzy, twardo stojąc przy roździale kwoty na utrzymanie państwowe, nic nie chcieli ustąpić ze swych pozyskanych zdobyczy, jak również i z ceł. Prezes Koła, jako członek piątki, rządzącej większością, oddany był duszą i ciałem rządowi, a specyalnie ministrowi skarbu.

W takiej konstelacyi politycznej pan minister odebrał w południe telegram od starosty ze Stryja, odcyfrowany na stacyi dla Simona.

— Tego głupca każę przenieść do Dobromila lub Trębowli. Nie miał czasu w tej chwili zajmować się tą sprawą, pracując nad referatem ugody.

W godzinę później przyszedł drugi telegram:

„Nowowybrany wyjechał do Wiednia, będzie jutro rano w Radzie Państwa. Naczelnicy akcyi wyborczej nakazywali mu, gdy już siedział w wagonie, aby wystąpił z Koła Polskiego — stał sam. Z wyjątkiem jednego konserwatywnego dziennika cała prasa jest za nim i naftą."

Minister gwałtownie zadzwonił, wpadł sekretarz.

— Pędź do parlamentu i przywieź ekscelencyę prezesa Koła.

Wstał, włożył ręce w kieszenie, chodząc nerwowo po salonie.

— Trzeba raz skończyć z tą sprawą. Czyż nie mam nic więcej do roboty, jak zajmować się głupią naftą?! Cóż mnie przemysł Galicyi obchodzi, a nawet dziesięć milionów podatku w porównaniu z ugodą z Węgrami?!.. Ugoda da mi sławę, tytuł, może order Leopolda! Nie mają go ani Sanguszko, ani Sapieha. Sapieho, dokuczasz mi — ale się porachuję z tobą i twoim bankiem, zaczekaj! Ugoda z Węgrami powstrzyma na jakie dziesięć lat siłę rozkładową Austryi, a oni chcą, abym za nich, za ich dziury, wiercone w ziemi, kruszył kopie na wiedeńskim turnieju, kiedy mam przed sobą tak piękną damę, jak — ugodę z Węgrami!...

Sekretarz cicho podniósł portyerę.

— Ekscelencyę prezesa spotkałem na drodze, jechał do pana ministra, idzie wolno po schodach, prześcignąłem go.

Minister podziękował mu skinieniem głowy i, podniósłszy telegram, szedł na środek salonu. Naprzeciw ukazała się wysoka, zdyszana ekscelencya.

— Wybrany! zawołał minister, prawie jednogłośnie. Wyborcy zakazali mu wchodzić do Koła.

— A to ten socyalista czy anarchista Sygurd, co się całuje w gęby z robotnikami, i ten podbankrutowany Klemens, któremu się zdaje, że na nafcie zrobi miliony. Zawsze mówiłem, że petroleum to komuna...

— Nowowybrany połączy się z Niemcami, rzekł minister, i będzie burzył ugodę.

— A wiemy, jak cesarz za jakąbądź cenę życzy sobie ugody. Cesarzowi, naszemu dobrodziejowi, robić przykrości, byłoby to z naszej strony szkaradne.

— Szkaradne!

— Nigdy nie byłem i nie jestem u nas zwolennikiem przemysłu, który na oścież otwiera drzwi socyalizmowi. My jesteśmy krajem rolniczym par exellence. Dla nas, Polaków, ziemia i dla niej drobny przemysł. Co nam i chłopu po tych wszystkich chorobach społecznych? Nie mówię tego głośno, boby mnie zakrzyczeli, lecz w cztery oczy mogę.

— Ekscelencyo, to inna kwestya, przerwał minister, gdy dziś przez tego przemysłowca, co już jedzie do nas, może być zachwiana ugoda, a tyle się nad nią napracowaliśmy.

— Prawda!...

— Co robić? Jutro o dziesiątej zjawi się w parlamencie, zacznie wichrzyć. Stanie na barkach lewicy.

— Złamie solidarność koła!

— A to nasza cała siła.

— Bez niej czemże jesteśmy?..

— Niema innej rady, tylko dziś jeszcze przeprowadzić przez parlament wniosek rządowy oclenia surowca naftowego do wysokości 1 złr. 10 centów w złocie.

— Czy nie za mało, panie ministrze, zrobił uwagę ekscelencya. Dochrapali się tej jednej nafty, będą w kraju krzyczeć, a niema większych demagogów nad petrolearzy.

— Potem się coś zrobi, doda, lecz dziś wobec ugody musi być utrzymany nasz pierwszy wniosek.

— Jeżeli musi...

— Ekscelencyo, jedźmy do parlamentu, rzekł minister.

— Dobrze, właśnie lewica podniosła dyskusyę w tym przedmiocie. Suess zapisany do głosu.

— Doskonale, skorzystamy z tego i wniosek nasz przeprowadzimy o dziesiątej wieczór w chwili, kiedy nowy poseł będzie wyjeżdżał z Krakowa.

— Panie ministrze, uwielbiam twoją energię.

— Jedźmy, jedźmy, naglił minister.

Weszli do parlamentu, Suess odczytywał telegram ze Stryja, wysłany przez Sygurda o wyborze Tadeusza.

— Jest to dowód, mówił Suess, że cały biedny i obdzierany kraj, mając w łonie swej ziemi bogactwa, które dobrobyt jego mogą dźwignąć, siłę podatkową podnieść, prawie jednogłośnie opiera się rządowemu wnioskowi, uświęcającemu w monarchii fałszerstwo i przemytnictwo. Na tej zasadzie jutro może uświęcić fałszowanie pieniędzy. Panowie, czy wam nie wstyd dla ułatwienia szacherstw i zdzierstw, rabunku na publicznej drodze siedmiu milionerów, z których połowa jest Węgrów, ubożyć swój kraj, zabijać jego przemysł, obdzierać go ze stomilionowej produkcyi, a państwo z dziesięciu milionów podatku?

Wielkie oklaski z lewicy i składane życzenia mówcy.

— Cała lewica, mówił dalej Suess, będzie głosować za moim wnioskiem: że każda z rafineryi musi sobie wybrać rodzaj surowca — krajowy lub falsyfikat zagraniczny. Do tego wyboru fabryki będą się normować podatki lub cła... Skończyłem.

I znowu burza oklasków i ściskanie rąk profesora przez kolegów.

Jeden z mówców prawicy, natchniony przez ministra, wystąpił, aby wniosek rządowy traktować, jako nagły. Prawica i Koło polskie poparły go. Wniosek przeszedł paroma głosami większości.

Prezydent izby odroczył posiedzenie na godzinę dziewiątą wieczór.

— A więc to manewr, aby przeprowadzić zabójstwo galicyjskiego przemysłu, zanim nowowybrany obrońca przyjedzie, zawołał Suess.

Lewica hucznymi oklaskami przyjęła odezwanie się profesora.

O godzinie czwartej zebrali się prezesi klubów prawicy. Na tem posiedzeniu minister bronił wniosku rządowego nizkiego oclenia surowca. Ostatni argument, którym zwyciężył, była konieczność przeprowadzenia ugody, gdyż Węgrzy grożą zerwaniem, jeśliby się podniosło cło od surowca naftowego choćby o dziesięć centów jeszcze.

Najenergiczniejszym rzecznikiem za przyjęciem wniosku rządowego był prezes Koła polskiego. Prezesi innych klubów, nie interesowani w tej sprawie, z łatwością się zgodzili.

O godzinie szóstej wieczór otwarto posiedzenie Koła. Prezes popierał wniosek rządowy argumentami konieczności państwowej. Za wnioskiem Suessa oświadczyli się, popierając go energicznie: Czajkowski Alfons, Czartoryski, Dzieduszycki, Dzwonkowski, Gniewosz, Grotowski, Hausner, Lewakowski, Mochnacki, Onyszkiewicz, Rappaport, Romaszkan, Skarszewski, Starzyński. Oświadczyli, że, nie mogąc głosować przeciw wnioskowi ze względu na solidarność Koła, wyjdą podczas głosowania. Prezes w myśli obliczył czternaście głosów.

— Gdyby głosowali przeciw, przeważyliby szalę, lecz ponieważ tylko wyjdą, powinniśmy mieć kilkanaście głosów większości... Solidarności, ty jesteś naszym Bogiem — szepnął i westchnął.

Minister skarbu przyszedł na posiedzenie, aby przy głosowaniu dorzucić na szalę i swój głos. Nie przemawiał, powierzając obronę swego wniosku prezesowi Koła, był pewny, że większość pójdzie zawsze za rządem. Gdy się głosowanie skończyło, poszedł do innych klubów obradujących, aby tam, jako minister skarbu, bronić swego wniosku.

O godzinie dziewiątej wieczór otwarto posiedzenie. Wniosek rządowy oclenia surowca, uznany za nagły, poszedł pod ostateczne uchwały.

Jeneralny mówca mniejszości Suess jeszcze raz zażądał głosu i przemówił:

— „Dochodzą mnie wieści, że panowie z Koła polskiego mówią o mnie: „każdy Polak powinien znać Suessa nie od dzisiaj"...

„Otóż tym, którzy mnie oddawna nie znają, przypomnę: że były czasy parę lat temu, w których odłączywszy się od głównego obozu centralistów, głosowałem w imię sprawiedliwości przeciw własnemu stronnictwu w sprawie cła i podatku konsumcyjnego naftowego i przyczyniłem się do upadku ostatniego ministeryum lewicy. Wtedy broniłem Polaków i ich przemysł przed żarłocznością rządu lewicy w imię sprawiedliwości. Dziś w imię tejże samej sprawiedliwości bronię przemysł polski już nie przed żarłocznością, lecz przed morderstwem austryackiego rządu i jego większości, której główną podporę stanowią Polacy"...

„Takim jestem, a że mam was za barbarzyńców, to mniemam, że ostatnie głosowanie potwierdzi mój o Polakach sąd. Tylko barbarzyńcy zabijają z lekkiem sumieniem ciężkie dorobki swej pracy i wielkie nadzieje na przyszłość!.. Głosujcie — niech błogosławieństwa waszego kraju towarzyszą wam! Będziecie mieć spokojne sny, bo na wyrzuty sumienia was nie stać... Barbarzyńcy zamało kulturalni, aby mogli mieć wyrzuty sumienia" [1]).

Prawica zawrzała, prezydent odebrał głos Suessowi, kilku czupurnych członków „Koła" groziło profesorowi pojedynkiem.

Nastąpiło głosowanie — projekt rządowy przeszedł dwoma głosami [2]). Tak pyrrusowego zwycięstwa nie spodziewał się ani rząd, ani Koło polskie, ani prawica. Niemcy z lewicy przyjęli je hucznymi oklaskami i głośnymi wykrzyknikami szyderstw i tryumfu.

Minister z nerwowym pośpiechem gniewu wyszedł z parlamentu.

— Dwa głosy, powtarzał w duchu. Dwoma głosami utrzymałem się przy władzy. Ale zwyciężyłem i nauczyłem rozumu Sapiehę. Ugoda węgierska przejdzie, sfery miarodajne będą ze mnie zadowolone — i o co mi idzie?!.. Gdyby tych czternastu głosowało, zwyciężyłbym o szesnaście!... Jak śmieli uchylać się od głoso-

---

[1]) Porównaj zapiski stenograficzne parlamentu austryackiego.

[2]) Sprawozdania stenograficzne parlamentu austryackiego.

wania? Należy zmienić regulamin — niechaj solidarność nakazuje głosować z większością. Mogłoby wyjść szesnastu i padłbym.

Nerwy w nim zagrały, pięście zacisnął.

— „W każdym razie dobrze się stało. Gdy sprawa dziś nie przeszła, szepnął, jutro mógłby ten zawadyaka nawarzyć mi piwa, mógłby przeciągnąć jeszcze kilku posłów, mógłby wyciąć mowę pełną oskarżeń... ugoda mogłaby być zachwiana. A tak zwycięstwo!...

„Ależ to dopiero jutro zacznie prasa galicyjska wyć, a z nią i wiedeńska. Jak to dobrze, że Rotszyldy są z nami i *Neue Freie Presse* musi nas bronić wraz z *Fremdenblattem*. Te dwa wystarczą za pięćdziesiąt innych. Suess pewno napisze gwałtowny artykuł! I cóż nam zrobi?... Odpiszemy mu, że znamy go oddawna — to dosyć.

Zwycięzca dwoma głosami nabierał dobrego humoru. Dla pewności siebie wystarczały mu dwa głosy.

Ekscelencya prezes czuł się upokorzony głosowaniem. Miał żal przedewszystkiem do Czartoryskiego, Dzieduszyckiego i Czajkowskiego za ich dezercyę z szeregów Koła i pociągnięcie za sobą kolegów.

— Po co im gardłować za przemysłem, po co go gwałtownie ciągnąć za uszy do Galicyi, a z nim komunę i wszelkie przewroty. Jutro dopiero rozleci się po całym kraju ryk tej tłuszczy, która ma do dyspozycyi czcionki, czernidło i tłocznie. No, ale my mamy rząd i bagnety — i co nam zrobią?!...

Spotkał się przy wyjściu z Czartoryskim i Gniewoszem.

— Czego wy chcecie? wołał obrażony. Uciekliście, i zaledwo trafem dwu głosów odniósł rząd zwycięstwo.

— My chcemy pracy, siły produkcyi, zamożności cywilizacyi, rzekł Czartoryski.

— Książę jesteś rolnikiem, na roli siedzisz i z roli żyjesz.

— Nie wystarcza dziś rola. Siedząc ciągle na roli, bankrutujemy, stajemy się ciężarem państwa. Spojrzyj ekscelencya na Czechy!...

— Znam ich! Księcia Czechy zrewolucyonizowały, a może i zgubią.

Książę zrozumiał dotknięcie [1]).

---

[1]) Książe Jerzy Czartoryski ożeniony z Czeszką, panną Czermak, córką lekarza.

— Nie obawiaj się pan, rzekł wyniośle, dotąd mnie uszczęśliwiają. Uczę się od nich, jak zwyciężać pracą Niemców, a podniesieniem bogactwa społecznego dźwigać naród. Czesi nie oddaliby bogactw swej ziemi za problematyczną korzyść państwa. Oni naród swój więcej kochają, aniżeli państwo. Egoizm ten jest ich cnotą, bo w ostateczności nim dźwigają państwo, jako największa jego siła podatkowa. Skłonił się chłodnem kiwnięciem głowy i poszedł, za nim Gniewosz.

Ekscelencya został sam rozżalony, że za tyle bezinteresownego poświęcenia nie znajduje odpowiedniej wdzięczności i uznania.

— I on jeszcze, szepnął, gotów napisać siarczystą korespondencyę do kraju, ociąć mnie i większość Koła. Cóż miałem robić?!.. Dla głupiego petrolu oddawać rząd w ręce lewicy, Niemców i rujnować ugodę?!... Jeszczem nie oszalał!

Przypadł do księcia i Gniewosza pan Edward, pędzący w górę po schodach zdyszany.

— Spóźniłem się, mówił szybko — co?...

— Żałuj, rzekł Gniewosz, lecz przegrałeś — za centnar wprowadzonego falsyfikatu dali ci aż gulden dziesięć centów cła.

Pan Edward schwycił się za głowę.

— Bankructwo, zawołał, uprzedzili przyjazd Tadeusza, który dopiero jutro rano może być w Wiedniu.

— Jako członek prawicy, podziękuj kolegom.

— Cóż nafciarze?

— Wyszli, to samo zrobiłbyś i ty, gdybyś miał odwagę nie spóźnić się.

— Odwagę? co to znaczy?

— Wyjść z nami pod surowym wzrokiem — ekscelencyi i pana ministra.

Zostawili pana Edwarda samego.

— Gulden i dziesięć centów w złocie więcej cła za falsyfikat— padamy! Sto milionów rocznej produkcyi i dziesięć milionów podatku przepada! Wprawdzie rząd może je odbić przez cło, bo falsyfikat będzie płynął szerokiem korytem, ale my, my — co z nami? Tyle fabryk, tyle egzystencyi zrujnowanych, tylu robotników czeka głodna śmierć!...

— Iloma głosami przeszedł wniosek większości? zapytał przechodzącego dziennikarza.

— Dwoma, odpowiedział.

Pan Edward załamał ręce.

— Tadeusz i ja, gdybyśmy głosowali przeciw ukutemu wnio-

skowi na naszą zgubę, uratowalibyśmy kraj i siebie. Uratowali, zawołał głośno — krew buchała mu do głowy... Dla Podiebrada tego, co mam, za mało. Przecież i sobie muszę choćby połowę zostawić. Możnaby jeszcze z pięć, a może dziesięć milionów przy szczęściu dorobić.

Dwoma głosami, powtarzał, co na to powie kraj, ludzie, opinia, sami Niemcy?!... Co powiedział Suess — jakże musiał gorzko drwić z naszych posłów, sprzedających skarby swej ziemi Węgrom i Rotszyldom za nic, za nic!... Za ugodę, która nas gniecie, a nic nie daje. Boże! jakże ciężko mnie doświadczasz...

Zrozpaczony, zdenerwowany, wzburzony do ostateczności wpadł na kurytarz do bufetu.

Roiło się od posłów.

— Jesteś, kochanku, stchórzyłeś, nie było cię przy głosowaniu, mówili członkowie z prawicy Koła, a i tak zwyciężyliśmy, a z reszty sobie kpimy.

— Umyślnie nie przyszedłem, odparł spokojnie, abyście mi nie wyrzucali, że bronię mych osobistych interesów. Zwyciężyliście dwoma głosami, uprzedzając na parę godzin przyjazd Tadeusza. Zwyciężyliście, zabijając dwoma głosami nasz przemysł, a w kraju wytwarzając nędzę. Za coście skazali na nędzę kraj, a jego przemysł na zagładę?

— Da sobie radę kraj, zawołał jeden z prawicy, ma ziemię, to i nie zginie... Trzecia część moich ludzi poleciała do nafciarzy. Właśnie brak mi robotnika, chociaż nieźle płacę.

Śmiech jakiś dziwny, przejmujący, szarpiący serce, zakończył dyskusyę.

Teraz dopiero Edward zrozumiał różnice etyczne między Tadeuszem a kolegami z prawicy Koła. Zaczął uczuwać jakiś nieokreślony pociąg do dawnego wspólnika a nowego posła.

— Gdyby większość Koła była taka, jak mój Tadeusz, pomyślał, inaczejbyśmy stali w kraju, a i tu inne mielibyśmy stanowisko. A tak jesteśmy manekinami w rękach każdego rządu, a każda opozycya ciska nam obelgi w twarz.

— Czem my jesteśmy? zapytał sam siebie i dziwił się temu pytaniu. Wychodzę na filozofa, lecz łatwo na to odpowiedzieć — jesteśmy stałymi sługami!... Rządy się zmieniają, lecz my zawsze na posterunku, nieugięci — służymy nowym panom.

Stanął, słuchał.

— Skąd mi te myśli przychodzą do głowy? Rozpacz mi je szepcze — odpowiedział. Pracowaliśmy w kraju przeszło dwadzie-

ścia lat ciężko i wytrwale i, gdyśmy się wzmogli na siłach, przychodzą właśnie wandale i jednem kopnięciem rozbijają cały gmach pracy i wysiłków... A niech was!...

— Nad czem, panie Edwardzie, tak ciężko rozmyślasz? odezwał się głos ekscelencyi prezesa.

— Nad upadkiem kraju.

— Nie będzie mu nic, odrzekł prezes. Szkoda, że cię nie było, zwycięstwo nasze byłoby o jeden głos większe.

— Zwyciężylibyście tylko jednym głosem, przeszedłem do opozycyi.

— Ty? i zaśmiał się. Przebacz, zapomniałem, że jesteś nafciarzem.

Panu Edwardowi oróżowiły się policzki z gniewu.

— Bałem się — odrzekł, abym nie musiał z miłości do kraju zerwać solidarności Koła, i również bałem się, aby ludzie, co lekkomyślnością zaprzepaszczają jego najżywotniejsze interesy, nie posądzili mnie o osobisty interes.

Skłonił się i odszedł.

Ekscelencya, wyprężony z oburzenia, stał na miejscu. Krew mu uderzyła do głowy, uczuł zawrót, usiadł i ciężko oddychał.

— Coraz gorzej ze mną! Targam siły, zdrowie rujnuję, a tu pierwszy lepszy szlachetka mówi mi impertynencye! I kto jeszcze, lecz jeden z najwierniejszych. Ale cóż, potrąć szlachcica o jego interesa, a ze stronnika zmienia się natychmiast we wroga. Znam ja was!

Odpoczął, dźwignął się i wolno wyszedł. Świeże powietrze podziałało na niego przyjemnie. Zajechał powóz, siadł przy pomocy szwajcara i pojechał wprost do ministra.

Czuł, że się coś złego stało. Nie odczuwał tego zła, jako klęski kraju, lecz się obawiał następstw...

— Za głupi kraj, powtarzał, aby zrozumieć doniosłość ugody austryacko-węgierskiej...

Za głupi, i nie wytłómaczymy mu tego, narobi piekielnego wrzasku i mimo, że prokuratorya państwa czuwa nad nami, będzie nam ciepło. Cóż na to poradzić?!...

Stanął mu przed oczyma książę, kilkunastu najprzedniejszych posłów — za nimi pan Edward i pędzący do Wiednia pociągiem Tadeusz.

Wszedł do gabinetu ministra — była północ.

— Źle, rzekł, — przegraliśmy.

— Większość dwu głosów tak przeraża ekscelencyę?

— Przegraliśmy w kraju...

— Z takiej przegranej żartuję sobie. Na kraj mam starostów i prokuratorów.

— Poza tem wszystkiem jest jeszcze opinia.

— Musi milczeć.

— Nie zamkniesz jej pan minister ust...

— Zobaczymy.

— Nowowybrany z rozkazu swych wyborców wystąpi z Koła!

— Jeden, a w tydzień potrafię go swoją prasą zohydzić.

— Nic nie pomoże, fakt ten znajdzie naśladowców. Czekają tylko przykładu, wodza szukają, i wódz jedzie.

— Więc co mam robić? Wniosek uchwalony — Węgrzy nie ustąpią.

— Dziś nic,lecz jutro... Istotnie zabić od jednego zamachu stumilionową roczną produkcyę dla uśmiechu Węgrów to może zbyt duża ofiara. Przeciągnęliśmy strunę, a to w polityce i rządach fatalne.

Minister się zmiarkował, zaczął żałować swej gorączki i bezwzględności w poniewieraniu kraju. Zwycięstwo i jego zaczynało dusić.

— Być może — rzekł — że dla braku czasu sprawę załatwiliśmy zbyt szybko. Oddaję ją w ręce ekscelencyi. Wierzę w jego wielki takt. Każdy krok naprzód obmówimy dokładnie!

ROŹDZIAŁ VI.

Pociąg pędził, zdawało się, że się niecierpliwił, konduktorzy znużeni, maszynista zdenerwowany. Stacye mijały szybko, sina wstęga Dunaju zamajaczyła na świtaniu.

Tadeusz po bezsennych dwu nocach, spał twardo. Słońce, wschodzące na równinach Wagram, zbudziło go. Zerwał się, wyciągnął, przetarł oczy, oprzytomniał. Przeszłość dwu dni i nachodząca przyszłość zakotłowały się w jego umyśle. Chciał się wydobyć z tego męczącego chaosu, chciał uporządkować myśli, a marzyć zaczął. Marzenia opromieniały wielkie pragnienia. Zobaczył się na mównicy parlamentu austryackiego, głoszącego całej Europie wspaniałą i wzruszającą prawdę. W upojeniu tem wyłoniła się z jego mózgu oktawa Słowackiego.

„Chodzi mi o to, aby język giętki,
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,

A czasem był, jak piorun, jasny, prędki,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa.
A czasem, jako skarga Nimfy, miętki,
A czasem piękny, jak aniołów mowa,
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem..."

Za ostatnim wyrazem pociąg wjechał cicho na dworzec północny. Zabrał torbę, palto zarzucił na plecy, wyskoczył z wagonu, patrząc po pustym peronie.

— Jeśli dobre wiadomości, to pewno czeka na mnie mój przyszły teść.

Oglądał się dokoła, jakiś delikatny ból ściskał mu serce. Otrząsł się jednak, zbiegł na dół, siadł do otwartego powozu i popędził na Kärtnerstrasse do swego ulubionego hotelu.

Książę Stefan mieszkał na Josephstadzie, jako gospodarz, wstawał rano i chodził na przechadzkę do Prateru. Spostrzegł jadącego powozem Tadeusza, wyjął chustkę, dawał nią znaki, woźnica konie zatrzymał, książę zbliżył się do powozu, Tadeusz wyskoczył, aby go przywitać.

— Jakże się cieszę, że pana spotykam—mówił książe. Umyślnie wcześniej wyszedłem w nadziei, że cię spotkam i zatrzymam.

— I cóż? — przerwał nerwowo Tadeusz.

— Źle, uprzedzono twój przyjazd, rząd z prawicą, a zatem i Kołem naszem przeforsował swój wniosek.

— Gulden dziesięć centów w złocie cła od surowca — zawołał Tadeusz i załamał ręce, zbladł, wargi mu drżały. Stanął mu przed oczyma duszy białowłosy starzec, Marynia i sto tysięcy ludzi, umierających z głodu. Trząsł się nerwowo, jak w febrze.

Książę przestraszony podał mu rękę.

— Siadajmy — rzekł serdecznie — odwiozę cię do hotelu i spokojnie rozejrzymy się w sytuacyi.

Siedli, woźnica zaciął konie.

— Położenie bez wyjścia — rzekł smutno Tadeusz — uchwała zapadła...

— Dwoma głosami większości. Gdybyś na czas zdążył, mógłbyś logiką i piorunującą wymową jeszcze trzy głosy w Kole zdobyć, wniosek rządowy padłby. Przeczuli to i przyśpieszyli głosowanie. Telegram o twym wyborze przeczytał Suess w izbie.

— W tej nadziei telegrafował Sygurd.

— A wieczorem przeprowadzono wniosek rządowy, jako konieczność państwową, konieczność ugody z Węgrami.

Tadeusz przycisnął twarz dłońmi.

— Pojmuję — mówił wzruszony książę — że wieść ta spadła piorunem na twoją głowę. Przeciwnicy są zręczni, a gdy idzie o ich interesa — arbitralni, nieubłagani i zaciekli. Choćby jutro z ich powodu był potop, oni dziś zrobią swoje, żeby na swojem postawić.

— Fatalizm — zawołał głośno Tadeusz — byłem przeznaczony tworzyć, a nie rozbijać.

— Nie rozpaczaj — przerwał książę.

— Wyborcy w razie przyjścia wniosku rządowego kazali mi wyjść z Koła i walczyć na własną rękę.

Zajechali przed hotel, książę towarzyszył Tadeuszowi.

— Naprzód wypij kawy — rzekł — odpocznij, powoli będziemy się oryentować. Jesteśmy słabi i w otwartem polu przegramy zawsze.

— Książę jesteś dobry, pocieszasz mnie i oszczędzasz.

— Ależ nie, tylko pragnę również z tobą bronić biednego kraju i jego przemysłu, nic innego nie mam na myśli.

— Nie mamy punktu wyjścia.

— Ależ nie znasz się jeszcze na arkanach zakulisowej polityki. Ludzie to zrobili, i oni mogą naprawić. Inna byłaby sprawa z przyrodą, ta jest nieubłagana.

— Być może, nie znam się na parlamentarnych intrygach i kombinacyach.

— A zatem odpocznij, połóż się, wyśpij i daj mi słowo, że się nie pokażesz w parlamencie beze mnie.

— Zaczekam z rozkoszą, przyjemnie mi być wprowadzonym przez księcia, lecz kłaść się spać nerwy mi nie dadzą. Gorączka mnie trawi. Postawiłem wszystko na kartę i wszystko przegrałem. Gdybyś książę znał całą historyę pracy mojej w kraju, gdybyś wiedział, o ile rozwój przemysłu naftowego połączony jest z egzystencyą tysięcy rodzin, zrozumiałbyś.

— Daj mi tylko słowo, że nie wyjdziesz, póki nie wrócę, choćby cały dzień.

— Jeżeli o to idzie — daję.

— Do widzenia, zaczynam działać — wyszedł. Tadeusz kazał sobie przynieść wczorajsze wieczorne dzienniki, rannych jeszcze nie było. Zaczął czytać, naprzód mowę Suessa, odpowiedzi z prawicy, jego replikę, głosowanie nad wnioskiem i zwycięstwo dwoma głosami.

— Dwoma tylko głosami duszą nas i zduszą... Dwoma głosami dwu bezmyślnych głupców, którzy nie wiedzą, co czynią. Lecz ci, co wiedzą i czynią to samo? Co tym, co z tymi?...

Zatargał włosy. I znowu blada, wysoka postać starca o srebrnych włosach stanęła przed nim, patrzała smutna w oczy i, zdawało się, mówiła:

— Cóż teraz? rewolwer rzuciłem precz od siebie ze względów na twoją młodość, na twoją przyszłość, na nasz kraj. Co teraz? Umrzeć nie można, a bronić się niema czem, rozbroili nas przemytnictwem i fałszerstwem.

Z poza pleców starca wychyliła się głowa Urszuli o surowym wyrazie twarzy i głęboko osadzonych, rozumnych oczach. Słyszał jej szept:

— Cóż powiem matce Maryni? Dlaczego nie zabrałeś jej dziecka rok temu? Dziś ją sprzedajesz zniemczonemu Czechowi, w którym prócz wyrafinowanej kultury niema nic. Tę samą kulturę mieli i Rzymianie w pierwszym wieku chrześcijaństwa, lecz ta nie przeszkadzała im wbijać na pal niewolników. Kultura bez miłości czemże jest?... Dziewczynę oddajesz wydelikaconemu egoizmem Czechowi, patrzącemu na świat przez swoje *ja*... Oto są dzieła twojego żywota.

Zerwał się na równe nogi i patrzał przed siebie, drzwi się rozwarły, stał przed nim pan Edward poważny, smutny, wystraszony.

— Nie śmiałem — rzekł — czekać na ciebie na dworcu. Po rozrzuconych dziennikach i twojej minie poznaję, że wiesz wszystko.

Tadeusz milczał.

— Patrzysz tak na mnie, jak gdybyś mi wyrzucał. Cóż miałem robić? Nie mam twojej wymowy, to trudno...

— Dwu — mówił cicho Tadeusz — dwu przeciągnąć, a losy Galicyi w przemyśle inaczejby się potoczyły. Co pan tracisz, to mniejsza.

— Nie mniejsza, Tadziuniu, bo i ja jestem żywym członkiem społeczeństwa.

— Ale co kraj straci przez dziesięć lat, ja im to obliczę i wypowiem w Izbie — dokończył Tadeusz.

— Nie dadzą ci, drogi, ani myśl o tem.

— Któż mi może zabronić?

— Koło.

— Nie wszedłem do Koła.

— Ale wejdziesz.

— Nie, wyborcy mi zakazali.

— Nie wejdziesz?!... coś ty powiedział? Będziesz przeklęty, zabity, a z tobą i cała nasza biedna nafta. Bój się Boga, Tadziu, ból odbiera ci rozsądek.

— Pojmuję — mówił wzruszony książę — że wieść ta spadła piorunem na twoją głowę. Przeciwnicy są zręczni, a gdy idzie o ich interesa — arbitralni, nieubłagani i zaciekli. Choćby jutro z ich powodu był potop, oni dziś zrobią swoje, żeby na swojem postawić.

— Fatalizm — zawołał głośno Tadeusz — byłem przeznaczony tworzyć, a nie rozbijać.

— Nie rozpaczaj — przerwał książę.

— Wyborcy w razie przyjścia wniosku rządowego kazali mi wyjść z Koła i walczyć na własną rękę.

Zajechali przed hotel, książę towarzyszył Tadeuszowi.

— Naprzód wypij kawy — rzekł — odpocznij, powoli będziemy się oryentować. Jesteśmy słabi i w otwartem polu przegramy zawsze.

— Książę jesteś dobry, pocieszasz mnie i oszczędzasz.

— Ależ nie, tylko pragnę również z tobą bronić biednego kraju i jego przemysłu, nic innego nie mam na myśli.

— Nie mamy punktu wyjścia.

— Ależ nie znasz się jeszcze na arkanach zakulisowej polityki. Ludzie to zrobili, i oni mogą naprawić. Inna byłaby sprawa z przyrodą, ta jest nieubłagana.

— Być może, nie znam się na parlamentarnych intrygach i kombinacyach.

— A zatem odpocznij, połóż się, wyśpij i daj mi słowo, że się nie pokażesz w parlamencie beze mnie.

— Zaczekam z rozkoszą, przyjemnie mi być wprowadzonym przez księcia, lecz kłaść się spać nerwy mi nie dadzą. Gorączka mnie trawi. Postawiłem wszystko na kartę i wszystko przegrałem. Gdybyś książę znał całą historyę pracy mojej w kraju, gdybyś wiedział, o ile rozwój przemysłu naftowego połączony jest z egzystencyą tysięcy rodzin, zrozumiałbyś.

— Daj mi tylko słowo, że nie wyjdziesz, póki nie wrócę, choćby cały dzień.

— Jeżeli o to idzie — daję.

— Do widzenia, zaczynam działać — wyszedł. Tadeusz kazał sobie przynieść wczorajsze wieczorne dzienniki, rannych jeszcze nie było. Zaczął czytać, naprzód mowę Suessa, odpowiedzi z prawicy, jego replikę, głosowanie nad wnioskiem i zwycięstwo dwoma głosami.

— Dwoma tylko głosami duszą nas i zduszą... Dwoma głosami dwu bezmyślnych głupców, którzy nie wiedzą, co czynią. Lecz ci, co wiedzą i czynią to samo? Co tym, co z tymi?...

Zatargał włosy. I znowu blada, wysoka postać starca o srebrnych włosach stanęła przed nim, patrzała smutna w oczy i, zdawało się, mówiła:

— Cóż teraz? rewolwer rzuciłem precz od siebie ze względów na twoją młodość, na twoją przyszłość, na nasz kraj. Co teraz? Umrzeć nie można, a bronić się niema czem, rozbroili nas przemytnictwem i fałszerstwem.

Z poza pleców starca wychyliła się głowa Urszuli o surowym wyrazie twarzy i głęboko osadzonych, rozumnych oczach. Słyszał jej szept:

— Cóż powiem matce Maryni? Dlaczego nie zabrałeś jej dziecka rok temu? Dziś ją sprzedajesz zniemczonemu Czechowi, w którym prócz wyrafinowanej kultury niema nic. Tę samą kulturę mieli i Rzymianie w pierwszym wieku chrześcijaństwa, lecz ta nie przeszkadzała im wbijać na pal niewolników. Kultura bez miłości czemże jest?... Dziewczynę oddajesz wydelikaconemu egoizmem Czechowi, patrzącemu na świat przez swoje *ja*... Oto są dzieła twojego żywota.

Zerwał się na równe nogi i patrzał przed siebie, drzwi się rozwarły, stał przed nim pan Edward poważny, smutny, wystraszony.

— Nie śmiałem — rzekł — czekać na ciebie na dworcu. Po rozrzuconych dziennikach i twojej minie poznaję, że wiesz wszystko.

Tadeusz milczał.

— Patrzysz tak na mnie, jak gdybyś mi wyrzucał. Cóż miałem robić? Nie mam twojej wymowy, to trudno...

— Dwu — mówił cicho Tadeusz — dwu przeciągnąć, a losy Galicyi w przemyśle inaczejby się potoczyły. Co pan tracisz, to mniejsza.

— Nie mniejsza, Tadziuniu, bo i ja jestem żywym członkiem społeczeństwa.

— Ale co kraj straci przez dziesięć lat, ja im to obliczę i wypowiem w Izbie — dokończył Tadeusz.

— Nie dadzą ci, drogi, ani myśl o tem.

— Któż mi może zabronić?

— Koło.

— Nie wszedłem do Koła.

— Ale wejdziesz.

— Nie, wyborcy mi zakazali.

— Nie wejdziesz?!... coś ty powiedział? Będziesz przeklęty, zabity, a z tobą i cała nasza biedna nafta. Bój się Boga, Tadziu, ból odbiera ci rozsądek.

— Zobaczymy.

— Wszystkie drzwi zamkną się przed tobą.

— Jedne się zamkną, drugie się otworzą. Szczęśliwa myśl błysnęła panu Edwardowi.

— Jeżeli wszystkie, to i moje muszą się zamknąć. Przed Marynią wyborne tłomaczenie. Ciepło wewnętrzne rozgrzało mu serce.

— Jeżeli uważasz — mówił wolno — że to będzie dobre dla przemysłu i kraju, to nie wchodź do Koła. Zrobi się burza, lecz może i powietrze się wyklaruje.

— Zawsze będzie inaczej! Wolne słowo popłynie z mównicy i rozjaśni horyzont.

— Ale co dziś robić, co jutro, jak się bronić, jak ratować biedną naszą prowincyę. Tyle ludzi, tyle ludzi bez chleba — widzę ich, jak umierają z głodu i na twojem sumieniu położą się.

— A na pańskiem nie?

— Na mojem nie, bo ja nie mam takiej głowy, to i takiej odpowiedzialności mieć nie mogę.

Tadeusz zdenerwowany był tem, że dotąd nie miał gotowego planu działania. Czyn go pochłaniał całego. W tej chwili nie wiedział, gdzie iść, co robić, nie miał drogi. Towarzystwo pana Edwarda ciążyło mu, że nie mógł sobie dać rady, zasiadł do stoliczka i pisać zaczął do Maryni po angielsku list pełen skarg i żalów.

— Do kogóż, Tadziuniu? — zagadnął go pan Edward.

— Do ministra ostatnie memorandum...

— A to co innego — ministrowi możesz grozić, możesz go straszyć, to co innego. Idąc tu, myślałem, że mamy do gadania przynajmniej pół dnia, a okazało się, że i na pięć minut nie starczyło przedmiotu.

— Po dokonanym fakcie cóż jest do mówienia? Na jeremiady niema czasu.

— Tak, prawda, na jeremiady... No do widzenia. Zobaczymy się w parlamencie. Na każde twe zawołanie stawiam się. Brońmy się rozumnie — kraj... resztę wiesz. Bądź zdrów.

Tadeusz zerwał się gwałtownie.

— Nerwy mi pruje szlachcic. Nic nie robił, uciekł z pola bitwy, a teraz mi deklamuje o głodzie ludu po śniadaniu u Sachera.

Chodził szybko po pokoju.

— Maryniu, dlaczego cię przy mnie niema?!... Dlatego jej niema, że jestem tchórz, zły rachmistrz, niedołęga! Przekleństwo mi — wołał — przekleństwo memu optymizmowi, który się kończy zbrodnią w sprawach przemysłu i sprawach kredytu. Przekleństwo

mi — szeptał zdenerwowany — lecz czy ja mogę nie być optymistą? Cobym zrobił na świecie bez optymizmu?...

Padł na kanapę i siedział nieruchomy z rozwartemi oczyma. Zrozpaczony nie mógł myśleć, nerwy szły na niego falą. Wsłuchiwał się w ich huki i drżenia z pewną ciekawością. Pocichu wszedł książę poważny, łagodny, dobry i serdeczny. Tadeusz się zerwał.

— Mój młody przyjacielu, nie tak źle, jak było wczoraj, czarne chmury nad naszym widnokręgiem rzednieją, tylko spokoju!

— I o to najtrudniej — odparł Tadeusz — jeżeli czujemy, że lecimy w przepaść.

— Posłuchaj mnie, tylko proszę nie przerywać.

— Umiem słuchać — szepnął Tadeusz.

— Izba wre wczorajszą uchwałą, Niemcy, którzy nie z miłości do nas, lecz z taktyki walki z rządem bronili naszego przemysłu, drwią głośno z większości naszego Koła. Minister, przygnieciony zwycięstwem dwu głosów, prezes Koła odczuwa klęskę, jaką poniósł wczoraj. Dwa głosy większości—oburzenie w kraju. Naprzód z nim się zobaczyłem. Człowiek ten mimo swego obycia, mimo długich lat, spędzonych w Wiedniu, nie jest człowiekiem zachodu. Wschód w nim pokutuje i dlatego nieświadomie ma wstręt do przemysłu i nie umie odczuć jego dobrodziejstw. Ciągle się jeszcze biedakowi wydaje, że ziemia sama powinna ludzi żywić. Barbaryi tej nie potrafisz mu usunąć z mózgu. Lecz popularność kraju, o którą dba, hamuje w nim ekonomiczne barbarzyństwo... Wystąpisz z Koła sam jeden, to padniesz. Będziesz jeden — cała opinia kraju stanie przeciw tobie. Nie idzie tu, abyś grał rolę Bayarda, lecz abyś ratował zagrożonych w bycie.

— Pragnę — szepnął.

— Oni mają wszystkie atuty w ręku! Ty prócz słuszności nic i w otwartej walce wraz ze słusznością padniesz...

— A zatem?...

— A zatem — powtórzył książę — obliczmy minimum naszych żądań, jako ratunek nafciarstwa w Galicyi. Mamy guldena i dziesięć centów w złocie cła — i to jest ruiną.

— Najpewniejszą.

— A gdyby cło podnieść jeszcze o dziewięćdziesiąt centów i dociągnąć do dwu guldenów?!

— Za mało, nie uratuje nas — rzekł Tadeusz.

— Na więcej Węgrzy nie pozwolą — dodał książę.

— Byłoby nieco lżej, lecz w rezultacie klęska.

Zaczęli liczyć, przekonali się, że cyfra za mała.

— Towarzystwo naftowe stawia minimalną cyfrę trzy guldeny pięćdziesiąt centów w złocie — mówił Tadeusz.

— To tylko brak półtora guldena. Zawsze lepiej, niż gdy do dziś brakuje dwa guldeny czterdzieści centów.

— Lepiej — poświadczył Tadeusz.

Książę zadumany chodził po pokoju.

— A gdyby jeszcze dołożyć pięćdziesiąt centów? — odezwał się, stając przed Tadeuszem.

W odpowiedzi Tadeusz pochwycił ołówek i gorączkowo liczył.

— Gdyby jeszcze trzydzieści, razem osiemdziesiąt centów.

— Może się i te znajdą — oświadczył książę.

— Gdyby się znalazły. Lecz jeśli Węgrzy nie ustąpią, a wniosek Suessa nie wróci?

— To może ustąpią taryfy kolejowe — co?!...

— Prawda, mogą z łatwością, i Węgrom nic do naszych taryf.

— Podniesienie cła do dwu guldenów w złocie to wniosek naszego Dawidka, a taryfy kolejowe — mój!

Tadeusz wyciągnął ręce do księcia i uściskał go serdecznie.

— Teraz właśnie trwają układy z Węgrami, zgodzić się muszą pod presyą wniosku Suessa. Z taryfami kolejowemi trudniej. Lecz wszyscy potrzebują ministra skarbu. A ponieważ i on się zoryentował i czuje, jakie głupstwo zrobił, będzie chciał je naprawić, i powodzenie zapewnione.

— Jakże książę w tak krótkim czasie mogłeś tyle zrobić? — spytał Tadeusz.

— Poszedłem do Ziemiałkowskiego, którego większość dwu głosów także przestraszyła... Szczęściem, ma on majątek w Jasielskiem w pasie naftowym i rozumie, co za ruina przyszłaby przez tak lekkomyślne pogrzebanie naszego nafciarstwa. Dziś po odebraniu telegramów z kraju od ludzi wpływowych, pan Floryan odbył konferencyę z Dawidem, ja z ekscelencyą prezesem. Minister układa się o te dziewięćdziesiąt centów cła z Węgrami, a przyrzekł mi zmniejszyć taryfy kolejowe. Walka wre. Dawidek również jest nieprzyjacielem przemysłu, lecz rozumie konieczność krajową. Ekscelencya prezes trzyma wagę w rękach, i on to, przestraszony o swą popularność, zmusił ministra do podwyżki cła na dwa guldeny w złocie od surowca.

— Cóż mam robić? — zapytał Tadeusz.

— Przedewszystkiem nie pokazywać się w parlamencie. Wszedłszy, musiałbyś się zdecydować być z nami lub przeciw nam.

Gdybyś wszedł do Koła, mogłoby to osłabić akcyę lub, gdybyś nie wszedł, zniszczyć ją. Zostań i pozwól mnie działać. Jestem twoim obrońcą naszej sprawy. Jeżeli nie można marzyć o przeprowadzeniu wniosku Suessa, to trzeba ratować, co się da, i chociaż tyle uratować, aby można żyć, pracować i rozwijać się.

Tadeusz znowu pochwycił ołówek i, pisząc cyfry, liczył je szybko.

— Co mówią? spytał książę po chwili.

— Że, jeżeli zmniejszą o połowę taryfę przewozu naszego surowca, będziemy mogli żyć.

— Że zniosą, choćby czterdzieści procentów, nie tracę nadziei... A teraz radzę ci serdecznie połóż się. Jesteś zdenerwowany, zmęczony, roztrzęsiony. Rozszalałe nerwy twoje powinny odpocząć i pod wpływem dobrych wieści wrócić do równowagi.

Książę osobiście pospuszczał story okien, położył rękę na ramieniu Tadeusza i rzekł: Spocznij, biedaku, inaczej marzyłeś w nocy, jadąc do nas. Nie jesteśmy tak źli, jak wyglądamy z oddalenia. Musimy trzymać się rządu, bo wszystko, co mamy, to od niego. A że jesteśmy słabi, niedołężni, nie umiemy prosto iść do celu, to dlatego, że nie mamy nad sobą ideału, nie mamy gwiazdy betleemskiej, którąby nas prowadziła. Nie mamy tego ideału i w sobie —dlatego nie mamy duszy naszych przekonań, jej duchowego wzroku i idziemy, jako ślepi, szukający w ciemnościach drogi — i nie znajdujemy jej.

Tadeusz rękę księcia ściskał serdecznie.

— Wieczorem przyjadę. Może ci już przywiozę wiadomość pewną i konkretną.

— Mam ochotę wpaść do ministra dla Galicyi, powiedział Tadeusz. Bo chociaż nie ma nad sobą gwiazdy betleemskiej, trzeźwy to umysł i trzeźwo patrzy na sprawy naszego kraju.

— Dobrze, tylko teraz minister jest w parlamencie, odparł książę, a nie chciałbym, aby cię widziano. Jestem twoim rzecznikiem, czekasz na wiadomości, jakie ci przyniosę, aby zrobić stanowczy krok.

— Dobrze, więc czekam.

— Muszę jeszcze radzić z Dawidem i prezesem Koła, — potem z Dawidem, ekscelencyą i ministrem dla Galicyi, a na ostatku razem w czwórkę pójdziemy do ministra skarbu... Jak to dobrze się stało, żem cię spotkał. Mógłbyś mi się wymknąć i razem z Niemcami spiorunować nas, rząd i siebie. Dobrze się stało! Musisz znów czekać, póki nie wrócę.

Wyszedł poważny, spokojny, jak gdyby mu gwiazda świeciła i wiodła go do naszego Betleem.

— Traf, myślał, nie, to konieczność, zawołał Tadeusz, aby spotkać tego człowieka. Jest zbyt blizko mnie i musieliśmy się spotkać. Nie jest to orzeł, ginący w chmurach, lecz człowiek, który idzie prosto do celu drogą, wskazaną przez sumienie narodu!...

Wykrzyknik ten zelektryzował go, o śnie nie myślał, wola się w nim prężyła do skoku, do czynu. Nacisnął sprężyny, zasłony poszły w górę, dzień zajaśniał. Na drugiej stronie ulicy bił w oczy wielki napis „kąpiele Dyanny", uśmiechnął się do tych liter niebieskich — ciągnęły go. Pochwycił kapelusz, wybiegł.

Zimne natryski orzeźwiły umysł i ciało, na rozpaczy zakwitła nadzieja, płuca pracowały, myśl się dźwigała.

Wrócił odrodzony,—młodość jest czarodziejska, przemienia od jednego tchnienia.

— Teraz jestem lekki, teraz unoszę się, teraz poglądam na się z góry, teraz bóstwo mieszka we mnie, powtarzał z filozofem, ubierając się gorączkowo.

Wskoczył do dorożki i kazał się wieść do mieszkania ojca Maryni. Do salonu wybiegła Koczalska.

— Maryni niema, szeptała szybko, gorączkowo, pojechała do księżny w nadziei, że pana zobaczy.

Zniżyła głos.

— Pan Edward dzisiaj od samego rana w dziwnem usposobieniu, z rozpaczy wpada w wesołość, z wesołości w ponurość — skarży się, że stracił parę milionów, to znowu się śmieje, że wygrał los na loteryi życia... Mnie powiedział, że pan jesteś stracony, że drzwi porządnych domów będą niedługo dla pana zamknięte. Struchlałam i jeszcze drżę w tej chwili, lecz nie powiedziałam Maryni, jakby pewno tego chciał jej ojciec. Powiedz pan, czy to prawda? żal mi cię, a Maryni jeszcze więcej— dokończyła szeptem, oglądając się. — Wiesz pewno, że cię kocha, aż się boję o nią!...

— Dziękuję za zdradę tej tajemnicy, odrzekł wesoło Tadeusz. Drzwi porządnych domów nie tak prędko się zamkną przede mną— jadę do księżny.

— Więc to nieprawda, zawołała rozpromieniona, wznosząc ręce w górę. Boże, jakiś Ty wielki!...

— Do widzenia — nie traćmy nadziei.

— Nie tracę, bo gdybym straciła, to co mi po życiu...

Tadeusz już zbiegał ze schodów.

Księżna i Marynia były same, chodziły zamyślone po salonie.

Księżna przybita, zmęczona, wyczerpana. Marzenia jej zdobycia milionów przez naftę upadły. Wczorajsza uchwała w parlamencie zniweczyła je. Świetne projekty księżny co do losów swych dzieci, które do ostateczności kochała, padały.

— Nie będą tyle bogate, aby robić partye, o jakich marzę. Podiebrad dla utrzymania świetności swego rodu potrzebuje dużo.

Stanęła i, patrząc na Marynię, zawołała:

— Dlaczego oni kochają więcej dzikich Węgrów i siedmiu milionerów żydowsko-niemieckich — aniżeli swój kraj i swoje biedne społeczeństwo?...

— Księżno, rzekła Marynia, zdaje mi się, że pytanie jest niewłaściwie.

— Niewłaściwe? powtórzyła księżna zdziwiona.

— Bo oni nie kochają ani Węgrów ani kraju, ani siedmiu milionerów. Uczucie to nie mieszka w nich, nie znają go. I oto przyczyna ich nieustannych błędów. Chcą być dyplomatami, mężami stanu, sługami konieczności państwowej, a są ciepłym woskiem w rękach zręczniejszych, w rękach tych, którzy wiedzą, czego chcą. Richelieu był mężem stanu i dyplomatą wielkim miłością dla Francyi, którą kochał nad wszystko.

— Podobno i Annę Austryaczkę, dodała księżna.

— Lecz miłość ta mimo tańca kaczuczy przez eminencyę dla królowej była odtrąconą. Została mu Francya, jedna, jedyna Francya... Naszym biedakom nic nie zostaje, nic im nie przyświeca, ich serca, jak puste ule, i dlatego biorą ich w posiadanie Węgry i siedmiu milionerów.

— Wszędzie ta miłość! A był czas, kiedy zmateryalizowane społeczeństwo w imię rozumu żartowało sobie z miłości.

— I dlatego miłość mści się na społeczeństwie i jego wybrańcach.

— Książę Grzegorz, wygłosił kamerdyner. Księżna i Marynia postąpiły naprzód. W salonie ukazał się wysoki, chudy, przygarbiony, szpakowaty mężczyzna. Twarz owalna, wązka, długa i charakterystyczny wystający nos chudy nadawały jej znamiona starego rodu. Rzeźki, swobodny, serdeczny, wielki pan w obejściu, dla księżny przyjacielski, dla Maryni uprzedzający...

Kobiety patrzały na niego, na poły wystraszone, na poły ciekawe.

Odgadł zapytanie w ich twarzach.

— A więc na wstępię powiem „nieźle", to znaczy, że mamy nadzieję.

— Oddycham, szepnęła księżna.

— Młodego entuzyastę kolegę, rzekł, schowałem w hotelu i położyłem do łóżka.

— Chory? spytała Marynia.

— Lecz na pewno zmęczony, odparł książę wesoło. Coby się działo z nami, gdyby nam kazano pędzić do Stryja i po dwu godzinach mów i toastów wracać bez wytchnienia do Wiednia. W Wiedniu powiedziano mu „zu spät", sprawa skończona, jesteś bankrut, a twoi ludzie skazani na śmierć z głodu.

Usiedli.

— Jak przyjął Tadeusz tę wiadomość? spytała księżna.

— Mężny to żołnierz, był gotów do dalszej walki, lecz zbladł i spoważniał.

— Nie mogło być inaczej, rzekła księżna.

Marynia, zamknięta w sobie, milczała.

— A teraz co do nadziei?... W hotelu młody kolega obliczył i oświadczył mi, że, jeśli izba podniesie cło na dwa guldeny w złocie, a kolej zniży do połowy taryfy przewozu surowca, można żyć.

— Można żyć, powtórzyła księżna, w jego ustach to dużo. A nadzieje? pytała z czarującym uśmiechem.

— Że izba i Węgrzy zgodzą się na dwa guldeny, a minister musi zniżyć taryfę.

— Nafta nasza uratowana!

— Może żyć, czekając lepszych czasów.

— I to życie zawdzięczać będzie księciu.

— Gdzież tam, odrzekł, uśmiechając się, raczej strachowi przed wrzaskiem dwudziestu dzienników i gwałtowną ruiną stu tysięcy ludzi. A może trochę i tej naszej gwieździe betleemskiej, która nigdy nie gaśnie i wiedzie mędrców i pastuszków jednemi drogami, gdzie się rodzi miłość i zbawienie.

Marynia wyciągnęła rękę do księcia.

— Rozumiemy się, szepnęła wzruszona.

Książę ze starej mody czci dla kobiet odczuł szept dziewczęcia i rękę jej poniósł do ust.

— Pocałunkiem tym poświadczyłeś prawdę swych słów, rzekła księżna.

— I skończyłem zadanie, dodał. Dziś skończy się i sprawa naftowa, a jutro — wprowadzam mego młodego kolegę do Koła i parlamentu.

Stary kamerdyner wywołał nazwisko Tadeusza, na Marynię buchnęły ognie, księżna powstała, idąc szybko ku drzwiom.

— Młodość, rzekł książę do Maryni, żartuje sobie z niewywczasu, leci za popędem serca.

Wszedł Tadeusz odświeżony, ożywiony, zgrabny. Czupryna ciemnych włosów, fantastycznie potargana, na czole błyski natchnienia, na ustach dobry uśmiech.

— Jeszcześ nie wystąpił do walki, a już nieprzyjaciel się cofa, mówiła księżna. Samem zjawieniem się zwyciężasz!

— Nie ja, księżno, odparł Tadeusz, lecz moi wyborcy, za wyborcami kraj, za krajem dwadzieścia dział dziennikarskich, ziejących ze swych paszcz ogień gróźb i oburzenia.

Ucałował ręce Maryni i zwrócił się do księcia.

— Oto prawdziwy zwycięzca w tym turnieju!

— Gdybyś się nie zjawił, cóżbym zrobił?... Bez ciebie odgrywałem rolę krzykacza. Już Hannibal pod bramami, wołałem, już się rozłożył obozem, już rozwija szeregi, już idzie! I Dawid nasz, jako parlamentarz z białą chorągwią, wyskoczył.

— A na niej, kończyła wesoło księżna, wypisane dwa guldeny w złocie cła.

— Gdyby nie książę, walczyłbym w tej chwili w parlamencie po stronie Niemców. Walka ta, dobra dziś, jutro byłaby w skutkach fatalna.

Książę się zerwał.

— Polecam paniom młodego kolegę, zatrzymajcie go tak długo, póki posiedzenie parlamentu się nie skończy.

Zwrócił się do Maryni.

— Mam nadzieję, że to nie będzie trudno dla obu stron, a dla sprawy konieczne. Za pół godziny mam najważniejsze posiedzenie z ministrem dla Galicyi, ekscelencyą i Dawidem u ministra skarbu. Bez czterdziestu procentów zniżki na taryfie przewozowej — nie wyjdę.

Wzruszony Tadeusz serdecznie ściskał mu rękę.

— Cierpliwość i wytrwałość więcej ważą w życiu społecznem, aniżeli burze.

— Bo one budują, dodał książę, gdy burza niszczy. Chociaż bez burz zabrakłoby życia w naturze i w społeczeństwie. Jutro rano czekaj pan na mnie u Puchera, przyjadę zabrać cię do parlamentu. Po drodze przedstawię cię, jako członka Koła, ekscelencyi prezesowi. Pracuje ze mną wytrwale — dobry człowiek. Gdyby wszystkie nasze ptactwo zmieniło się w orły, żylibyśmy w chmurach, a tu rzesze wołają chleba i praw do życia.

Odprowadzony przez księżnę, Marynię i Tadeusza zniknął za portyerą.

— Nareszcie, zawołała księżna, wznosząc złożone ręce, jesteśmy uratowani! Nie rozumiecie mego uczucia! Trzeba mieć dzieci, kochać je, marzyć o ich świetnych losach, o ich przyszłości—raptownie wpaść w otchłań zwątpienia i rozpaczy — i znowu na skłonie widnokręgu ujrzeć różową jutrzenkę...

— Jakim sposobem dziś książę znalazł pana? spytała Marynia Tadeusza.

— Zdaje mi się, że rano o piątej wyszedł z zamiarem, aby mnie spotkać, bo jadące dorożki z północnego dworca lornetował.

— Dziwnego hartu i wytrwałości człowiek. A teraz, dzieci, powiem wam miłą dla was wiadomość! Wyjeżdżam. Uprzedzę posiedzenie u ministra, podziękuję mu w imieniu swojem i kraju za uratowanie przemysłu naftowego. To zmiękczy jego srogość. Układy pójdą łatwiej. Trzeba pomódz poczciwemu księciu. Was, moje dzieci, zostawiam same, nikogo nie przyjmujcie. Rzadko jesteście sami, a dużo macie sobie do powiedzenia, tak przypuszczam. Czekajcie na mnie, zjemy razem obiad, dopiero po obiedzie otworzę narozcież drzwi mego salonu.

Zadzwoniła o konie, podała rękę Tadeuszowi, ucałowała Marynię — wyszła.

— No i cóż, mój biedaku, mówiła Marynia pieszczotliwie, kładąc ręce na ramionach Tadeusza, przeszedłeś dziś całą skalę uczuć. Mogło ci serce z żalu popękać na kawały. Drżałam o ciebie, nie spałam całą noc—księżna, silna na duchu, płakała. Patrz, oczy moje świecą, jak w gorączce. Ale teraz mówisz, że można żyć i czekać milszego uśmiechu losu. Więc praca twoja w kraju nie zmarnowana, możesz iść dalej i rozwijać się. Ludzie twoi nie będą umierać z głodu, ty sam nie zbankrutujesz, kraj odetchnie.

Tadeusz na wspomnienie o bankructwie pokraśniał, ręce mu zadrżały.

— Boisz się bankructwa? pytała, patrząc mu w oczy. Zatrzymała bieg myśli na chwilkę.

— Byłaby to klęska dla interesów, mówiła jakby do siebie. Co do mnie, powiem ci prawdę — egoistyczna, dziecinna, dekadencka myśl opanowuje mnie i szepcze mi, że dopiero byłabym prawdziwie szczęśliwa, gdybyś zbankrutował, bo wtedy byłbyś wyłącznie moim jedynym, niepodzielnym. Wtedy dopiero zaczęlibyśmy życie nanowo razem. Nie tylko nie boję się twego bankructwa, ale go pragnę, a czasem myślę o niem, jako o zbawieniu.

— Dziecko, szepnął, dziecko! nie pojmujesz, że bankructwo to przegrana, to śmierć.

— Nie, przerwała, bankructwo twoje byłoby naszem odrodzeniem.

— Mojem, lecz padając, ciągnę w większą jeszcze przepaść, drugich, których kocham, którym winien jestem wszystko, prawie moje jestestwo...

— O, za tych popłacimy długi, przerwała Marynia, tym oddamy, co się im winno. Na to nas przecie będzie stać! Myślisz, że ja jestem złą partyą?... Podiebrad, sądzę, wyciąga rękę nie tylko po mnie, ale i po miliony, które stoją przy mnie, mimo dekadentyzmu, którym się pieści i wierzy, że jest jego wynalazkiem.

Tadeusz ciężko odetchnął.

— Ma on jednak czar, powiedział, któremu się oprzeć trudno. Gdy jesteśmy razem, uczuwam jego wpływ.

— Jakiż czar musieli wywierać dekadenci za czasów Nerona, mówiła Marynia. Tem więcej, że pod względem kultury były to lwy lub tygrysy, żądni krwi, silni, a przytem wytworni, artyści lekceważący życie, traktujący je, jako środek rozkoszy. Rozkosz, sztuka, filozofia, okrucieństwo, odwaga i spokój olimpijski... mogli zawracać głowy i serca pożerać ówczesnym kobietom.

— A dzisiejszym? — spytał Tadeusz.

— Dzisiejszym? — powtórzyła spokojnie Marynia, patrząc w oczy Tadeusza. Dzisiejszym odwaga, filozofia, sztuka i okrucieństwo nie wystarczają, one żądają czegoś więcej, one pragną duszy, indywidualizmu, one pragną tego, co dało ludzkości chrześcijaństwo. Ono wykształciło w nas indywidualną duszę, dało jej tęsknotę za nieskończonością i miłość do ludzi. To jest, czego żąda dziś dusza kobiety, której udało się pokochać śmiertelnika. Ty masz odwagę i filozofię, ale masz jeszcze coś więcej, to, czego nie mógł zrozumieć i odczuć dekadent rzymski — tęsknotę i miłość. W imię tęsknoty i miłości czynisz, tworzysz nowe widnokręgi i wkraczasz w nie. Podiebrad jeszcze jest Rzymianinem mimo swego dekadentyzmu i pociągu do sztuki, którą lubi za to, że mu nerwy drażni, i jeszcze z egoizmu, z fantazyi, z epikureizmu, a może z przeczuć duszy, a nie z jej potrzeb... Szuka mnie, chce być ze mną, jako z uosobieniem rasy, którą uważa za panującą, nazywa mnnie „Aryą" bo sam jest dumny, że jest „Aryjczykiem". Ponieważ tkwi w nim dusza Słowianina, widzi przyszłość świata w rasie aryjskiej. Ponieważ jestem Polką i inne światy wnoszę z sobą, aniżeli zmysłowe Węgierki i Niemki, kocha mnie może przeczuciem tych światów,

może przeczuciem przyszłości, może odgadywaniem idei, którą noszę w sobie. Lecz światów tych i tej przyszłości jeszcze nie zna i nie odgaduje.

Tadeusz patrzał w nią głębiami swych oczu.

— Ciebie pokochałam, szeptała dalej, za świadomość tego wszystkiego, co w tamtym jeszcze się nie zrodziło. Ciebie pokochałam dlatego, że zbudziłeś mą duszę czynami swymi. Bo do twórczości czynów potrzeba. A teraz dla dokończenia dzieła mej osoby muszę pracować przy tobie, być z tobą. I przysięgam ci, jeżeli tu pustka życia będzie mnie dalej dręczyć, tęsknota pożerać, nostalgia do kraju dusić, zabieram Koczalską i przyjeżdżam.

(*D. c. n.*) *Sewer.*



PAMIĘTNIKI
generała Klemensa Kołaczkowskiego.

Księga I od roku 1793 do 1813 (Kraków, 1898). — Księga II (Kraków, 1899).

Z końcem stulecia, będącego świadkiem wielkich wojen Napoleońskich, księga pamiętnicza weteranów owych olbrzymich zapasów bojowych nie została stanowczo zamknięta. Nietylko bowiem, że jeszcze kilka ksiąg pamiętników generała Kołaczkowskiego nie zostało wydrukowane, ale pamiętniki generała Prądzyńskiego spoczywają dotychczas w manuskrypcie i zaledwie jego memoryał dzięki generałowi Puzyrewskiemu został wydanym najprzód w języku francuskim, a następnie w polskiem tłómaczeniu. Jeżeli jednak nasze pragnienia nie zostały w zupełności zaspokojne i spodziewamy się ujrzeć w pierwszych latach XX stulecia resztę naszej bojowej pamiętnikarskiej spuścizny, to jednakże przyznać należy, że przy schyłku XIX stulecia nasza literatura w tym kierunku niezwykle wzbogaconą została. Przedewszystkiem bowiem rodzina po ś. p. generale Chłapowskim obdarzyła nas nieocenionymi dla historyka pamiętnikami swego mężnego i zacnego przodka. Następnie ogłoszono wspomnienia generała Szymanowskiego, zawierające dużo, i to bardzo cennych szczegółów wojennych. Wreszcie wydane

przez hr. Rogiera Łubieńskiego listy generała Tomasza Łubieńskiego dorzuciły światła, zwłaszcza do epoki wojen Napoleońskich. Możemy zatem być wdzięczni wydawcom pamiętników Kołaczkowskiego, że nam dali sposobność zapoznania się ze wspomnieniami oficera inżynieryi, który nabrał doświadczenia w wielu kampaniach i na polach bitew dosłużył się godności generalskiej.

Pamięcią swoją sięga generał Kołaczkowski jeszcze do końca XVIII w., ale owe dziecinne wspomnienia, jako przepełnione treścią bagatelną, pominę, zaznaczając jedynie wrażenie młodego ucznia we Wrocławiu, które uczyniły na nim w r. 1806 wojska pruskie, wyruszające na kampanię. Autor pamiętników utrzymuje, że wymarsz regimentów Hohenlohe i Treuenfels kirasyerów Dolffsa raczej pogrzebu obraz przedstawiał, jak radosnego pochodu przeciw nieprzyjacielowi. Żołnierze smutni, źle ubrani, bez płaszczy, młodzi oficerowie, tryumfujący naprzód z przyszłych niechybnych zwycięstw, wyżsi oficerowie, w zgrzybiałej starości, żegnający z płaczem swoje rodziny. Kolumny przeciążone bagażami, końmi obładowanymi, wozy, napełnione łóżkami oficerskiemi, po bokach kosze z indykami i kurami—taki widok mieliśmy, spotykając owe sławne wojsko pruskie, wybierające się do zwycięstw nad Francuzami. Wkrótce owoce tak wielkiego zaniedbania uczuć się dały. Głuche odgłosy poniesionych klęsk poprzedziły pierwsze wiadomości wojenne. Nareszcie, jak grom z jasnego nieba, przyszły wieści o klęskach pod Auerstadt i Jena.

Wrocław stanowił wówczas twierdzę, opasaną potężnymi wałami, bez murowanej jednakże odzieży. Rowy były napełnione wodą Ołtawy i Odry, drogi kręte, opalisadowane, ani prochu, ani kul nie brakło, lecz duch dawny Fryderyka Wielkiego opuścił obrońców. Pierwsze granaty, które do zagrożonego miasta wpadały, wielki postrach wznieciły wśród mieszkańców; cóż dopiero, kiedy obszerne, bogate przedmieścia z rozkazu gubernatora zapalone zostały! W każdym razie Wrocław wytrzymał jakie takie bombardowanie, i młody Kołaczkowski otrzymał pierwsze wrażenia wojenne wcale nienajgorsze. Dom, przez nas zamieszkiwany, pisze on, odebrał także kilka pocisków. Granat wpadł do izby naszej sypialni po wyprowadzeniu się naszem do piętra dolnego i piec przewrócił; inne na podwórzu pękły. Musieliśmy się schować w czasie najsilniejszego bombardowania do piwnic i tam najgorsze chwile przepędziliśmy. W godzinach, wolnych od bombardowania, porzucaliśmy niemiłe nam towarzystwo szczurów, ażeby odetchnąć na podwórzu, a nawet kilka razy pod przewodnictwem kapitana Za-

błockiego z regimentu Hohenlohe odważyłem się na wały, ażeby rozpoznać położenie bateryi nieprzyjacielskich, ich zakopów, obrony drogi krytej i bateryi wałowych naszych. Odtąd zacząłem oswajać się z przyszłym moim inżynierskim zawodem.

Wkrótce miał Kołaczkowski ujrzeć tryumfalny wchód zwycięzców. Piechota francuska złożona była z ludzi małych, krępych i silnych. Większa część 10 do 15 lat służby liczyła. Ich lekkość, zgrabność i wesołość wszystkich zadziwiała. Jakież było nasze szczęście — pisze autor — gdyśmy pierwszy raz oglądać mogli pułk ułanów polskich! Ich ubiór narodowy dochował się zupełnie, tylko kokarda trójkolorowa przypominała, że w służbie francuskiej zostają. Byli to rzeczywiście żołnierze z pod Novi i Hohenlinden. W roku 1809 ojciec zawiózł Kołaczkowskiego do Warszawy i polecił generałowi Hebdowskiemu, zastępującemu podówczas ministra wojny. Z jego to polecenia został Kołaczkowski przedstawiony generałowi Pelletier, komendantowi artyleryi i inżynierów, pułkownikowi Mallet, dyrektorowi inżynierów, i Bontempsowi, dyrektorowi arsenału. Wszyscy trzej opuścili służbę z rozkazu Napoleona dla uorganizowania służby odpowiednich broni w Księstwie Warszawskiem. Wszyscy mnie uprzejmie przyjęli i, wyegzaminowawszy, kazali umieścić na liście kandydatów do szkoły aplikacyjnej.

W Sandomierzu — pisze autor — zastałem obraz rzeczywistej wojny. Pod czynnem okiem generała Sokolnickiego wykonywano z szybkością nakazane roboty obronne: sypano baterye, zataczano działa i t. d. Służba na forpocztach odbywała się ściśle. Waleczny pułkownik Dziewanowski z pułkiem szóstym ułanów dowodził przednią strażą i dzień i noc czuwał nad bezpieczeństwem dzieł zewnętrznych. Wcale inny obraz przedstawiała główna kwatera w Trześni. Tam młodzież sztabowa u stołów otwartych naszego wodza zapominała o trudach wojennych. Hazardowa gra, w której przewodniczyli generałowie nasi i nawet sam wódz naczelny, zajmowała mocniej wszystkich, aniżeli obowiązek lub potrzeba wykształcenia się w wojennem rzemiośle.

Dnia 12 czerwca r. 1809 w potyczce pod Gorzycami znajdował się Kołaczkowski po raz pierwszy w ogniu armatnim i cokolwiek się z niebezpieczeństwem oswoił. Szturmowi Sandomierza miał sposobność przypatrywać się z pozycyi swoich i oświadcza, że szturm ten należeć będzie do najchlubniejszych czynów polskiego oręża. Następna kapitulacya Sandomierza została źle przyjętą przez naczelnego wodza. W liście nawet wynurzył swoje niezadowolenie generałowi Sokolnickiemu. W rzeczy samej okazało się, iż nale-

żało jeszcze parę dni wytrwać. W końcu roku 1809 Kołaczkowski powrócił do Warszawy i odebrał nominacyę na porucznika drugiej klasy w kompanii rzemieślniczej artyleryi przy boku podpułkownika Bontempsa i odtąd zajęty był służbą w arsenale budowniczym i w biurze dyrektora artyleryi. W końcu roku 1809 połączył się autor z Ignacym Prądzyńskim, który został adjutantem przy dyrektorze inżynieryi, Mallecie, i, razem z nim mieszkając, zaczęli wspólnie poznawać potrzebę dalszego wykształcenia w swoim zawodzie. Zajęci gorliwie służbą nie mogli uczęszczać na kursa szkoły aplikacyjnej. Trzeba było innych sposobów szukać. Podał im do tego sposobność Livet, były korepetytor szkoły politechnicznej paryskiej, który, sprowadzony przez rodziców Romana Sołtyka do Polski, pełnił zarazem obowiązki profesora geometryi wykreślnej i matematyki wyższej w szkole aplikacyjnej. Ułożywszy się z nim, obaj młodzieńcy chodzili do niego na lekcye prywatne w tychże przedmiotach.

W miesiącu lipcu roku 1810 Kołaczkowski wysłany został do twierdzy Zamościa, ażeby w praktycznych robotach fortyfikacyjnych odebrać naukę. Zastał tam komendanta inżynierów Jodkę, nie bardzo naukowo wykształconego, ale zacnego i poczciwego człowieka, pełniącego sumiennie swą służbę. Roboty około umocnienia twierdzy Zamościa zastał już rozpoczęte, używano do nich żołnierzy i chłopów okolicznych. Roboty wszystkie, razem wzięte, kosztować musiały około 100,000 zł. Kołaczkowskiemu dostało się dzieło przed bramą Lwowską, które w ciągu r. 1810 doprowadził do stanu obronnego. Na początku zimy w r. 1811 powrócił do Warszawy i prace swoje w biurze inżynierskiem dyrekcyi rozpoczął na nowo. Tak samo, jak wprzódy, połączył się z Prądzyńskim i wspólnie zaczęli pracować nad swojem zawodowem wykształceniem.

Z początkiem r. 1811 rozpoczęły się roboty wielkie około wzmocnienia twierdzy Modlina. Przeznaczony został do nich Kołaczkowski, i nawet przeznaczono mu w nich znaczny udział. Komendantem placu był Hilary Krasiński. Roboty rozległe wymagały wielkiego rozwinięcia sił i ogromnych nakładów. Kilka milionów złotych i całą dywizyę wojska wyznaczono do ich wykonania. Prócz tego zgromadzono kilkuset murarzy i cieśli do budowy murów i palisad, ścian drzewnych, blokhauzów i t. d., tak, iż z początku wychodziło około 6,000 żołnierzy do sypania wałów, którzy płatni byli na wydział od sążnia sześciennego ziemi, do pewnej wysokości wywiezionego, murarzy 300 i tyluż cieśli. Później drugą dywizyę piechoty sprowadzono, a z całego kraju w roku następnym

ściągnięto chłopów. Na moim wydziale — pisze autor — pracowało w tym roku około 1,000 żołnierzy, 100 cieśli i tyluż murarzy. Dozorowanie tylu ludzi, wyznaczanie wydziałów, odbiór wymiaru, budowa wjazdów, rozmiary i równoważenie, wytykanie i stawianie profilów, ścisły dozór nad murarzami i cieślami, nareszcie wygotowywanie raportów dziennych, sprawdzanie rachunków i asygnowanie wypłat do płatnika zajmowały wszystkie godziny dnia długiego, tak, że ledwie na kilka godzin do spoczynku wolnych rachować było można. Zaraz na początku robót zgnieciono Kołaczkowskiemu palec obuchem od siekiery, a następnie zapadł na febrę nerwową, która zagroziła nawet jego życiu.

Dnia 2 stycznia r. 1812 dostał Kołaczkowski nominacyę na adjutanta majora w batalionie saperów, a 20 marca na kapitana drugiej klasy w korpusie inżynierskim. Roboty modlińskie rozpoczęły się z ukazaniem wiosny z większem nierównie natężeniem i rozwinięciem większem środków, aniżeli w roku przeszłym. Kołaczkowskiemu dostał się ten sam wydział, ale mu dodano pomocników. Wojna r. 1812 zdawała się pewna, dlatego też z wielkim pośpiechem, skoro tylko koledzy powrócili, wzięto się do robót. Dwie dywizye piechoty na ten cel przeznaczone zostały. Pierwsza z czterech pułków pod komendą generała Dąbrowskiego rozłożyła swoje obozy na prawem skrzydle twierdzy, od korony modlińskiej ku Pomiechowu i porządne wystawiły szałasy. Druga z trzech pułków pod komendą generała Kamienieckiego stanęła obozem około Nowego Dworu. Obydwie dywizye dostarczały dziennie około 6,000 ludzi. Prócz tej znacznej ilości zebrano z departamentów najbliższych około 10,000 wieśniaków, którzy pod wyznaczonymi z każdego powiatu komisarzami zalegli w obozach od utrackiej do modlińskiej korony pod lasem. Zaopatrzenie tak wielkiej ilości ludzi w chleb, krupę, okrasę i wódkę wymagało wielu starań i zachodu, nie mniej było zachodów koło ich zdrowia, a nareszcie regularnej zapłaty dziennych robotników, których do 12,000 wraz z żołnierzami prócz cieśli i murarzy codzień wychodziło. Strzał działowy równo ze wschodem słońca oznaczał początek roboty, podobnież i koniec tychże z zachodem słońca. Żołnierze, na czele mając swych oficerów i podoficera, chłopi zaś, prowadzeni przez swoich komisarzy i dozorców, a wszyscy w żywność na południową godzinę opatrzeni, przychodzili na wydział. Niemałą to pracą być musiało 4,000 takich robotników rozdzielić i nimi kierować, a tylu ich przychodziło na wydział Kołaczkowskiego, który w takiej wytężonej pracy mógł prędko nabrać doświadczenia.

Nadszedł nareszcie rok 1812, a z nim i wielka wyprawa do Rosyi. Kołaczkowski pisze, że wcześnie w wojsku polskiem dało się spostrzegać złe rozporządzenie w marszach, które się odbywały jedną tylko drogą w jednej nieprzejrzanej kolumnie i w pochodzie swoim z osłonami i parkami blizko dwie mile zajmowało. Znać było, że i wodzowie niedoświadczeni w marszach i młode wojsko niewprawne do pochodów. Gdy czoło kolumny już ognisko zakładało, ogon jeszcze wlókł się po drodze przez trzy godziny, nim doszedł na stanowisko. Zaczęło już wtedy ludzi w w szeregach ubywać, a do Niemna dochodząc, bataliony nasze bardzo się przerzedziły. Winę tak złego rozporządzenia kładziono na karb szefa sztabu, Fiszera. Dywizyonerzy, między nimi najbardziej generał Dąbrowski, nieprzyuczony do tak blizkiej nad sobą opieki i lubiący na swoją ręką prowadzić wojnę, cierpiał na widok znękanego zawsze i źle żywionego żołnierza, którego był ojcem i mocno się na taki stan rzeczy uskarżał. Czemu — pisze autor — nie maszerowano dywizyami w odstępach dwugodzinych za sobą albo też trzema równoległemi drogami, zostawiając główną dla parku artyleryi i dla pociągów?

Jeszcze dziś — pisze Kołaczkowski — nie pojmuję takiego opacznego, przeciw wszelkim prawidłom, sposobu maszerowania i wielką część winy na księcia Poniatowskiego składam, który na czele kolumny swobodnie sobie jechał, nie dbając o to, co się w tyle dzieje. Przez całą kampanię maszerowano następującym sposobem. Zrana pobudka. Po zakąsce chleba i wódki wojsko pod bronią stawało. Dywizya pierwsza wyruszała ze stanowiska swojego i rozciągnęła się po drodze, następnie wszystkie inne. To trwało dwie godziny przynajmniej. Czoło kolumn szło pośpiesznie, ostatnie plutony zadyszane doganiały. Wśród marszu miały spoczynek, wśród którego rzucali się do najbliższej wody w celu ugaszenia pragnienia. Potem dalej maszerowano aż do noclegu, gdzie rozkładano się w pozycyi, jak przed nieprzyjacielem, z placówkami, wedetami i t. d. Dopieroż budowanie szałasów, rozpalanie ognisk, posyłki za wodą, żywnością, drzewem, tak, że nawet w miesiącu czerwcu, gdy dzień tak długi, żołnierz zgłodniały ledwie o godzinie 10-ej wieczorem doczekał się strawy, a najczęściej rzucał się na ziemię i nie przebudzał się jak zrana, ażeby resztą z kociołków posilić się do następnego pochodu.

Między Sadami a Krasnem wojska polskie złączyły się na chwilę z wielką armią, dążącą pod Smoleńsk. Tu zdarzyła się Kołaczkowskiemu sposobność oglądania Napoleona. Zatrzymał się on

przez chwilę na głównym trakcie do Krasnego, wysadzonym po obu stronach podwójnym rzędem niebotycznych brzóz, odbierając z rozmaitych stron raporta. Otoczony był świetnym sztabem, przed nim i za nim postępowały konne gwardye. On sam siedział na bułanym arabskim koniu i odznaczał się kapeluszem trójgraniastym bez żadnej ozdoby i sławną kapotą popielatą, pod którą nosił mundur strzelców konnych gwardyi. Napoleon miał wówczas lat 43, wzrostu był małego, miał wysokie ramiona, szyję krótką, głowę wielką, był otyły. Chód jego ciężki, twarz szeroka piękną się wydawała z profilu, nos był grecki, cera blada, włosy czarne, krótkie, gładko zaczesane na czole, oczy szare, piękne, ocienione brwią gęstą, ciemną, których przenikliwość nie każdy mógł znieść. Cały wyraz twarzy był jakby z głazu nadzwyczaj spokojny i nawet ponury. Dwie tylko namiętności na niej się malowały, gniew i radość. Mówił mało i tylko przerywanemi słowami. Widziałem go później kilka razy w ciągu kampanii, lecz zawsze to samo wrażenie po sobie zostawił.

Bitwę pod Smoleńskiem Kołaczkowski opisał szczegółowo, jako świadek jej przebiegu, i stworzył też obraz jej dosyć ciekawy, chociaż niezbyt pouczający. Korpus piąty, zdaniem autora, ruszył naprzód w ściśniętych kolumnach, jazda na prawem skrzydle zakrywała ten ruch i regulowała nieprzyjacielskie posterunki, rozłożone wzdłuż Dniepru. Spotkaliśmy cesarza, który nas wesoło przywitał i w przytomności swojej nakazał zmianę frontu w ten sposób, aby prawem skrzydłem zbliżyć się ku Dnieprowi. Poruszenie to nie bardzo gładko poszło. Napoleon roześmiał się na widok pomyłek i rzekł: „to są młode wojska!" Przywoławszy potem księcia Poniatowskiego, wskazał na punkt do ataku i polecił, aby prawemi kolumnami starał się wyprzeć nieprzyjaciela ze wszystkich stanowisk w przedmieściu naddnieprowskiem i mostom nieprzyjacielskim zagroził. Poruszenie to wykonane zostało. Generał Zajączek z pułkami swymi zbliżył się na wystrzał kartaczowy od parowu prawego i tyralierom swoim kazał się spuścić do niego. Rozpoczął się w tem miejscu ogień bardzo żywy. Ludzie i konie padali, łoża strzaskane zastępowano, przodki i wozy amunicyjne wylatywały w powietrze. Był to piękny zaiste widok. Na lewem skrzydle naszych bateryi stał król neapolitański z księciem Józefem, rozmawiając z sobą jak najswobodniej, tak, jak gdyby ich grad kul nie obsypywał. Ogień ten trwał parę godzin i powoli zaczął z obu stron cichnąć. Tymczasem atak naszej piechoty postępował. Spędzono nieprzyjacielskich strzelców z parowu i z przedmieścia Nikolskoje,

a pułki 16-ej dywizyi wyparowały go nawet z drogi krytej. Lecz na tem zakończyć się musiały ich usiłowania. W murach trzydziestostopowych nie było wyłomu, a ogień broni ręcznej nie dozwalał do nich dostępu. Artylerya francuska starała się wprawdzie wyłomy porobić, lecz wszelkie działania przeciwko 18-stopowym murom były nadaremne. Trzeba było 16-tą dywizyę, która mocno ucierpiała, z ognia wyprowadzić, ukryć się w parowie i w palącem się przedmieściu Nikolskoje.

Drugi atak, wymierzony przeciwko przedmieściu Raczyńskiemu, szedł z początku pomyślnie. Generał Grabowski na czele 18-ej dywizyi wyparł nieprzyjacielską piechotę z doliny naddnieprowskiej i opanował przedmieście. Lecz nadeszła pomoc, złożona ze strzelców pieszych gwardyi i brygady dywizyi pod dowództwem Eugeniusza Wirtemberskiego, i zatrzymała natarczywość naszej piechoty. Przyszło do żywej walki na przedmieściu samem, które spłonęło w ogniu, i strata z obydwu stron stała się wielką, lecz większą po naszej stronie. Poległo wielu oficerów i żołnierzy, a bolesne to, że wielu rannych spalonych zostało. Po wzajemnem kilkagodzinnem parciu, nie chcąc na większe straty piechoty naszej narażać, któraby na żaden przypadek murów kolbami nie była rozbiła, ani mostu, mocno obsadzonego pod ogniem całej linii murów nadbrzeżnych, zdobyła, cofnięto się z przedmieścia i ukryto w zagięciach parowu.

Bitwę pod Możajskiem opisał Kołaczkowski jeszcze szczegółowiej i przechował nam niejedną wieść bardzo interesującą. Dnia 5 września rozpoczął korpus 5-ty walkę w niekorzystnych warunkach, z widoczną wyższością ze strony artyleryi rosyjskiej, która, korzystniej od naszej stojąc, gradem kul wydrążonych obsypywała nasze linie. W przeciągu pół godziny stanowisko nasze, bateryi zasłane zostało końmi i ludźmi. Szef brygady Sowiński stracił prawą nogę; tak mocno ranny z największą spokojnością dał się opatrzeć i, leżąc na ziemi przy swoich działach, nie przestał wydawać rozkazów kanonierom. Jazda rosyjska, z kirasyerów i dragonów złożona, nader śmiałe ataki przypuszczała do jazdy francuskiej i przednie pułki przełamała. Natarła nawet na kompanię piechoty naszej, wysuniętą przed naszemi kolumnami dla wsparcia tyralierów. Te, w kłębki zwinięte, ogniem rotowym odparły nieprzyjacielską jazdę; osobliwie zimną krew okazywał w tej chwili kapitan Jan Skrzynecki z pułku 16 piechoty na czele swojej kompanii.

Dnia 7 września korpus piąty miał przeciwko sobie przeważne siły Tuczkowa. Dywizya 16 pod generałem Izydorem Krasińskim, wspierając swoich tyralierów, rozdrobniła się na małe oddziały

i wprowadziła do boju dwie trzecie całkowitej siły, a jednak wcale nie postępowała. Nieprzyjacielscy strzelcy, doszedłszy do swoich kolumn, przestali się cofać i wstępnym bojem uporczywie się potykali. Trudno było ściągnąć do kupy rozpierzchniętą po zaroślach i chrustach piechotę naszą dla sformowania z niej kolumn do ataku w przytomności i pod ogniem jegrów nieprzyjacielskich. Ogień wzmagał się coraz bardziej. W przedłużeniu naszej linii bojowej wznosił się w białych kłębach dym bateryi francuskich, oznaczający widocznie postęp naszego środka. A jednak dla słabej siły nic stanowczego nie można było po naszej stronie przedsięwziąć. W tej ważnej chwili książę Poniatowski, chcąc się ze swojej strony przychylić do zwycięstwa, nakazał atak piechoty na Mamelon, stanowiący oparcie nieprzyjacielskiego korpusu generała Tuczkowa. Szef brygady, Maciej Rybiński, na czele jednego batalionu 15-go pułku liniowego zaszedł od prawego skrzydła i szybkiem natarciem opanował go, spędziwszy nieprzyjacielską piechotę, mianowicie pawłowskich grenadyerów i, 13 dział zdobywszy, utrzymał się na wzgórzu blizko przez kwadrans. Stąd, jak na dłoni, wszystkie pozycye nieprzyjaciela jasne się wydawały. Gdy jednak druga linia nasza pod generałem Kniaziewiczem żadnego kroku nie uczyniła dla wsparcia tego ataku, Rybiński, nie mogąc się z jednym osłabionym batalionem dłużej opierać nacierającym zewsząd rezerwom rosyjskim, prowadzonym osobiście przez generała Tuczkowa, wziął sam orła w ręce i, uformowawszy kolumnę, przedarł się przez nieprzyjacielskie bataliony, utraciwszy 300 walczących. Tym sposobem ruch ten stanowczy, wykonany bez wsparcia rezerwy, nie mógł się udać. Wykonany przez całą dywizyę 16 i wsparty 18 byłby za sobą inne pociągnął skutki.

Ile razy zdarzyło mi się widzieć księcia Poniatowskiego—pisze Kołaczkowski — zawsze wprowadzał bataliony pojedyńcze w ogień, gdzie sam rycerską swoją postawą odznaczał się od wszystkich, nigdy nie pamiętam jednak, aby kilka batalionów razem wysłał z rezerwą albo z drugą linią w odwodzie. Był to błędny zwyczaj z austryackiej szkoły przyjęty, który, niewiele dokazawszy, tępił naszą piechotę. Nieprzyjaciel, spędziwszy Rybińskiego, zajął napowrót Mamelon, uwieńczywszy go 6 działami pozycyjnemi, i wytrwał w tej pozycyi do godziny 3-ej po południu. Dopiero wówczas Poniatowski, naglony rozkazami cesarza, postanowił wszystkiemi siłami ponowić odparty atak. Ustawiwszy obydwie dywizye w ściśniętych kolumnach, poprowadził je sam na Mamelon i wsparty z boku jazdą szybkiem uderzeniem zdobył go po raz drugi i arty-

leryą uwieńczył. Dowodzący po Tuczkowie generał Baggawuth napróżno się starał o odzyskanie utraconego stanowiska. Wreszcie ruch wsteczny głównej armii i jemu także nakazywał odwrót. Wykonał go porządnie, niewiele party od naszej piechoty, i zajął nową pozycyę o dwa wystrzały armatnie od pierwszej.

W czasie bitwy — pisze dalej autor — znajdując się w sztabie księcia Poniatowskiego, wysyłany byłem z rozkazami po kilka razy do naszej piechoty i do bateryi pozycyjnej i równo z niemi podzielałem niebezpieczeństwo tego pamiętnego dnia. Wtedy, gdy ogień zdawał się wolnieć, z ołówkiem w ręku rysowałem naszą pozycyę, a w miarę postępu naszego i nieprzyjacielską. Nazajutrz, t. j. d. 8 września około godziny 2 rano, dokończywszy planu bitwy z naszej strony, ciekawy byłem rozpoznać pole bitwy wielkiej armii. Gdy wstąpił na pole tam, gdzie wysypane trzy szańce oznaczały środek rosyjski, przedstawiał się zdziwionym oczom moim widok, którego okropność przeszła oczekiwanie. Na przestrzeni tylko 1500 sążni wzdłuż i tyleż wszerz leżały trupy koni i ludzi zabitych, strzaskane łoża, wozy amunicyjne i broń ręczna tak gęsto, jak mi się później nigdy nie zdarzało widzieć, nawet w bitwie lipskiej. Smierć tu odbyła okropne żniwo swoje. Leżeli tu zmieszani Francuzi z Rosyanami, świeże ich rany, szczególniej od kul armatnich, w rozmaitych postaciach przerażały umysł, nie dość zahartowany na takie widoki. Osobliwie w blizkości szańców powyższych i wielkiej bateryi, zamkniętej na lewo Borodyna, widoczne były ślady najzaciętszej walki. Rowy literalnie zapełnione były poległymi, a przystęp do nich zasłany również trupami tak, iż po nich sądzić było można o kierunku nacierających kolumn. Przy borodyńskiej bateryi, której przedpiersia od kul i granatów zatarte i od kopyt nacierającej jazdy zdeptane były, widać było olbrzymie postacie kirasyerów francuskich, saskich i polskich, którzy niesłychanem w dziejach jazdy natarciem szaniec ten zdobyli. Takiż dziwny wyraz namiętności i odwagi jaśniał jeszcze na tych, ranami zoranych i skręconych twarzach.

Pożar Moskwy oddziałał silnie na wyobraźnię Kołaczkowskiego. W nocy — pisze on — pojedyńcze pożary dowodziły coraz bardziej, iż zamiar spalenia miasta nie był urojonym. Przy łunie ognia przepędziliśmy noc na przedmieściu Riazańskiem, nie rozbierając się i zachowując wszelką ostrożność. Żołnierze nasi, obficie opatrzeni w żywność, w domach bojarskich zdobytą, całą noc gotowali i posilali się. Niektórzy herbatę gotowali gęsto i słoniną krasili, inni, rozsądniejsi, o przyszłość pamiętniejsi, w pożywniejsze wiktuały

zaopatrywali się. Nad ranem wszedłem w środek miasta i znalazłem się w Kitajgrodzie, wśród żołnierzy gwardyi francuskiej, wytaczających beczki wina z piwnic i dobrze już podochoconych. Później na przedmieściu Riazańskiem zastałem wojsko nasze pod bronią, sposobiące się dalszego do pochodu. Wielu oficerów i żołnierzy nosiło na sobie ślady nocnych bankietów. Nawet generał naszej artyleryi Pelletier i oficerowie francuscy, Mallet, Bontemps i inni dobrze podochoceni byli i w bakiotę grali. Dowiedziałem się, że całą noc ponczem z araku i ananasów posilali się.

Dnia 29 września korpus 5 wyruszył pod wieś Czaryków i stoczył zwycięską bitwę z generałami Miłoradowiczem i Ottermanem. Kołaczkowski tym razem nie ma nic do zarzucenia Poniatowskiemu i chwali księcia Sułkowskiego oraz brygadę Tyszkiewicza, którzy swem walecznem zachowaniem się przyczynili się do sławy wojsk w tym dniu pamiętnym. Dnia 30 października przedstawiło się oczom naszym — pisze autor — pole bitwy możajskiej. Widoczne tam były ślady olbrzymiej walki z d. 7 września. Niepochowane trupy, szkielety koni, ułamki łóż i wozów amunicyjnych okrywały pobojowisko. Smutny ten widok zdawał się jakby przepowiednią tych cierpień i klęsk, które nas spotkać miały. Wojsko polskie, słabe co do liczby, maszerowało jeszcze porządnie, konnica z każdym dniem zmniejszała się, lecz artylerya, której przezorniejsi dowódcy kazali wszystkie swoje konie ostro kuć, zaopatrzyli się w żelazo i węgle i znaczniejsze zapasy owsa za sobą prowadzili, przebywała z łatwością wszystkie najtrudniejsze przesmyki, przy których francuska artylerya traciła zaprzęgi i działa.

Dnia 3 listopada korpus piąty pod komendą generała Zajączka w zastępstwie księcia Poniatowskiego, który skutkiem zwichnięcia nogi nie mógł konia dosiąść i w powozie musiał jechać, zbliżył się zrana do Wiazmy. Zawiązała się bitwa z korpusem generała Miłoradowicza, która dla zmęczenia żołnierza, braku żywności i nieporządku, który się zakradł do korpusu Davoust, niepomyślnie dla Francuzów wypadła. Korpus piąty narażony był w tym dniu na dotkliwe straty, a generał Pelletier, dowodzący artyleryą, zbliżywszy się nadto do kolumn rosyjskich, wraz z adjuntantem Żwanem, wzięty został do niewoli, podobno — jak autor utrzymuje — w stanie niezupełnie trzeźwym. Dochodząc do Krasnoj — pisze Kołaczkowski — koń mój tak mocno się odgrudził, iż z trudnością dalej prowadzić go mogłem. Minąwszy Siady, musiałem go porzucić i pieszo przebyć drogę do Orszy i stąd do Berezyny. Marsz ten ostatni dał mi się szczególniej we znaki. Dnia 19 bowiem tempera-

tura zupełnie złagodniała. Raptowna odwilż przemieniła trakty w błotne kałuże, które liczne wozy i armaty wkrótce zupełnie rozjeździły. Musiałem w lekkiem obuwiu postępować po tem błotnistem morzu i nieraz tak byłem zmęczony, iż zacząłem o sobie powątpiewać. W chwili takiej, kiedy wysilony siadłem przy drodze dla wypoczęcia, spotykam pułkownika Malleta w dobrej bryczce, zaprzężonej w trzy silne konie. Wołam na niego, przedstawiam stan mój i proszę, ażeby się nademną ulitował i na bryczkę zabrał. Lecz człowiek ten bez serca, niepomny na dawne stosunki, odmówił mi wręcz tej pomocy i, zimno spojrzawszy, kazał mnie minąć. W kilka chwil później nadszedł pociąg wozów i armat polskich. Pułkownik artyleryi, Walewski, widząc moje położenie, zlitował się przecież nademną i pozwolił mi usiąść na armatniem łożu.

Dnia 26 nad wieczorem — pisze dalej autor—przybyłem pieszo i bardzo znużony do Studzianek. Spotkałem tam przyjaciela i kolegę Prądzyńskiego. Jakież było jego zdziwienie i smutek na widok szczątków naszego korpusu i wielkiej armii, co za różnica od czterech miesięcy! Wojska dawniej tak świetne, tak potężne, w stanie najopłakańszym przedstawiały się oczom jego. Tylko korpus piąty zachował większą część artyleryi swojej; część bowiem odstąpić musiał korpusowi czwartemu, z Włochów składającemu się, który między Smoleńskiem a Orszą pozostawił ją na drodze. Jednakże różnica w mojej powierzchowności wzbudziła współczucie w poczciwem sercu Prądzyńskiego. Rozpłakał się na mój widok, opatrzył mnie w żywność i konia dobrego odstąpił. Dnia więc 27 przejechałem konno, lubo z trudnością wielką, przez lewy most za artyleryą korpusu piątego i dostałem się szczęśliwie na brzeg przeciwny. W pierwszych dniach stycznia roku 1813 zwołane zostało pospolite ruszenie w departamentach, nie zajętych przez nieprzyjaciela. Na to wezwanie w przeciągu 6 tygodni stanęło około 8,000 jazdy na koniach mierzynach, uzbrojonych w lance z chorągiewkami i pistolety i wszyscy umundurowani. Owo pospolite ruszenie złożone było z samych chłopów. Zbłądzono w tem, iż na dowódców nie dano im starszych oficerów i podoficerów. Właściciele ziemscy bez doświadczenia zastąpić ich byli zmuszeni. Nie było też czasu do uporządkowania i wymustrowania tego naprędce zebranego żołnierza. W krótkim czasie nieład i zniechęcenie zakraść się musiały w szeregi. Za pierwszą wiadomością o przejściu Wisły przez Rosyan dezercya się rozpoczęła, i w dwa tygodnie ledwie się 2,000 ludzi z tego całego pospolitego ruszenia przy chorągwiach znalazło.

W drugiej księdze opisuje autor, że w r. 1813 przybył do Kra-

kowa ks. Antoni Radziwiłł, aby w imieniu Prus i Austryi odciągnąć Poniatowskiego od Francyi. Książę z pogardą odrzucił propozycyę obudwu dworów. Drugie jednak zmartwienie miał większe, odebrał bowiem w Krakowie podanie do dymisyi z powodu zdrowia od generała Kniaziewicza. Krok ten w okolicznościach niebezpiecznych, w jakich się korpus polski znajdował, wytłómaczeniu nie podlega. Dymisya wydaną została w wyrazach, nie przynoszących zaszczytu generałowi Kniaziewiczowi. W Czechach zaczęli emisaryusze austryaccy w zmowie z mieszkańcami odmawiać polskich żołnierzy. Powstała wielka dezercya w szeregach. Gdy kary dyscyplinarne nic nie pomogły, ks. Poniatowski, chcąc złemu zapobiedz, odrazu zwołał sąd wojenny, który dwu żołnierzy skazał na rozstrzelanie. Wyrok ten wykonany został w przytomności mieszkańców. Stąd nastąpiło wielkie ich wzburzenie z powodu, że polski dowódca prawo śmierci śmie wykonywać w państwie cesarskiem. Z tem wszystkiem przykład, tak energicznie dany, powstrzymał dezercyę.

Kołaczkowski kampanię r. 1813 odbywał przy boku generała Umińskiego. Oto — jaki nam daje portret swego przełożonego. Generał Umiński był surowym przestrzegaczem karności wojskowej, znał dobrze służbę konnicy, był czynnym, pilnym i przebiegliwym, lecz żadnego nie miał wyobrażenia o służbie innych broni. Dlatego też, nie pochlebiając sobie, przybycie moje do jego korpusu było mu przyjemnem i pożytecznem. Przyczyniła się do dobrego przyjęcia osoby mojej dawna zażyłość generała z ojcem moim, dawnym towarzyszem młodości. Kołaczkowski opisał też w pamiętnikach swoich najdrobniejsze ruchy Umińskiego, któremu polecono zająć Fridland i Reichenbach. Wogóle korpusowi Poniatowskiego sprzyjało aż do bitwy lipskiej względne szczęście. Autor bez przesadyi z prostotą opisał owe dnie gorące, w których nasze wojska zasłużyły się rzetelnie, i to niejednokrotnie. Pewnego razu udało się pułkowi Krakusów zdobyć sztandar kozacki, zaraz potem o godzinie 4 wieczorem cesarz przybył do nas — pisze Kołaczkowski — drogą na Bischofswerden. Na widok Krakusów na małych konikach nie posiadał się od śmiechu. Generał Umiński pośpieszył ku niemu dla zdania raportu. Chcę zlustrować ten pułk, jest on dobry, wyborny, czy wiesz pan, jaka jego siła?—rzekł do Umińskiego. Podjechawszy przed front, przyjęty został okrzykiem: niech żyje cesarz! Po zlustrowaniu koni i ludzi rozkazał jednego konia rozsiodłać, a widząc lichą szkapę pod wojłokiem, jeszcze się bardziej śmiać począł i obróciwszy się do Canlaincourta, zawołał: Oto ludzie, co na takich koniach biją kozaków i zabierają im sztandary, to przecież dzielna

jazda i dzielny naród ci Polacy! Do Umińskiego zaś powiedział: Generale, muszę mieć takież 3000 ludzi, a gdy generał Umiński odrzekł, iż takich koni nie znalazłby w Saksonii, cesarz na to: ale cóż, za pieniądze można wszystkiego dostać. Każę panu dać odpowiednie fundusze i niema o czem gadać, muszę mieć takie konie! Księciu Poniatowskiemu, który na ten czas nadjechał, powtórzył: właśnie oglądałem pańską jazdę pigmejską, muszę mieć 3,000 podobnej.

Bitwę lipską opisał Kołaczkowski rozwlekle, ale bez należytej jasności. Zanotował jednak jeden szczegół z dnia ostatniego, który dla nas stanowić będzie miłą pamiątkę. Oto w czasie śmiertelnej katastrofy (t. j. po śmierci Poniatowskiego)—pisze autor — piechota nasza ciągle walczyła w ulicach przed Peterską bramą. Zewsząd otoczona sformowała się nareszcie w małą kupkę w liczbie może jeszcze 500 ludzi, gotowa jeszcze do ostatniego tchu bronić orłów polskich. Były tam pułki: 15 pod dowództwem pułkownika Macieja Rybińskiego, 16 pod majorem Bolestą, 8 pod pułkownikiem Ostrzeżewiczem i t d. Stali spokojnie w kolumie ściśniętej, na ramieniu broń, o pół strzału kartaczowego od dział, wymierzonych przeciwko nim, otoczeni do koła kolumnami rosyjskiemi, pruskiemi i austryackiemi. Nie śmiał nieprzyjaciel uderzyć na tę garstkę bohaterów w rozpaczy. Zbliżył się nareszcie generał Paszkiewicz i żądał zdania się na łaskę, lecz gdy nie mógł dogodzić żądaniom dowódców naszych, nawinął się fligel-adjutant cesarza Aleksandra, za którego radą wysłali dowódcy polscy pułkownika Rybińskiego do cesarza. Kiedy wszedł na rynek lipski, zastał cesarza Aleksandra, otoczonego monarchami sprzymierzonymi i głównie naczelnymi. Czego żądasz?— zapytał cesarz. Najjaśniejszy Panie!— odpowiedział Rybiński w języku francuskim — pięćset Polaków, odciętych i otoczonych, składa broń u stóp W. C. Mości, któremu się należy zaszczyt wygranej. Zachowaj, Najjaśniejszy Panie, żołnierzom te godła honoru, które oni nad życie cenią. Los nas oddaje W. C. Mości, lecz gotowi jesteśmy w stanowczej dla nas chwili bronić tych godeł do ostatniego naszego tchnienia. Patrzał w czasie tej mowy cesarz surowo na Rybińskiego, potem z łagodnością wyrzekł: zgoda!

Po pogromie, około godziny 12 — pisze autor — widziałem cesarza, pieszo stojącego, na trakcie do Altranstadt. Obok niego przechodzili jeźdźcy z pieszymi, oficerowie bez wojska, żołnierzy piesi bez broni, ranni i t. d. Bezbronnych mocno strofował. Co zrobiłeś z karabinem, gdzie jest twój korpus, każę cię rozstrzelać! Generał Sokolnicki około godziny 2 po południu poprowadził jazdę naszą

traktem do Lüzen i stanął o godzinę drogi od Altranstadt, we wsi na prawo traktu, frontem do Pegau. Doświadczony wódz czuł dobrze, iż najpierwszem jego zadaniem jest uspokoić umysły, wzburzone po stracie ulubionego wodza, i wojsko zatrudnić. Wieczorem, zebrawszy dowódców dywizyi i brygad, oświadczył im, iż, mając wiadomość pewną o stanowisku korpusu generała Giulay pod Pegau, o milę od naszego stanowiska, postanowił poprowadzić wszystkich tej jeszcze nocy dla napadnięcia na źle strzeżonych Austryaków. Na to oświadczenie zdumieli wszyscy dowódcy, i niechęć malowała się na wszystkich twarzach. Projekt tego nocnego ataku konceptem nazwali niespokojnego umysłu dowódcy. Po tylu dniach, przepędzonych w boju, po tylu nocach bezsennych, pragnęli oni choć jedną noc przepędzić w spokoju. Zaczęli więc przedstawiać generałowi Sokolnickiemu, iż żołnierze i konie po 5-dniowych nieustannych bojach i po tylu poniesionych stratach, strudzeni do upadłego, niezbędnie spoczynku potrzebują. Lecz generał Sokolnicki, obstawał za swojem zdaniem i zaczął instrukcye wydawać generałom. Natenczas generał Krukowiecki, znany oddawna w wojsku z niesfornogo umysłu, dla podkomendnych przykry, starszym zawsze nieposłuszny, zabrawszy głos i wsparty przez generała Kwaśniewskiego, krzykacza z czasów Madalińskiego, oświadczył wręcz generałowi Sokolnickiemu, iż wojsko za nim nie pójdzie. Dość tych bojów! — rzekł — wszystko oddawna stracone, trzeba nam myśleć o zachowaniu tych szczątków walecznego wojska dla ojczyzny. Generał Sokolnicki, przekonawszy się o tak niemężnem usposobieniu odstąpił od pierwotnej myśli i poprzestał na wydaniu najściślejszych rozkazów strzeżenia się tej nocy. Nad ranem generał Krukowiecki, nie zameldowawszy się swojemu dowódcy, od żadnego z kolegów nie upoważniony, pojechał do głównej kwatery cesarskiej do Altranstandt i zastał cesarza w karecie wśród gwardyi. Zbliżywszy się do niego, oświadczył mu najbezczelniej w imieniu wszystkich dowódców polskich, iż, do generała Sokolnickiego żadnego nie mając zaufania, proszą cesarza, ażeby nad nimi dowództwo powierzył ks. Sułkowskiemu. Cesarz, dobrze obeznany z podobnemi scenami między oficerami legionów polskich w czasie kampanii włoskich, lekko te oznaki niesubordynacyi pominął. Ważniejszemi sprawami, niż godzeniem generałów polskich, zajęty odpowiedział dość obojętnie: Dobrze, niech książę Sułkowski obejmie dowództwo nad Polakami, skoro im tak do gustu przypada.

Pochwyciwszy tę odpowiedź, generał Krukowiecki przylatuje do naszej jazdy i słowa cesarskie generałowi Sokolnickiemu prze-

kazuje. Zacny wódz, żalem przejęty na tę odpowiedź, nie wyrzekłszy słowa, odstąpił komendy ks. Sułkowskiemu i do swej dywizyi powrócił. Ks. Sułkowski, szkaradnym tym podstępem Krukowieckiego i kilku podrzędnych intrygantów, którym się bić nie chciało, wodzem naczelnym naznaczony, nie był to człowiek, odpowiadający tak trudnemu zadaniu, jakiem jest komenda rozprzęgającego się wojska. Waleczny wprawdzie na polu bitwy, pięknej, ujmującej, prawdziwie książęcej postawy, był pełen drobiazgowej pychy. Nikt nie miał od niego słabszego charakteru. Powodowany zawsze zdaniem najbliższych otaczających osób, sam nie miał żadnego i w ważnych momentach ciągle się wahał. Wnet znaleźli się intryganci, co, słabą stronę księcia zbadawszy, użyli go za narzędzie do wypełnienia swoich podłych zamiarów. A nic innego w myśli nie mieli, jak opuszczenie szeregów Napoleona, nie doszedłszy do Renu. Na czele tych intryg podziemnych stanął generał Krukowiecki, opanowawszy umysł adjutanta księcia, niejakiego Zbijewskiego, który na nim miał wpływ wszechwładny. Coraz mocniej wystawiał on ks. Sułkowskiemu potrzebę dania wojsku jakiejś rękojmi, aż nareszcie, gdy dezercya między żołnierzami i oficerami wzmagać się zaczęła, gdy batalion grenadyerów polskich, wcielony do gwardyi cesarskiej, straciwszy wielu ludzi przez dezercyę, jednej nocy z dowódcą swoim, pułkownikiem Kurcyuszem przeszedł do nieprzyjaciela, Sułkowski, zebrawszy korpus oficerów, zaręczył im uroczyście słowem honoru, iż do Renu tylko towarzyszyć będzie Cesarzowi, a stamtąd odprowadzi ich do ojczyzny.

Wiadomy jest dalszy przebieg powyższej sprawy i że wojska polskie postanowiły za Ren towarzyszyć Napoleonowi. Sułkowski podał się do dymisyi i takową niezwłocznie otrzymał, a ówczesne gazety niemieckie ogłosiły, że ks. Sułkowski, naczelnie dowodzący wojskiem polskiem, w dniu tym a tym przeszedł do sprzymierzonych. Intryganci, na czele ich Krukowiecki, pozostali przy armii, nie przestając burzyć oficerów niższych przeciw starszym. Krukowiecki użył do tego generała Kwaśniewskiego, który przed frontem poważył się zelżyć generała Sokolnickiego i za to jednak pod sąd nie poszedł. W Gelnhausen spotkał cesarz generała Dąbrowskiego i przywitał go temi słowy: Jak się masz, stary druhu, oddałem dowództwo nad Polakami temu niegodnemu księciu Sułkowskiemu, zawiódł moje zaufanie, i kazałem go odprowadzić do forpoczt nieprzyjacielskich. Tobie, stary przyjacielu, powierzam dowództwo nad wojskiem polskiem, ty je przez Ren poprowadzisz, oddaję wam na leże zimowe Sedan z okolicą. Kołaczkowski dodaje, że tej mowie cesarza był przytomny.

Następnie autor opisuje przegląd pod St.-Denis, na którym Wincenty hr. Krasiński przedstawiał cesarzowi Aleksandrowi wojska polskie. Cesarz z ujmującą łaskawością przemówił do wojska w pochlebnych wyrazach, powtórzył obietnice dane, wysłanej do niego deputacyi generałów, rozmawiał z generałami i oficerami sztabowymi, nareszcie wszystkich najuprzejmiej pożegnał, dodawszy: do zobaczenia w Warszawie.

Powracając do kraju, wojska polskie w czasie marszu przez Niemcy wzbudzały wszędzie nienawiść mieszkańców i pomimo karności oraz umiarkowania zarówno oficerów, jak i żołnierzy, w wielu miejscach przychodziło do starcia. Dowódcy polscy potrafili wszędzie zapobiedz wybuchowi przeciwnych sobie namiętności przez łagodne mowy i spokojną swoją postawę. W Kottbus, miasteczku saskiem, nie tak szczęśliwie im się powiodło. W dniu przybycia wojsk polskich nakazana była uroczystość z powodu zwycięstw sprzymierzonych. Mieszkańcy i landwery pruskie, widokiem naszym tknięci, napojami rozognieni, zaczęli szukać okazyi z żołnierzami naszymi. Nadarzyła się im sposobność przy odbieraniu żywności i furażu przez naszych. Od słów przyszło do gróźb, od gróźb do razów. Nareszcie zaczęli się zbierać w tłumy zbrojne i napadać na pojedyńczych żołnierzy, rozkwaterowanych po mieście. Widząc słabe naszych siły, zuchwałość coraz dalej zaczęli posuwać, w końcu w masie kilkuset ludzi rzucili się na kwatery generała Krasińskiego. Generał wyszedł naprzeciwko nich ze spokojnem czołem i zaczął w wyrazach najprzyzwoitszych pytać o ich żądania. Lecz przygłuszony krzykiem rozbestwionej zgrai musiał się cofnąć do swego pokoju. Lecz i tu za nim wpadli, zabiwszy szyldwacha od woltyżerów, rozbili drzwi do pokoju, jeden z nich nareszcie ciął generała pałaszem w głowę.

W tej chwili oficerowie i władze miejskie przybiegły i generała wyratowały z rąk wściekłego ludu. Lecz wiadomość o tem, co się dzieje w mieście, doszła do oddziałów polskich, rozkwaterowanych po wsiach okolicznych. Zatrąbiono na alarm, jazda wsiadła na koń, piechota rzuciła się do broni, i całe wojsko z armatami nabitemi staje u bram miasta, gotowe do ich wyłamania i wycięcia w pień żołnierzy pruskich. Na ten widok wystraszeni mieszkańcy rzucają się do nóg generałowi Krasińskiemu i żebrzą przebaczenia; opatrzywszy ranę swoją, wyszedł generał naprzeciwko kolumn polskich i, opowiedziawszy cały wypadek, wystawił wszystkim położenie nasze, niepodobieństwo pomszczenia krzywdy z orężem w ręku i skutki, jakie ze starcia z wojskiem pruskiem wyni-

knąćby dla nas mogły. Złagodziwszy umysły naszych, obrócił się do dowódców pruskich, kazał im zebrać żołnierzy i wyjść za miasto. Uczynili to w milczeniu i noc przepędzili na polu. Kolumny nasze obsadziły natomiast Kottbus. Nazajutrz generał Krasiński opuścił z wojskiem niegościnne miasto. Raport o tym haniebnym napadzie przesłany został cesarzowi Aleksandrowi, który się drogą dyplomatyczną upomniał za naszą krzywdę u sprzymierzeńca.

Na tem kończę sprawozdanie z dwu pamiętniczych ksiąg Kołaczkowskiego, wyrażając nadzieję, iż pozostałe, obejmujące dobę od 1830—31 roku, zawrą materyał jeszcze cenniejszy dla historyka wojskowości polskiej. Co się tyczy pierwszych dwu ksiąg pamiętniczych, to stoją one niewątpliwie niżej od wspomnień Chłapowskiego i Szymanowskiego, a pod względem społeczno-politycznym żadnej nie mają wartości. Opisując np. pospolite ruszenie w r. 1813, Kołaczkowski nadmienia, że powoływano chłopstwo i że około 8,000 pospolitaków na koniach się zebrało. Widocznem jest, że Kołaczkowski uniwersału, zwołującego pospolite ruszenie, nie czytał, a jednakże był drukowanym, i z niego można się dowiedzieć, że bynajmniej chłopstwa nie powoływano do broni, owszem, znalazłoby ono dosyć trudności, chcąc stanąć w szeregach pospolitego ruszenia. Nie mówiąc już o tem, że uniwersał wzywa szlachtę do broni, ale urządzenie pospolitego ruszenia w § 1 przepisuje: Każdy szlachcic osiadły z tego powiatu, w którym do księgi obywatelskiej jest zapisany, ma wsiadać na koń lub swoją osobą, lub też przez zastępcę, a § 2 brzmi: każdy mieszkaniec, posiadający dobra ziemskie, chociażby nie był szlachcicem, każdy dzierżawca Dóbr Ziemskich i Narodowych jakiegokolwiek rodzaju i prawa, podpada pod ustawę, poprzednim artykułem objętą. Przedewszystkiem wyczerpanie, jakiemu uległo Księstwo Warszawskie, nie pozwalało nawet drobnej szlachcie wyekwipować się należycie na wyprawę, a cóż dopiero mówić o włościanach zbiedzonych i bynajmniej katastrofą r. 1812 nie zachęconych do chwytania za oręż. Cyfra też 8,000 koni wydaje się zupełnie przesadzoną i pamiętnikarze inni, a zwłaszcza Kajetan Koźmian, redukuje ją znacznie.

Pod względem wojskowym pamiętniki Kołaczkowskiego zawierają wiele szczegółów interesujących, a nawet niejedno cenne spostrzeżenie. I w tym kierunku nie dorównywają one wspomnieniom Chłapowskiego, ale przynajmniej do uzupełnienia historyi naszej wojskowości i wykończenia portretów wybitnych naszych wojowników rzetelnie przydać się mogą. W opisach spraw wojennych Kołaczkowskiego widnieje ton rzeczywistości realnej, pragną-

cy oddać rzeczy i czyny w świetle prawdziwem, bez żadnego sztucznego optymizmu. Generał Kołaczkowski wypowiedział też niejedną przykrą rzecz wojownikom polskim i wojsku polskiemu wogólności, mimo to, że przejęty był gorącą miłością kraju i drogą mu była sława wojsk polskich, z któremi dzielił najniebezpieczniejsze chwile. Tego kierowania się prawdą i słusznością nikt autorowi za złe nie weźmie, ale jego krytycyzm, za mało niekiedy wymotywowany, będzie w historyku budził wątpliwości ze względu, iż Kołaczkowski patrzał na ówczesne kampanie oczami młodziutkiego oficera, i to piętno młodości pozostało niestartem w jego pamiętnikach. Zresztą dla literatury naszej pamiętnikarsko-wojennej z napoleońskiej doby pozostaną one cennym i miłym przyczynkiem.

A. Rembowski.



MAJ

KSIĘGA MIŁOŚCI

Poemat odznaczony na konkursie „Prawdy".

Nothing in the world is single;
All things by, a law divine
In one anothers being mingle —
Why not I with thine?

P. B. Shelley. Love's Philosophy.

Or poserai per sempre,
Stanco mio cor. Peri l'inganno estremo
Ch'eterno io mi credei. Peri. Ben sento,
In noi di cari inganni
Non che la speme, il desiderio e spento.
Posa per sempre.

Giacomo Leopardi. A se stesso.

* * *

Oto, jedyna, masz w tej księdze
Zamkniętą istność moją całą,
Najskrytszą serca tego przędzę,
Które tak ciebie ukochało.

Chwilę przeszłości, jeszcze świeżą,
Niech w twojej myśli uprzytomnię
Temi pieśniami, co należą
Raczej do ciebie, niźli do mnie.

Wytrysły — jam je tylko spisał —
Z najczystszych uczuć moich zdroja,
A twój to czar je wykołysał...
Tak szczere są jak miłość moja.

To szczęściem one, to żałobą
Dziewiczą twoją skroń oprzędą
I płakać będą razem z tobą
I razem z tobą śmiać się będą.

I.

Słyszę już szelest twoich szat...
Złych przeczuć pierzcha zgraja...
Znika duszący życia czad,
W pierwszym dniu Maja.

Dusza rozkwita mi, jak sad...
Do śpiewu pierś nastraja,
Jak za młodzieńczych moich lat,
W pierwszym dniu Maja.

Serce nie baczy, że się jad
Na wspomnień dnie przyczaja,
I nie pamięta dawnych strat,
W pierwszym dniu Maja.

Ach! jakże wonnym jest dziś kwiat!
Jak całus twój upaja!
Ach! jakże pięknym jest ten świat,
W pierwszym dniu Maja!

II.

Na smutnem czole rękę kładę,
Chcąc spędzić chmurę, co je mroczy...
Całuję usta zimne, blade
I zapłakane modre oczy....

I chciałbym sięgnąć w głąb jej duszy
I wyrwać troskę tam zapadłą,

Co blade lica łzami prószy
I chmurzy jasne ócz zwierciadło.

Toż mi ptaszyna moja powie,
Co mąci spokój jej gołębi:
Dobywam słowo tak po słowie —
Te perły bólu z serca głębi.

I słyszę, tuląc ją z pieszczotą
I do ust cisnąc ręce obie:
„Ach już nie pytaj lepiej o to
I nie truj szczęścia mnie i sobie!"

III.

Chmurno... za oknem deszcz mży
I zcicha po szybach prószy...
Do oczu cisną się łzy...
Cóś łka mi i płacze w duszy.

I patrzę bezmyślnie w krąg
I pustkę widzę okrutną —
I jak tu nie łamać rąk
I jak tu nie mówić: Smutno!

A może tobie gdzieś tam
Rozkoszą faluje łono —
Ja tu się męczę i łkam,
A twoje źrenice płoną?!

Ach nie! Jedyną to mi
I ulgą jest i pociechą,
Że w duszy twej cierniem tkwi
Mojego cierpienia echo.

IV.

Choć świat zatonął w mgle, jak w grobie,
Choć się ukryło słońce w chmurze,
Jam wiosnę w duszy czuł przy tobie—
Bo mi zakwitły ust twych róże.

W mgle skryte niebios modre tonie
Widziałem w źrenic twych lazurze
I tak mi jasno było w łonie —
Bo mi zakwitły ust twych róże.

Już uleciały niepokoje...
Już pierzchły troski, zcichły burze...
Znów śni o szczęściu serce moje —
Bo mi zakwitły ust twych róże.

I przyszłość do mnie się uśmiecha,
Skąpana w złocie i w purpurze...
Czarowne w duszy dzwonią echa —
Bo mi zakwitły ust twych róże.

V.

O naszem szczęściu niech ptaszę śpiewa...
O naszem szczęściu niech szumią drzewa...
O naszem szczęściu, w leśnej ustroni,
Niech strumyk cichą piosenkę dzwoni...

W różane ranki, w srebrne wieczory,
Na jasne pola, na ciemne bory,
Niech o niem słodkie roznosi wieści
Wietrzyk, co z każdym kwiatem się pieści...

Szum drzew, głos wiatru, śpiewy ptaszęce
Niech się w poety ozwą piosence
Szeptem pieszczoty, nutą namiętną,
Jak szmer całusów i jak krwi tętno...

O naszem szczęściu niech dzwoni echo...
W rozpaczy wiarą, w smutku pociechą,
Nadzieją w bólu, wytchnieniem w trudzie —
— Ale o niech o niém nie mówią ludzie!

VI.

Pragnący mojej zguby,
Znów los mi wchodzi w drogę

I słyszę głos jej luby —
I widzieć jej nie mogę.

Tylko mi obojętnie
Pytać się wolno o nią,
Choć żar wre w każdem tętnie...
Choć lica krwią się płonią.

Słodycz jej ust od wczora
Na ustach czuję jeszcze —
Nadchodzi pieszczot pora...
Lecz dziś jej nie popieszczę.

Krew mnie opływa falą
I jestem szału blizki,
Tak mnie wczorajsze palą
Całusy i uściski.

VII.

Rozkaprysiło się dziewczę moje,
Tak jak pogoda na wiosnę —
To się jej słówek słodyczą poję...
To treny szepcę żałosne.

Ot bez powodu... Tak od niechcenia
Wonny, czarowny kwiat róży
W kolący oset nagle się zmienia,
Na krócej, to znów na dłużej.

Dziś jej oczęta nic mi nie wróżą...
Wróżba jest zresztą ułudną —
Czy jutro ostem będzie, czy różą —
Doprawdy, pewnym być trudno.

Lecz ja ją kocham jeszcze tem wierniej —
Tembardziej jest mi dziś miła...
Bo gdyby róża nie miała cierni...
Ach — toby różą nie była!

VIII.

Wyzwałaś mię do boju...
Wyzwanie przyjąć muszę,

Lecz, łaknąc już pokoju,
W twych oczach broń swą kruszę.

Wiesz przecie, że bez strzału
Tobiem się poddać gotów;
Dziś nie mam arsenału,
Ani zatrutych grotów.

Na zawsze go zamknąłem
I klucz rzuciłem w morze,
Z otwartem idę czołem
I wcale się nie trwożę.

Wszak tu obawa pusta,
Bo wiem, że w twej szermierce,
Choć występują usta —
Udziału niema serce.

IX.

Ach to szczęścia sen... Sen szczęścia złoty:
Główkę wsparłaś na mojem ramieniu —
A ja, dźwięków najsłodszej pieszczoty
Szukam szeptem w twem drogiem imieniu.

Gwar uliczny za oknami gaśnie
— Zda się ptaków świergot w leśnej głuszy —
A ja, w lic twych zapatrzony jaśnię,
Czuję każde drgnienie twojej duszy.

I zmrok skrzydła nad nami rozpina,
Kojąc duchy, znękane w rozterce —
Ach! pamiętaj, że odtąd, jedyna,
Mamy jeden mózg i jedno serce...

I już nam się jednakowo zsączy
Złe i dobre w życia zawierusze —
Pocałunek, co nam usta łączy,
Złączył w jedną rozkochane dusze.

X.

Przez cały dzień, nad księgą pochylony,
Twój wzrok na każdej spotykałem karcie...

Twych słów mi grały w duszy lube tony,
Myśl odrywając od pracy uparcie.

Tak mnie osnuły mary wkrąg urocze,
Że, gdym w południe odpoczywał skwarne,
Zdało się, że cię ramieniem otoczę
I ciemny tobie z czoła włos odgarnę.

Widziałem zda się żyłek sieć niebieską
I śród nich plamkę różową na skroni
I oczu błękit przesłonięty łezką,
Jak się od żaru moich spojrzeń broni.

A gdy w odwieczerz dziwnie cichy, smętny
Ostatnie słońca blaski skonać miały —
Tętnił mi w sercu rytm szybki, namiętny
Rozfalowanej twojej piersi białej.

XI.

Gdy ukochana ręka
Zakrwawi serce moje,
Choć pierś mi z bólu pęka —
Ja zawsze ból ukoję.

Kiedy krwią serce broczy,
A rozżalenie rośnie —
Zda się, że widzę oczy,
Patrzące tak żałośnie.

A gdy tak patrzą w skrusze,
Uchodzi ból powoli,
Spokój wypełnia duszę
I serce już nie boli.

Tak w smutku i w cierpieniu
Zawsze mi wiara błyśnie,
Jak promyk światła w cieniu:
— To było... nieumyślnie!

XII.

Pod twoje okna, w wieczorny zmrok,
Zawiodła mnie tęsknota...

Bezmyślnie w szyby zatapiam wzrok...
Głuchy ból sercem miota.

Z po za firanek, drogi mi cień
Goryczą poi duszę..
Do niego-m tęsknił przez cały dzień —
A teraz odejść muszę!

Zatrute ostrza zwątpienia kłów
Krwawią mi pierś na nowo...
I z pustką w duszy poczynam znów
Włóczęgę bezcelową.

Wiem, że i tobie nie klei sen
Strudzonych płaczem powiek
. . . .
Jakże jest pięknym cały świat ten!
Jakże jest szczęsnym człowiek!

XIII.

Pamiętasz wieczór ten posępny, szary
— Choć płonął cudną wiosenną pogodą —
Znów niepokoju osnuły mnie mary,
Na pierś duszącą zwaliły się kłodą...
Ni urok wiosny, ni twej krasy czary
Już mi nie były jak dawniej osłodą
I coraz większy czułem ból i trwogę,
Jedno z twych ustek słysząc wciąż: „*Nie mogę!*"

I choć milczałaś — ale moja męka
Bladością twoje zamroczyła lica...
I w mojej dłoni drżała twoja ręka...
I łzą serdeczną zaszła ci źrenica —
A gdyś patrzała, jak mi serce pęka,
Poczułaś wtedy, że ta tajemnica,
Choć sercom rany zadaje najkrwawsze,
Zamiast rozdzielić, złączy nas na zawsze.

XIV.

Widziałem ciebie — ach nie widzieć raczej,
Skonać bez lic twych słońca —
Niż tak bezsilnie miotać się w rozpaczy
I męczyć się bez końca.

Widziałem ciebie — i mówiłem z tobą...
A więc mi niedość na tem?!
Byłaś wesołą! Któż widział żałobą
Przed całym świecić światem?

Widziałem ciebie, tak smutną, jak świty
Zorzy, spowite w chmurze...
I oczu twoich przygasłe błękity
I ust pobladłe róże.

Widziałem ciebie — głos twój brzmiał, jak dzwony
Na naszych snów pogrzebie —
Jak patrzy w niebo ptak w locie raniony —
Tak ja patrzałem w ciebie!

XV.

Jak skryty śród zieleni pąk,
Z brzaskiem wiosennych dni zarania,
Z pod czarodziejskich zda się rąk,
Czarowny z siebie kwiat wyłania —

Tak od miłości mojej tchnień,
Purpurą blade barwiąc lica,
Wykwitła, skryta w rzęs twych cień,
Twej duszy słodka tajemnica.

Jedyna! Nie żal naszych łez,
Ni tego, cośmy przecierpieli —
Jeśli nadchodzi smutków kres...
Jeśli już nic nas nie rozdzieli.

Wymarzonego szczęścia świat
Możemy stworzyć tylko sami —

Lecz wprzód miłości naszej kwiat
Musimy zlać gorzkiemi łzami...

XVI.

Z myślą o tobie, w noc jasną,
Goniłem wzrokiem po niebie...
Patrzałem, jak gwiazdy gasną
I patrząc, drżałem o ciebie.

A gdy tak gasły powoli
Jedna za drugą w błękicie —
O naszej myślałem doli,
Złączonej na całe życie.

Zalane białej mgły smugą,
Coraz mdlej świecąc — z kolei
Gasły tak jedna za drugą...
Gasły bez żadnej nadziei.

W mdlejące wpatrzony blaski,
Wierzyłem jednak niekłamnie,
Że nad gwiazdami tam — łaski
Dość jest dla ciebie i dla mnie.

XVII.

Już drugi dzień... już drugi dzień
Brak mi twojego oddechu,
Sercu brak serca twojego drgnień...
A oczom — twego uśmiechu.

Schyl ku mnie skroń! Schyl ku mnie skroń!
Niech cię ramieniem oplotę...
Niech w upojenia bezdenną toń
Pogrążę moją tęsknotę!

Nigdy mi dość... nigdy mi dość
Twych ustek płonących żaru:
Dziś chwila szczęścia — to rzadki gość!
Z pełnego pijmy puharu!

A kiedy w śnie... a kiedy w śnie
Spoczniemy, pieszczot niesyci —
Niech pamięć o nich ciebie i mnie
W palący uścisk pochwyci!

XVIII.

Słuchaj, dziewczę jedyne!
Ukojeniem i ciszą,
Niech cię w szarą godzinę,
Moje pieśni kołyszą:

Płynie zwrotka za zwrotką
I wzruszony głos tłumię,
Gdy uśmiechasz się, słodko
Zasłuchana w zadumie.

Księżyc błysnął na niebie...
Pieśń urywa się wrząca:
Patrzę — oto blask z ciebie
Biorą blaski miesiąca...

Bije łuna z ócz zdroja,
Aż przesłaniam wzrok ręką —
Ach! jedyna, ty moja
Najpiękniejsza piosenko!

XIX.

Noc... błękit srebrem roziskrzony...
Dokoła wód przezrocza,
Chylą się ciemne drzew korony,
Jak górskie strome zbocza.

Nic wokół ciszy nie zamąca
I we śnie fale toną —
Niekiedy tylko blask miesiąca
Przebudzi toń uśpioną.

Noc... porzuciwszy gwiazd przestworza,
Przy tobie anioł biały

Czuwa, by przykre sny od łoża
Snów lubych nie odwiały.

Nic twoich marzeń nie zamąca
I tylko lica płoną —
Gdy fala krwi, wspomnieniem wrząca,
Twe rozkołysze łono.

XX.

Już na zachodzie, w blasków powodzi
Gasnący kona dzień —
Skroń rozpaloną wietrzyk mi chłodzi,
Wonny od kwiecia tchnień.

Na Anioł Pański, z kościelnej wieży,
Wieczorny bije dzwon —
Zda się w powietrzu westchnienie bieży
Trawionych bólem łon.

Czarowna chwilo! Lśni na zachodzie
Blask całą krasą zórz —
I woń najsłodszą powietrzne łodzie
Z konwalii niosą, z róż.

Ostatnim jeszcze blaskiem dzień pała...
Oto już legł bez sił...
. . . .
Wiem, żeś w tej chwili o mnie myślała,
Jak ja o tobie-m śnił.

XXI.

Dzień uchodzi za dniem...
Coraz bardziej się zbliża rozłąka...
Przeszłość zdaje się snem —
A myśl w zwątpień otchłani się błąka.

Już słowiczy mi śpiew
Tak, jak dawniej, nie dzwoni miłośnie —
Zapadł w serce zły siew...
Ból się codzień rozplenia i rośnie.

Troska pełza, jak gad...
Zewsząd smutna podzwania mi nuta,
Zewsząd sączy się jad...
Każda rozkosz... pieśń każda — zatruta!

Już serdecznym mnie tchem,
Nie upoi mojego blask słonka,
. . . .
Dzień uchodzi za dniem —
Coraz bardziej się zbliża rozłąka.

XXII.

A więc mnie pytasz znów,
Źrenice chyląc modro-złote,
Z jakich ci dzisiaj słów
Miłości naszej piosnkę splotę?

Jedyna, kiedy wiem,
Że nie ćmi szczęścia zwątpień plama —
Z róż wonią, z wiatru tchem
Piosnka przychodzi do mnie sama.

Oto się snuje już!
Patrz! długo czekać nie potrzeba,
Gdy z głębi naszych dusz
Jasny wyziera błękit nieba.

W uścisku-m spoczął twym
I już gotowa piosnka cała:
Usta się splotły w rym...
Pierś rytmem się rozkołysała.

XXIII.

Ach nie! nie myślmy o rozłące!
Toż nie ominie nas!
Łzą twego śmiechu nie zamącę —
— Śmiejmy się, póki czas!
Oto nas wiosna w pełni kras
W uściski wabi wrzące!

Rozłąka nie ominie nas —
— Nie myślmy o rozłące!

Wraz z tobą wzrokiem mknę po łące...
W przydrożny patrzę las...
Lecz, choćbym oczu miał tysiące,
Na piersiach czuję głaz!
A może to ostatni raz
Twe ręce tulę drżące?

. . . .

Rozłąka nie ominie nas —
— Nie myślmy o rozłące!

XXIV.

W chmur i mgieł szarem spowiciu
Dzień schodzi — i pierzcha sen:
Ach! nigdy nie miałem w życiu
Dnia tak smutnego, jak ten...

Zda się, że serce zastygło,
Do ciebie nie rwie się już...
A tyś mu jest niedościgłą,
Śród jakichś odległych mórz.

I widzę w brzaskach świtania
Ziejący pustkowiem grób... —
Twa postać nad nim się słania...
I chylę skroń do twych stóp.

Ach! niechaj w konania chwili
Nie widzę... nie czuję nic,
Lecz niech się nademną chyli
Promienna jasność twych lic.

XXV.

Jak dawniej, kwitnie bez
I strumyk szemrze senny,
Jak dawniej, słońce kres
Zna swej pielgrzymki dziennej...

Jak dawniej śpieszy tłum
Po tejże samej drodze,
Gdy z duszą pełną dum
Pod twoje okna chodzę...

I gwiazdy gasi dzień,
O świcie jaknajsprawniej,
I przedwieczorny cień
Znów budzi je, jak dawniej...

Zbolałą cisnę skroń
I żyć jak dawniej muszę —
Tylko mi smutku toń,
Jak noc zalewa duszę!

XXVI.

Kiedy noc skrzydła roztoczy nademną,
A z piersi spadnie trosk życiowych ołów...
Kiedy, w marzenia godzinę tajemną,
Wzwyż ulatuję myślą do aniołów—

Gwiazd girlandami wtedy mnie osnuwa
Wspomnienie lubych chwil, przeżytych z tobą,
I, jako skąpiec nad skarbami, czuwa
Duch mój, trawiony smutkiem i żałobą.

I, jak źrenice jego chciwe nęci,
Klejnot wszech blasków płonący przepychem,
Tak każde drgnienie fal mojej pamięci,
W mojem się sercu odzwierciadla cichem.

I — nim na niebios lazurowe ściegi
Z morza wypłynie słońca rydwan złoty —
Już moje serce wypełnią po brzegi
Miłości naszej najdroższe klejnoty.

XXVII.

Zaledwie dzisiaj rano
Po nocnej wstałem męce,

Z uśmiechem list mi dano...
Tak! list jej trzymam w ręce!

„To od niej?" — siebie pytam —
I myśl pytaniem pieszczę,
I jednym tchem go czytam...
I jeszcze raz... raz jeszcze!

Tak! to kształt jej literek —
Toż oko mnie nie mami....
Znów czytam wierszy szereg
I... pomiędzy wierszami.

I padła skra zarzewiem
Z jej słówek słodkiej przędzy:
„Kiedy napiszę — nie wiem...
Może odpiszę prędzej!"

XXVIII.

Pamiętasz? Miałem pójść do wróżki,
Przyszłości chcąc uchylić rąbek.
Pamiętasz? Właśnie u staruszki
Dziś byłem, siwej jak gołąbek.

I z kart wróżyła mi i z ręki
I to i owo mi mówiła:
Żem niegdyś lubić miał panienki...
Że dziś mi jedna tylko miła...

I że ta jedna moją będzie,
Jeśli ją tylko kocham szczerze,
— Dwu zdań nie może być w tym względzie —
Więc, że się spełni wróżba — wierzę!

Zdradziła przytem wróżka płocha
Twą tajemnicę i twe plany...
Cóż w tem dziwnego! Kto tak kocha
Jak ja — ten musi być kochany!

XXIX.

By czaru twego nie zwiały,
Ni skwary słońca, ni burze —

Wykuwam posąg twój biały,
W pamięci mojej marmurze.

I twórcze w piersi mej noszę,
Strzegąc przed tłumem zazdrośnie —
Bóle i sny i rozkosze —
— A posąg pod ręką rośnie!

I widzę drogie twe lice...
Zda się, że nic już nie trzeba,
Tylko mam jeszcze w źrenice
Tchnąć błękit włoskiego nieba...

A gdy nań patrzę najtkliwiej,
Ta myśl do głębi mnie wzrusza,
Że go mój uścisk ożywi —
Że w głazie zbudzi się dusza.

XXX.

Gdy wzbiera pierś tęsknotą,
Żałosna łka w niej nuta,
Gdy z łkań się piosnki splotą,
Każda z nich łzą zasnuta...
Tych łez goryczy słonko,
Jak rosę, nie wypije —
Będziem się truć rozłąką,
Dopóki serce bije.

Ach! na toż nam się było
W upojeń nurzać niebie,
By dziś, jak pod mogiłą,
Próżno się rwać do siebie —
Będziem się truć rozłąką,
Dopóki serce bije —
— Nim wzejdzie dla nas słonko,
Rosa nam oczy wyje!

XXXI.

Odkąd ciebie niema tu,
Piosnka skarży się nieboże,

Że wieczorem już do snu
Ukołysać cię nie może.

Mknąć do ciebie chce, jak ptak...
Lecz w noc chmurną i w dzień biały
Przez powietrzny błądzi szlak,
Bo go moje łzy zawiały.

Tak mi biednej piosnki żal,
Lecz nie umiem radzić na to —
Biegłbym sam do ciebie w dal,
Gdyż tu żyję, jak za kratą.

Że cię kocham, skarbie mój,
Że mi z bólu serce pęka —
Wciążbym o tem piosnek rój
Do twojego słał okienka.

* * *

Pieśń, jako życie jest człowieka:
I doli i niedoli dzieje —
To gorzką bólu łzą ocieka,
To blaskiem szczęścia promienieje.

Oto poczęły serca wrzące,
W szczęściu poemat snuć miłości —
A dziś je trawi ból w rozłące
I dusza zbiegłym dniom zazdrości.

Lecz, jako w dzień pochmurny, szary
Skrawek błękitu się uśmiecha —
Dzwonią nam pieszczot naszych gwary
I pocałunków słodkie echa.

Znów się twe usta ku mnie schylą,
Podsłucham serca twego bicie —
Ach! taką jedną szczęścia chwilą
Można wyzłocić całe życie!

Władysław Nawrocki.



PSYCHOLOGIA i DUSZOZNAWSTWO.

Od czasu, kiedy twórczość poetycka, zwłaszcza w zakresie powieściopisarstwa, zwróciła się w kierunku podmiotowym, kiedy stany psychiczne występujących w powieści osób zaczęły w większym niż poprzednio stopniu przykuwać uwagę autorów i czytelników, kiedy tak zwana fabuła powieściowa zaczęła ustępować coraz więcej miejsca obrazom świata duchowego, rzeczownik „psychologia" i przymiotnik „psychologiczny" pozyskały prawo obywatelstwa w estetyce. Mam tu właściwie na myśli nie tyle estetykę, jako sformułowaną i skrystalizowaną naukę o podmiotowych i przedmiotowych prawach piękna, co ową przygodną estetykę, stanowiącą pewien surogat opracowanych naukowo teoryi estetycznych, a służącą za niemniej przygodne punkty wyjścia nie tylko do rozmów, prowadzonych na rautach, ale bardzo często i do pisania krytyk estetycznych. Więc przedewszystkiem całej wielkiej i coraz większej kategoryi utworów powieściowych nadano nazwę powieści „psychologicznej"; za czynnik główny czy też za główny moment tej powieści „psychologicznej" uznano „analizę psychologiczną"; chcąc wyrazić nasze uznanie dla powieściopisarza, powiadamy dziś, że wniknął on w „psychologię" swoich bohaterów i że nas do tej

„psychologii” wprowadza; wreszcie — i to już nietylko w zastosowaniu do powieści i dramatu, ale również w zastosowaniu do mnóstwa różnych spraw życia codziennego—człowieka, o którym mniemamy, że jest dobrym znawcą duchalu dzkiego, nazywamy dobrym „psychologiem”.

Ostatecznie od terminologii zależy niewiele, jakkolwiek znacznie więcej niż się zwykło przypuszczać. Wypowiadając więc kilka poniższych uwag, mam na celu nie wyrugowanie z mowy i z pisma pewnych, niewłaściwych zresztą terminów, lecz raczej krytykę pewnych nieporozumień, które z ich używania wynikają.

Otóż naprzód mała uwaga gramatyczna. Psychologia jest nauką, tak samo jak np. chemia; jak więc nie mówimy, że znamy „chemię” np. mydła, lecz że znamy jego skład chemiczny lub własności chemiczne, tak nie powinnibyśmy mówić o znajomości psychologii danego człowieka, lecz o znajomości jego właściwości psychicznych i stanów psychicznych, jego charakteru, usposobień, skłonności i t p.

Jak poniżej będę się starał wykazać, odróżnianie takie jest w zakresie zjawisk psychicznych potrzebniejszem niż w zakresie zjawisk chemicznych, bo mamy tu często do czynienia ze zjawiskami takiemi, które, jakkolwiek psychiczne, przedmiotami psychologii, jako nauki, nie są, a często nawet być nie mogą.

Psychologia jest nauką, i to nauką realną, t. j. za przedmiot mającą nie jakiekolwiek pozbawione treści formy myślenia i ujmowania, jak np. logika formalna i matematyka, ale następstwa i związek przyczynowy rzeczywistych zjawisk; ma ona, podobnie jak fizyka, biologia, językoznawstwo, historya, ekonomia polityczna, do czynienia nie z formami, lecz z treściami; chce poznać prawa, rządzące pewną częścią danej nam i otaczającej nas rzeczywistości. Otóż wszelka nauka realna, nie wyłączając najelementarniejszej — mechaniki, ma ku poznaniu systematycznemu i istotnie naukowemu rzeczywistości jedną tylko drogę: musi daną rzeczywistość przekształcić tak, aby mogła ona stać się częścią składową systemu. Ale sprobujmy zastanowić się pokrótce, co to znaczy uczynić pewną rzecz częścią systemu? Weźmy wypadek, jeden z najprostszych i najpospolitszych, spadanie ciała. Czem jest takie spadanie ciała w rzeczywistości? Długim, bardzo długim i bardzo zawikłanym szeregiem zjawisk skomplikowanych i nawet różnorodnych. Linia, wykreślona przez spadające ciało, jest w każdym danym wypadku krzywą, na którą nie mamy wzoru w geometryi, która nie pasuje do żadnego ze znanych nam w tej nauce typów. Na wyznaczenie drogi spadającego ciała wpływa tysiące i dziesiątki tysięcy warun-

ków, za każdym razem odmiennych: kierunek wiatru, mniejsza albo większa gęstość powietrza, bliższe lub dalsze sąsiedztwo innych ciał, które, tak samo jak ziemia, „przyciągają”, wszystko to sprawia, że każdy dany spadek odbywa się po jakiejś krzywej, która jest mało podobną do każdej innej krzywej spadku. A jednak, jak powszechnie wiadomo, mechanika te krzywe spadku oblicza i wykreśla ze ścisłością, nie pozostawiającą nic do życzenia. Jakże się to dzieje? Na jakiej drodze możliwem jest ogólne, odpowiednie dla wszystkich wypadków wykrycie praw i wyznaczenie drogi spadku ciał, skoro faktycznie każde ciało spada w każdym danym wypadku inaczej i po innej drodze? Prosta logika wskazuje, że takie uogólnienie wielości niepodobnych do siebie wypadków możliwem jest tylko na drodze pewnego przekształcenia różnorodnej rzeczywistości, tylko na drodze sztucznego wyodrębnienia pewnej niewielkiej ilości cech, wspólnych wszystkim poszczególnym wypadkom. Następuje więc tu jakieś sztuczne, a nawet gwałtowne rozłamanie rzeczywistości. Tworzymy fikcyę, jakoby spadające ciało było „przyciąganem” przez ziemię i przez każde inne ciało ze wszystkich, jakie się we wszechświecie znajdują. Tworzymy drugą fikcyę tak zwanego „wolnego spadku”, t. j. takiego, który nie ulega żadnym wpływom ubocznym oprócz wpływu przyciągania, którego ani przyśpieszenie ani kierunek nie są wyznaczone przez siłę ani przez kierunek impulsu pierwotnego; fikcyę ciała, które spada jedynie dlatego, że zostało pozbawionem podpory, w sposób taki, że siła, która je tej podpory pozbawiła, nie nadała mu żadnego kierunku i żadnego przyśpieszenia. Spadku takiego w rzeczywistości nikt nigdy nie widział, bo go nigdy i nigdzie nie było. A jednak taki właśnie niebywały, przez nikogo i nigdzie niewidziany „wolny” spadek ciała uważamy za typ i wzór wszelkiego spadku, podług niego wyznaczamy z mniejszem lub większem przybliżeniem drogę wszystkich spadków rzeczywistych, co zaś ważniejsza, wszystkie spadki, nie stosujące się ściśle do praw spadku „wolnego”, uważamy za uchylenia od tego typu, za jakieś, że tak powiem, wyjątki od reguły. Otóż szczególną cechę tych wyjątków stanowi to, że w rzeczywistości istnieją tylko one, że tym sposobem cała rzeczywistość składa się z samych tylko wyjątków, że wypadków, odpowiadających regule ogólnej, niema wcale. Zróbmy krok dalej i powiedzmy, że mechanika nie jest wcale nauką o rzeczywistych ruchach rzeczywistych ciał, lecz nauką o nienapotykanych nigdy, nigdzie i przez nikogo „typach” ruchów, o pewnych schematach, którym odpowiadających w rzeczywistości niema, ale które wszystkie ruchy rzeczywiste objaśniają

i tłómaczą, to znaczy, że pozwalają je pojmować, jako części składowe pewnego spójnego i odpowiedniego wymaganiom naszego rozumu systemu.

Uczynić więc pewne zjawisko, pewną część danej nam rzeczywistości, częścią systemu — to znaczy przekształcić je, wtłoczyć w pewien schemat, zmienić je tak, aby w niem pozostało to tylko, co jest z pewnych względów — w danym razie ze względów teoretycznych, charakterystycznem i typowem. Takie zaś włączenie zjawiska w jakiś system jest niezbędnym warunkiem uczynienia go przedmiotem nauki. Nauka nie jest równoznaczna z poznaniem wogóle; nauka jest pewnym szczególnym rodzajem poznania, poznaniem metodycznem, systematycznem, a przedewszystkiem poznaniem nie faktów poszczególnych, lecz praw ogólnych. Mamy w niej ciągle do czynienia nie z samymi faktami, lecz z abstrakcyami od faktów.

Ale nie od wszystkich faktów abstrakcye są możliwe, a w każdym razie nie od wszystkich w jednakowym stopniu. I widocznem jest, że łatwość czynienia abstrakcyi od faktów jest w odwrotnym stosunku do stopnia ich skomplikowania. Stosunkowo mało skomplikowane fakty mechaniczne — ruchy ciał — dopuszczają z łatwością abstrakcye obszerne i daleko idące. To, co się z nich dla uczynienia takiej abstrakcyi wyłącza, jest jednorodnem z tem, co po jej uskutecznieniu pozostaje. I to, co wyłączamy, i to, co pozostawiamy, są to zawsze ruchy i elementy ruchów. W ten sposób jest stosunkowo łatwym powrót od abstrakcyi do rzeczywistości, a raczej do niższego stopnia abstrakcyi. Znając ogólne prawa „wolnego" spadku ciał i pragnąc wyznaczyć drogę i szybkość spadku danego ciała w danym wypadku, dodaję do owej najwyższej abstrakcyi, do owej chimery ciała, spadającego „wolno", tyle i takich szczegółów, ile w zastosowaniu do danych warunków i do danych wymagań ścisłości potrzeba. Rzeczywistości przez takie dodawanie nie otrzymam, ale otrzymam niższy i bliższy do niej stopień abstrakcyi; co zaś najważniejsza, to, że mogę zbliżać się do tej rzeczywistości dowolnie, w miarę warunków i potrzeby, bo ode mnie zależy uwzględniać tyle warunków poszczególnych, ile mi się podoba. Im więcej ich uwzględnię, tem zadanie staje się bardziej skomplikowanem, ale nie przestaje nigdy być rozwiązalnem; przy uwzględnieniu bardzo licznych szczegółów może się stać tak skomplikowanem, że na rozwiązanie jego nie starczy życia, ale to nie zmniejsza w niczem jego rozwiązalności teoretycznej. Dlatego też wszystko to, co możemy sprowadzić do ruchów ciał, jest w zasadzie możliwem do objaśnienia

naukowego. Jeżeli niem nie jest zawsze w praktyce, to tylko z powodu zbytniej długości rachunku albo nieznajomości tych szczegółów, które w danym razie do schematu ogólnego dodać należy, a o których jednak z góry możemy wiedzieć napewno, że są z częściami składowemi naszego schematu jednorodne, że za tem do niego dodawane być mogą.

Ale skoro tylko przekraczamy granice ruchów i równowagi ciał, t. j. granice tego, co jest właściwym przedmiotem mechaniki, zaraz położenie rzeczy się zmienia: zakres tego, co jest wiadomem lub dla wiedzy dostępnem, zacieśnia się, ciemny obszar niewiadomego nasuwa się coraz bliżej i obejmuje nas coraz ciaśniejszym kręgiem. Oprócz prostych ruchów ciał występują tu na jaw takie sprawy, które może w rzeczywistości są również różnemi postaciami ruchów ciał, ale które się w ten sposób naukowo nie tłómaczą, których nie możemy rachunkowo ani realnie do ruchów sprowadzić: występują jakieś „powinowactwa" chemiczne, jakieś „siły", które sprawiają, że jedne ciała krystalizują się tak, inne inaczej, jeszcze inne wcale się nie krystalizują; występują zjawiska tak zwanego „polimorfizmu", polegające na tem, że ciała o jednakowym składzie chemicznym mają zupełnie odmienne własności fizyczne; występują wreszcie zjawiska życia i wszystkich jego nieskończenie różnorodnych funkcyi. Być może, bardzo być może, że wszystko to są tylko różne postacie ruchu, ale przypuszczenie takie, bardzo prawdopodobne, logicznie bardzo poprawne i filozoficznie bardzo doniosłe, nie przynosi nam w praktyce naukowej żadnego pożytku. Wszystkich tych rzeczy nie rozumiemy, jako ruchów, nie możemy ich, jako takich, ilościowo ujmować, a zatem nie możemy ich do znanych nam ruchów dodawać, ani też od nich odejmować. To właśnie sprawia, że zjawiska, stanowiące przedmioty chemii, krystalografii lub biologii, są od zjawisk czysto mechanicznych *jakościowo* bardziej skomplikowane. Stopnie skomplikowania zjawisk mechanicznych różnią się pomiędzy sobą *ilościowo*. Gdzie przekraczamy granice mechaniki, tam oprócz ilościowej występuje na jaw i różnica *jakościowa*. Chodzi już nie tylko o to, że rachunek jest zbyt zawiłym, ale i o to, że, dopóki badanych zjawisk do ruchu nie sprowadzimy, dopóty będziemy mieli do czynienia ze zjawiskami różnorodnemi, z takiemi, które do jednego i tego samego rachunku zgoła wejść nie mogą.

A jednak i chemia, i mineralogia, i biologia mogą być, jeżeli nie pojmowane, to przynajmniej myślane, jako szczególne przypadki mechaniki. Znane nam prawa ruchu nie wystarczają do konstrukcyi

tych nauk, ale możliwym jest do pomyślenia taki stan nauki, w którym będziemy mogli wszystkie zjawiska składu i rozkładu ciał, krystalizowania się, życia rozumieć i formułować, jako szczególne przypadki ruchu. Jakkolwiekbądź, dopóki to nie nastąpi, wszystkie zjawiska nie czysto mechaniczne będą się nam przedstawiały, jako złożone z części różnorodnych. Od chemii do najwyższych szczebli biologii mamy tu całe stopniowanie komplikacyi, i rzecz prosta, że, im przedmiot jest bardziej skomplikowanym, tem trudniej poddaje się niezbędnej w nauce operacyi schematyzowania, rozkładania i przekształcania, tem mniejsza jego część jest dla tej operacyi dostępna, tem więcej pozostaje poza jej sferą, a więc i poza sferą nauki.

Jednak wszystko o czem dotychczas była mowa, należy do sfery zjawisk materyalnych, wszystko może być przynajmniej myślanem, jako pewna postać ruchu. Ale oto zbliżamy się do całkowicie innorodnej kategoryi zjawisk, w których gra rolę świadomość, do zjawisk psychicznych.

I tu wszystko, przybiera inną postać. Zjawiska psychiczne nie mogą być nawet w myśli sprowadzone do ruchu. Wprawdzie z ruchami, z tem, co zachodzi w naszym organizmie fizycznym, pozostają w ciągłym, o ile dotychczasowe doświadczenie poucza, i ścisłym związku. Ale właśnie ta ścisłość związku, ten, jak go w psychologii nazywamy, „paralelizm", nietylko nie ułatwia zadania, lecz je przeciwnie utrudnia. Mamy tu bowiem do czynienia nie z jednym tylko, ale z dwoma szeregami faktów, z dwoma szeregami, z których żaden drugiego w najmniejszym nawet stopniu nie tłómaczy, a które mimo to musimy ciągle utrzymywać w związku, w jakim nam je podaje doświadczenie. Gdybyśmy znali fakty psychiczne w jakiemś odosobnieniu od biologicznych, tobyśmy nie byli zmuszeni wynajdywać do każdego z pierwszych jakiegoś odpowiednika pomiędzy drugimi. Tak zaś, jak jest, musimy sprawy psychiczne wiązać przyczynowo, popierwsze, pomiędzy sobą, powtóre zaś—ze sprawami, zachodzącemi w organizmie.

W rezultacie tego każda, najdrobniejsza nawet sprawa psychiczna przedstawia się nam, jako coś niezmiernie, niesłychanie skomplikowanego i zawiłego. Jest ona następstwem, czyli skutkiem, wszystkich naszych poprzednich stanów psychicznych i jest oprócz tego funkcyą całkowitego stanu naszego organizmu. Aby ją naukowo wyjaśnić, trzebaby ją przedstawić na tle całego ustroju psychicznego i fizycznego danego osobnika w danym czasie. Ogromną rolę grają tu liczne, zawiłe, subtelne, niekiedy bijące w oczy, niekiedy ledwie dostrzegalne różnice indywidualne. W świecie ciał

martwych nie mają one dla celów naukowych tak wielkiej doniosłości, a to dlatego, że, jakeśmy mówili, schematyzowanie jest tam o wiele łatwiejszem, a wytworzone schematy zawierają w sobie wszystkie lub prawie wszystkie te cechy, które dla nas w celach poznawczych przedstawiają interes. Nieraz wystarczają tu schematy tak ogólne, jak proste nazwy ciał: węgiel, tlen, chlor; w mechanice wystarcza nieraz schemat jeszcze ogólniejszy: ciało, albo poprawniej (i jeszcze ogólniej): masa. Ale gdy wkraczamy w dziedzinę biologii, wtedy różnice indywidualne występują jaskrawiej, schematyzowanie się utrudnia, schematy stająsię coraz uboższymi w treść w stosunku do mnogości cech, które się do nich włączyć nie dają. Skutkiem tego jest, że poznanie naukowe organizmów ogarnia daleko mniejszą część rzeczywistości, niż poznanie naukowe ciał nieorganicznych, bo do schematu nadają się tylko cechy proste i ogólne, a takich jest w stosunku do innych tem mniej, im organizm jest bardziej skomplikowanym, a zatem im wyższym w hierarchii biologicznej. Gdy przechodzimy do świata psychicznego, mamy, ze względu na powyżej wspomniany paralelizm, wszystkie te trudności, któreśmy spotykali w biologii, i oprócz nich cały szereg nowych, wynikających z mnóstwa zjawisk zupełnie od nich różnorodnych. Wynikiem tego jest, że do schematyzowania, do odpowiedniego wymaganiom nauki przekształcenia nadaje się tylko bardzo drobna cząstka spraw psychicznych, tylko stany psychiczne najprostsze i najelementarniejsze.

Tak samo w psychologii, jak w mechanice, przedmiotem poznania naukowego nie jest rzeczywistość, lecz schematy, utworzone na drodze abstrakcyi od rzeczywistości. Ale podczas, gdy schematy mechaniczne zawierają w sobie tyle względnie ubogiej w treść rzeczywistości, ile jej trzeba dla wszechstronnego i ścisłego wytłómaczenia zachodzących w świecie ruchów, w schematach psychologicznych mieści się zaledwie drobniutka cząstka nieskończenie bogatej w nieskończenie różnorodną treść rzeczywistości. Słowem to, co jest treścią nauki psychologii, różni się od rzeczywistości w daleko większym stopniu, niż to, co jest treścią biologii, a tem bardziej fizyki, i przedstawia jej część daleko mniejszą:

Treścią psychologii są stany świadomości: czucia, wyobrażenia, uczucia, popędy, sądy, wnioski, myśli. Ale nie są to nigdy i być nie mogą oddzielne stany psychiczne osobników oddzielnych, jeno stany psychiczne, brane wogóle, jako abstrakcye. Konkretnie zaś i indywidualnie wymieniane w nauce stany świadomości oddzielnie wcale nie istnieją. Konkretnie niema takiego stanu psychicznego, który nazywamy np. gniewem. Gniew jest zawsze częścią jakiegoś skom-

plikowanego stanu psychicznego, którego niesłychanie złożona jakość zależy przedewszystkiem od tego, kto go doznaje, jaką jest osoba fizyczna i psychiczna danego człowieka, następnie od warunków, przy jakich dany stan psychiczny powstaje, i przy jakich się odbywa jego przebieg. Tak samo i w fizyce, przedmiot jej stanowi nie dane spadanie danego ciała, ale spadanie ciał, wzięte, jako abstrakcya. W fizyce jednak, jakeśmy to już mówili,przejście od schematu do rzeczywistości jest łatwe, w psychologii jest ono w nielicznych wypadkach bardzo trudnem, w ogromnej większości niemożebnem. Rzeczywistością psychologiczną jest zawsze sprawa indywidualna, zawsze proces psychiczny, zachodzący w danym osobniku, proces, który od noszącego tę samą nazwę schematyczną, ale zachodzącego w innym osobniku, a nawet w tym samym, ale w innym czasie i przy innych warunkach, różni się ogromnie. Wyraz „gniew" ma w nauce psychologii określone znaczenie i wielką użyteczność. Jako coś, co ma oddawać pewną rzeczywistość psychiczną, mówi on bardzo niewiele, prawie nic; wyznacza tylko pewną kategoryę, do której zresztą wcale prawie przezeń nieokreślony stan psychiczny ma być zaliczony; wszystko, co mu nadaje właściwy charakter i swoistą barwę, wszystko, co w nim stanowi rzeczywistość konkretną, są to cechy indywidualne, wymykające się z pod wszelkiego schematu, niedostępne dla sformułowania i ujęcia w jakiekolwiek terminy naukowe, a więc ogólne. Jest to takie niezgłębione morze różnokształtnych i różnobarwnych szczegółów i szczególików, że, choćbyśmy w jakiś niepojęty sposób znali wszystkie te jego części składowe, to dla ich takiego zestawienia i opracowania, aby z nich dany stan psychiczny mógł być wyznaczonym i wywnioskowanym, brakłoby najdłuższego życia ludzkiego. Gdy zaś zważymy, że ogromnej większości tych części składowych zwykle nie znamy i znać nie możemy, to chyba nieuniknionym wyda się wniosek, że rzeczywiste jakości rzeczywistych stanów psychicznych nie są i być nie mogą przedmiotami ani psychologii, ani żadnej wogóle nauki.

Niemniej jest na świecie sporo ludzi, których z całą słusznością uważamy za dobrych znawców dusz ludzkich. Istnieje duszoznawstwo, i istnieją duszoznawcy. Miarą, podług której danemu człowiekowi przypisujemy większy lub mniejszy stopień duszoznawstwa, jest, ogólnie biorąc, większa lub mniejsza umiejętność przewidywania przyszłych stanów psychicznych oraz wnioskowania ze znanych cech psychicznych danego osobnika o jego cechach nieznanych. Szczególne przypadki i szczególne zastosowania tej umiejętności są nader różnorodne; na niej polegają: bystra i trafna ocena właściwo-

ści umysłu i charakteru człowieka, wybór właściwych osób na odpowiednie dla nich stanowiska, umiejętność przewidywania, co ktoś, z kim w sposób przyjazny, nieprzyjazny lub obojętny mamy do czynienia, w danych warunkach pocznie, i stosowania do tego naszych postępków tak, abyśmy zamierzony cel jak najmniejszym kosztem osiągnęli; na niej polega umiejętność wychowywania i kształcenia dzieci stosownie do ich indywidualności; na niej wreszcie możność odtwarzania charakterów ludzkich w dziełach sztuki.

Duszoznawcami w mniejszym lub większym stopniu jesteśmy wszyscy. Bez pewnego stopnia duszoznawstwa życie społeczne nie byłoby zgoła możliwem; aby módz z innym człowiekiem obcować, potrzeba niezbędnie w pewnej mierze przewidywać jego usposobienia i postępki w danych warunkach. Inaczej nigdybyśmy nie wiedzieli, co w stosunku do naszych bliźnich mamy począć. Rzecz prosta, że do załatwiania drobnych i powszednich spraw życia codziennego wystarcza bardzo mały stopień duszoznawstwa.

Otóż nie trzeba chyba dowodzić, że to w różnych stopniach wszystkim ludziom właściwe duszoznawstwo nie zasadza się zgoła na znajomości psychologii; na czem się zasadza, niewiadomo. Do jego rozwoju i wzrostu przyczynia się niewątpliwie doświadczenie życiowe, ilość dokonanych obserwacyi, a w pewnej mierze i znajomość schematów psychologicznych. Ale źródło jego spoczywać się zdaje w intuicyi. Wymawiając ten wyraz „intuicya", nie wyjaśniamy nic, tylko się przyznajemy do niewiadomości, do niemożności powiedzenia o istocie i źródle duszoznawstwa czegokolwiek pozytywnego.

Natomiast możemy o niem powiedzieć coś negatywnego. Duszoznawstwo nie jest psychologią, ani psychologia duszoznawstwem. Duszoznawstwo nie jest wogóle żadną wiedzą naukową, i nawzajem żadna nauka nie może nam dać znajomości rzeczywistych spraw psychicznych. Duszoznawca ujmuje nieraz jednym krótkim procesem myślowym treść, która, będąc rozłożoną poprawnie na terminy naukowe, zajęłaby tomy. Duszoznawstwo nie ma i mieć nie może żadnej ogólnej, dla wszystkich jednakowej metody; może mieć tylko metody indywidualne; w tej sferze każdy człowiek działa na własną rękę, każdy używa sposobów dla siebie najwłaściwszych. Najbystrzejszy duszoznawca nie potrafi nigdy wniosków swoich i przewidywań uzasadnić naukowo, wykazać ich w kształcie wyników pewnych praw i zasad ogólnych. Treść tego, co jest w tym zakresie przedmiotem poznania, to żywa rzeczywistość, której najdrobniejsza cząsteczka jest niezgłębionem morzem, drgającem milionam

ruchów, igrającem milionami barw, dźwięczącem bezmiarem tonów. Takiej treści niepodobna ani ująć w schemat, ani uczynić przedmiotem teoryi.

Jakeśmy mówili, psychologia może w pewnej, niewielkiej zresztą mierze ułatwić znajomość konkretnej rzeczywistości psychicznej; ale tylko w bardzo niewielkiej. Może tu dopomódz o tyle, że nam nasuwa pewne schematy, że ułatwia klasyfikacyę, że pomaga do oryentowania się. Poza tem jednak wielki psycholog może być najmizerniejszym duszoznawcą, a wielki duszoznawca żadnym psychologiem. Pierwszemu nic nie zaszkodzi brak duszoznawstwa, ani drugiemu nieznajomość psychologii.

Duszoznawstwo nie jest specyalnością. Nie można wskazać takiej kategoryi ludzi, którym duszoznawstwo byłoby „*par excellence*" właściwem; ale można wskazać dwie kategorye ludzi, artystów, dla których duszoznawstwo stanowi niezbędną część ich talentu. Są to: poeta i aktor. Utalentowany poeta i utalentowany aktor są urodzonymi duszoznawcami. Naturalnie nie wynika stąd, aby wszyscy urodzeni duszoznawcy mieli być poetami lub aktorami. Ale bez mniej lub więcej uświadomionego duszoznawstwa ani dobra poezya, ani dobra gra aktorska nie są wcale możliwe.

Jak już mówiłem na początku, chodzi mi nie o wyparcie z użycia pewnych terminów, bo to poza sferą nauki rzecz małej wagi, ale o skłonienie czytelnika do zdania sobie sprawy z tego, że przedmiotem nauki psychologii nie jest bynajmniej duszoznawstwo, że go najgłębsza nawet znajomość psychologii nie daje i dawać nie może, że psychologia, jak każda nauka, poznaje nie rzeczywistość, ale abstrakcye od rzeczywistości, i że barwna, dźwięczna, nieskończenie rozmaita, niezgłębiona rzeczywistość psychiczna nie jest przedmiotem żadnej nauki, ale treścią życia i przedmiotem sztuki.

Chodzi mi także o zaznaczenie pewnego nieporozumienia, które nieścisła terminologia wprowadziła do spółczesnej krytyki estetycznej: poezyę podmiotową, poezyę, której treść i wartość estetyczną stanowi świat wewnętrzny człowieka, poezyę taką, jak np. u nas „Bez dogmatu", albo wszystkie rzeczy Żeromskiego, nazywamy poezyą psychologiczną. Otóż, o ile będziemy używali wyrazu „psychologia" we właściwem znaczeniu, nazwa poezyi psychologicznej będzie właśnie daleko odpowiedniejszą dla dzieł poetyckich innego, dawniejszego i bardziej przedmiotowego typu: nie dla tych, rzecz prosta, których treść główną stanowi fabuła, ale dla tych, których środkiem ciężkości jest rysunek charakterów. Takiemi są dzieła

Shakespeare'a, Molière'a, Fredry, Cervantesa, Miltona, Walter-Scotta, Korzeniowskiego. Zadaniem ich jest dobre odtworzenie oraz jednolite i konsekwentne przeprowadzenie całkowitych charakterów, niekiedy charakterów typowych; natomiast spółczesna powieść podmiotowa zmierza nie do zrobienia całkowitego charakteru, nie do okazania całego człowieka w szeregu jego najcharakterystyczniejszych usposobień i postępków, lecz do dania jak najsilniejszego i najgłębszego wyrazu kilku nastrojem, a czasem jednemu tylko nastrojowi. Drobne ułamki życia psychicznego, przelotne, czasem chwilowe nastroje, pogłębione w miarę możności, doprowadzone do wyrazu, bądź to subtelnego, bądź potężnego, stanowią jej właściwy przedmiot. Jej urok polega nie na przeprowadzeniu konsekwentnem całego charakteru, nie na wyraźnem wydobyciu typu, ale na wzruszeniu czytelnika za pomocą silnego i głębokiego oddania nastroju, a jeszcze bardziej na wartości samego tego nastroju. Ta nad wyraz wysoka wartość moralna i estetyczna nastroju i żywiołowa potęga jego oddania stanowi głęboką piękność „Ludzi bezdomnych". Całość charakterów nie jest w tej powieści bynajmniej wydobyta, i sądzę, że nie o to chodziło jej znakomitemu autorowi. Ani Judyma, ani Joanny do końca książki nie znamy, jako całkowitych ludzi; z charakterów weszło do powieści tylko tyle, ile trzeba do wywołania i utrzymania nastroju. Na wartości nastroju, na piękności momentu psychicznego polega piękność powieści. Ona jest celem i punktem ogniskowym utworu, wszystko inne, nie wyłączając i „psychologii" bohaterów, jest środkiem do osiągnięcia tego celu i, jako środek, rzeczą podrzędną.

Ani tworzenie typów i charakterów, ani wywoływanie nastrojów nie jest robieniem psychologii. Ale sądzę, że z tego dwojga bliższem do psychologii jest pierwsze. Typ, charakter — to coś znacznie ogólniejszego niż nastrój; to nie schemat wprawdzie, ale coś dużo bliższego do schematu; coś mniej szczegółowego, mniej nieregularnego, mniej, rzecby można, kapryśnego, niż nastrój. Między psychologią naukową a dziełami Shakespeare'a jest przepaść, ale nie tak głęboka, jak między nią a dziełami Żeromskiego. Nazwa poezyi psychologicznej zawiera sprzeczność wewnętrzną i nie jest do żadnego rodzaju poezyi odpowiednią; ale z dwojga lepiej pasuje do takich powieści, jak Korzeniowskiego, niż do takich, jak Knuta Hamsuna.

Czy poezyę podmiotową, poezyę, której treść stanowią stany psychiczne człowieka, a której urok polega na piękności na-

stroju, nazywać będziemy psychologiczną czy inaczej, od tego ostatecznie zależy niewiele; ale więcej zależy od tego, abyśmy nie wyobrażali sobie, że poezya ta stoi do psychologii w jakimś innym i bliższym stosunku, niż każda inna poezya, abyśmy nie mniemali, że czerpie ona bądź to swój materyał, bądź sposoby jego opracowania z psychologii zamiast, jak każda poezya, bezpośrednio z rzeczywistości wewnętrznej i zewnętrznej. Zależy i na tem, abyśmy sobie dokładnie zdawali sprawę z głębokiej różnicy celów i dróg, do których i po których dażą nauka i sztuka. Obie czynią ze świata naszą własność, nasze dobro idealne; ale każda z tych dwu najszlachetniejszych czynności ducha ludzkiego daje nam inne dobro i daje je na innej drodze. Nauka, aby poznać prawa, rządzące światem, przemocą łamie rzeczywistość, przekształca ją na pozbawione indywidualności, a z nią i uroku schematy, urabia z niej materyał podatny do myślenia metodycznego. Odjętą w ten sposób człowiekowi rzeczywistość zwraca mu sztuka. I zwraca z Boskim naddatkiem: zwraca mu ją piękną.

Maryan Massonius.



Stanisław Konarski

(1700 – 1773).

(W dwusetną rocznicę urodzin).

W poważnym zastępie naszych reformatorów Konarski zawdzięcza swe wybitne stanowisko nie tyle wysokiemu uzdolnieniu, piętnującemu znamieniem trwałości wiekowej dokonane dzieła, ile harmonijnemu zespoleniu wysokich zalet umysłowych i moralnych. W młodości swej, w latach szkolnych i późniejszych podlega on wpływom ówczesnych, ogłupiających i demoralizujących zarazem metod nauczania i wychowywania, a choć w wieku dojrzalszym otrząśnie się z tych wpływów, choć wybije się umysłem i charakterem nad swe otoczenie, to jednak nie wybiegnie pojęciami i dążeniami poza widnokrąg współczesnej inteligencyi. Ten ścisły związek ze społeczeństwem i szczęśliwe zharmonizowanie uzdolnień pozwolą Konarskiemu zrealizować nie tyle szeroki, ile doniosły w następstwach program reformatorski, jaki osnuje nie na ideale, systemie lub uczuciowych popędach, jak Modrzewski, Orzechowski, Staszyc, lecz jedynie na realnych, najpilniejszych potrzebach życia ówczesnego.

Tem wytłómaczyć można też niezwykły pojaw, którego nie spotkamy w biografii tylu innych zasłużonych w przeszłości mężów. Oto Konarski został oceniony należycie i uczczony, w części za życia jeszcze przez współczesnych. Począwszy od królów i arystokracyi, cała inteligencya, całe duchowieństwo, nie wyłączając jezuitów, otacza go szacunkiem i uznaniem. Liczni biografowie w obszernych, tomowych niekiedy rozprawach zaraz po śmierci wysławiają jego czyny i pisma, widzą w nim Kartezyusza polskiego, człowieka, który pierwszy odważył się rozumnie myśleć w wieku ciemnoty ogólnej...

Dla nas dziś blask zasług Konarskiego przyćmiły późniejsze rezultaty pracy na utorowanych przez niego drogach. Reformy komisyi edukacyjnej przysłoniły nam doniosłość „Collegium nobilium" i poprawy szkół pijarskich, działalność sejmu wielkiego odwraca naszą uwagę od usług, jakie sprawie reformy rządu oddał autor pomnikowego, a nieocenionego dzieła „O skutecznym rad sposobie", wreszcie rozkwit literatury za sprawą Krasickiego i całego grona pisarzów uzdolnionych odciąga naszą uwagę od cichej, a doniosłej pracy karczownika, który zapuszczoną i zachwaszczoną niwę naszego życia umysłowego pierwszy zaczął oczyszczać i przygotowywać do wydania bujnych plonów. Oddalenie dwuwiekowe, przy braku monografii, wyjaśniającej różnostronną działalność Konarskiego, przekształca i zaciera w naszych oczach rysy charakterystyczne tej postaci i nie dozwala dojrzeć jej związku z życiem duchowem i politycznem czasów saskich, które są nam również mało znane i jednostronnie przedstawiane w podręcznikach historyi politycznej i dziejów literatury. Zarówno życie duchowe, jak i polityczne, stosunki społeczne, jak i ekonomiczne, przedstawiają u nas od połowy wieku XVII wzmagający się coraz silniej zastój wraz z coraz jaskrawszemi jego następstwami. Zabagnienie tych wszystkich pól sprzyja rozwojowi takich produktów chorobliwych, jak panegiryzm bezmyślny i bezład pojęciowy w życiu i piśmiennictwie, anarchia polityczna i rozprzężenie we wszystkich instytucyach, wybujała hulaszczość, towarzyskość i awanturniczość, jako jedyne ujście energii indywidualnej, nie znajdującej dla siebie pola w jakiejkolwiek celowej, zorganizowanej pracy.

Nieliczne jednostki, przeważnie z rodów senatorskich lub dysydenckich, zapoznawszy się z kulturą zachodu i rozwijającem się tam życiem umysłowem i pracą społeczną, biadały nad martwotą i ubóstwem własnej ojczyzny i występowały z radami i projektami poprawy stosunków, lecz nie umiały czy nie starały się wprowadzić

w czyn swych projektów, zorganizować ożywczej reakcyi przez powołanie do pracy dodatnich czynników.

Pod powłoką ogólnej martwoty kryły się słabe, ale trwale iststniejące prądy życia duchowego, śród ciemnoty ogólnej migocą się tu i owdzie światełka rozumu, a pomimo zepsucia moralnego chronią się w głębiach serc szlachetniejsze popędy. Wsparty na tych dodatnich czynnikach, które umiał podniecić i skupić do działania, Konarski przekopał w bagnisku ówczesnego życia kanał, którym zaczęły spływać jego męty i pleśnie. Tym sposobem umożliwił on rozwój życia umysłowego, zatamowanego przez system nauczania i dostarczany umysłom pokarm, tudzież i życia politycznego, obezwładnionego przez anarchię i demoralizacyę warstw rządzących.

I.

Społeczeństwo polskie, podniecone w swej młodzieńczej bujności przez wpływy humanizmu i reformacyi, tudzież rozwijającego się bogato życia politycznego, pod wpływem przyjaznych warunków ekonomicznych dosięgało w ciągu XVI w. w wielu wybitnych jednostkach wysokiego stopnia rozwoju duchowego. Niestety, między jednostkami takiemi, jak: Kopernik, Modrzewski, Kochanowski, Szymonowicz, Skarga, Sarbiewski, a szerszemi kołami klas wyższych i średnich istniał przedział wielki umysłowy i moralny, utrudniający tym wielkim umysłom i talentom skuteczne oddziaływanie. Tak potężny przytem czynnik w rozwoju kultury umysłowej, jakim jest szkoła, nie stał wcale na wysokości, jaką osięgło w wieku XVI piśmiennictwo, i nie torował bynajmniej mu drogi. Wczesny i świetny rozkwit wiosny odrodzenia przeminie, nie zapłodniwszy dusz, za mało dojrzałych moralnie do ponoszenia ciężarów życia publicznego, nierozłącznych z ustrojem, opartym na udziale mas szlacheckich i samorządzie prowincyonalnym, tudzież wymagań pracy kulturalnej, niezbędnej do podtrzymania życia duchowego na poziomie, do jakiego wzniosły je niepospolite dzieła wysoko uzdolnionych jednostek.

Niepokierowane należycie przez szkołę, nieujęte w karby obowiązku moralnego, karności społecznej i wymagań państwowych zasoby energii indywidualnej i owoce chwilowej pomyślności materyalnej spłyną pianą hulaszczego życia, bezcelowego zbytku, porywów awanturniczych.

Poczucie narodowe, świadomość błędów i wad utrzymywać się będzie nieprzerwanie w światlejszych i lepszych duszach i ujawniać się w pismach lub słabych usiłowaniach poprawy stosunków, wyczerpane jednak klęskami wojennemi, ruiną ekonomiczną, życiem hulaszczem, obezwładnione upadkiem oświaty i obniżeniem kultury moralnej społeczeństwo nie będzie zdolne zdobyć się długo bardzo na podjęcie pracy nad własnem uzdrowieniem, nie będzie wiedziało, od czego zacząć to ciężkie zadanie, które mogło się wydawać istotnie syzyfową pracą wobec niemocy chorego, jego drażliwości niezmiernej i niechęci ku wszelkim operacyom i lekarstwom.

Na szczęście znajdzie ono w Konarskim uzdolnionego i zręcznego lekarza, który, uwolniwszy się wcześnie z choroby, trapiącej całe społeczeństwo, potrafi własnym przykładem, trafnie i stopniowo stosowanymi środkami nakłonić chorego do podjęcia kuracyi. W roku bieżącym upływa właśnie lat dwieście od chwili, w której przyszedł on na świat, jako najmłodszy z sześciu synów Jerzego Konarskiego i Heleny Czermińskiej (wnuczki Piotra Aleks. Tarły, woj. lubel.). Brat cioteczny matki, Jan Tarło jest wojewodą sandomierskim, a dwaj bracia przyrodni: Bartłomiej i Jan będą z kolei biskupami poznańskimi. Pradziad reformatora, Jan był generałem w wojsku angielskiem w stopniu pułkownika, inny, jako porucznik chorągwi husarskiej, ginie pod Wiedniem r. 1683. Pomiędzy wnukami Jana dwaj służą w wojsku holenderskiem, jeden jest pułkownikiem w wojsku duńskiem, jeden przebywa i umiera w Brandenburgii, inny znów na dworze Radziwiłłów, najstateczniejszy zapewne Jerzy pędzi żywot ziemiański w Żarczycach pod Małogoszczą, poprzestając na godnościach miecznika sandomierskiego i kasztelana zawichojskiego. Rodzina ta przyjęła protestantyzm w wieku XVI, i większa część jej członków zachowała to wyznanie. Pan miecznik sandomierski zapewne w swej młodości wrócił do katolicyzmu, lecz nie pociągnął przykładem swym braci rodzonych i stryjecznych, tych zwłaszcza, co służyli wojskowo w państwach protestanckich. Umiera on w dość młodym wieku, a za nim i żona, pozostawiając ośmioro dzieci, nad którymi opiekę obejmuje brat matki Czermiński, otrzymujący po Jerzym Konarskim kasztelanię zawichojską.

Ze względu na szczupłość majątku z ośmiorga pozostałych dzieci trzech chłopców opiekun przeznaczy do stanu duchownego, jednego do wojska, jedna z dwu córek wyjdzie za mąż, druga osiądzie w klasztorze, a ojcowiznę obejmie najstarszy syn Michał, później starosta bachtyński i kasztelan wiślicki.

Ostatni z braci, Hieronim, głośny później pod imieniem Stani-

sława, urodził się r. 1770 w Żarczycach [1]) i w dziewiątym już roku życia umieszczony został przez wuja w szkołach pijarskich w Piotrkowie. Kolegia pijarskie w Polsce zmieniły swój właściwy charakter, przestały być szkołami dla ubogich, a przybrały charakter średnich zakładów dla młodzieży szlacheckiej i stąd w rozkładzie nauk, metodzie nauczania stosowały się do kolegiów jezuickich, z któremi prowadziły ciągłe spory i procesy o prawo nauczania.

Szkoły ówczesne zamiast popierać rozwój życia duchowego tamowały je w samym zawiązku przez błędną metodę nauczania, fałszywy kierunek, nadawany rozwojowi władz duszy, i ubogi lub niewłaściwie przyrządzony pokarm, jakiego młodym duszom dostarczały. W pamięć dziecka wtłaczano reguły i pojęcia oderwane, w obcym języku wyrażane i zostające bez związku zarówno z otoczeniem ucznia, jak i jego potrzebami, dążeniami. Władze umysłowe ćwiczono w sztuce posługiwania się pojęciami dla celów nie mających nic wspólnego z treścią i doniosłością takowych. Szkoła przyzwyczajała do bezmyślnego używania nazw bogów czy bohaterów starożytnych, wielkich faktów dziejowych, głośnych nazw miejscowych, najpodnioślejszych pojęć w charakterze kwiatków, z których zlepiano panegiryk, winszujący tak dobrze królowi odniesionych tryumfów, jak panu staroście pomyślnego związku małżeńskiego lub księdzu prefektowi jego imienin.

Wielkie imiona i wielkie idee nabierały w umyśle ucznia znaczenia ziarnek kadzidła, którego przeznaczeniem było wydać nieco dymu wonnego przy uroczystości kościelnej, dworskiej czy szkolnej.

W innem znowu zastosowaniu pojęcia i sądy służyły, jako karty lub pionki do gry, w której zwycięstwo polegać miało nie na udowodnieniu prawdy czy słuszności, lecz na przewadze zręczności i wprawy w gromadzeniu i kombinowaniu argumentów, na podstawie ich formalnej łączności z daną tezą. Dysputa nie kształciła umysłu, nie uczyła myśleć i rozumować, lecz stawała się rodzajem sportu, gry, polegającej na zmuszeniu przeciwnika do milczenia przez przegadanie go dzięki większej wprawie i zręczności.

Zwykłym tematem dla uczniów syntaksy w szkołach piotrkowskich między r. 1700 a 1740 były wiersze na herby kolegów, z wybitniejszych rodzin pochodzących. Przedmiotem dysput tej klasy

---

[1]) Biografowie Konarskiego, a między nimi i ostatni—p. Konst. Wojciechowski, wahający się w kwestyi oznaczenia miejsca urodzin Konarskiego, nie zwrócili uwagi na list, pomieszczony w końcu II części „O skutecznym rad sposobie“, w którym Konarski zwie siebie samym sandomierzaninem, ziomkiem Kochowskiego.

z uczniami gramatyki były reguły konstrukcyi łacińskiej. Uczniowie retoryki układali powinszowania imienin na wszystkich świętych, pomieszczanych koleją dni w kalendarzu. Ćwiczyli się również w układaniu peror kościelnych, sejmikowych, szkolnych. Witali mowami zarówno cały trybunał, odbywający w Piotrkowie posiedzenia, jak i szczegółowo prezydenta, marszałka, deputatów, a nawet przybywających dla spraw sądowych ważniejszych obywateli.

Ambicya, chęć błyszczenia na licznych, wielokrotnie w ciągu roku szkolnego odbywających się popisach publicznych, występach i obchodach pobudzała uczniów do żarliwego oddawania się takim ćwiczeniom, które tryumfatorom w późniejszem życiu torowały drogę do różnych godności. Te pobudki zapewne sprawiły, iż młody Konarski zarówno w szkołach piotrkowskich (1709—1715), jak podczas nowicyatu w Podolińcu (1716—1719) i początków swego zawodu nauczycielskiego w Warszawie (1721—1725), uprawiał z wielkim zapałem i powodzeniem poezyę panegiryczną i kunszt oratorski.

Przywdziawszy suknię Pijara, nie z powołania, ale z woli opiekunów, gwoli podtrzymania majątku rodowego, nieprędko się pogodził z koniecznością powściągnięcia rojeń ambitnych i oddania się obowiązkom i zadaniom swego skromnego stanowiska. Właściwa rodowi całemu przedsiębierczość, ruchliwość i ambicya będą podniecać młodego pedagoga pijarskiego do ciągłego rozwijania uzdolnień umysłowych i skierowania działalności na szerszą widownię, ku zadaniom, mogącym doprowadzić do sławy i stanowiska.

Przy protekcyi i poparciu materyalnem ze strony Tarłów wyjeżdża młody Pijar na sześcioletnie studya do Rzymu i Paryża (1725—1730). Teraz dopiero, pod wpływem zetknięcia się z kulturą umysłową Zachodu zajdzie w pojęciach młodzieńca doniosła rewolucya.

Dotąd ambicyę jego zadawalniała sława, pozyskana przez dość liczne utwory panegiryczne łacińskie i przemowy okolicznościowe, których szereg rozpoczynają ody na cześć N. P. Maryi, pisane w 19 roku życia, lecz wydane dopiero r. 1724 w Warszawie („Decas lirica"). Szumny panegiryk łaciński prozą, przeplatany wierszami, na objęcie biskupstwa poznańskiego przez Piotra Tarłę w r. 1721, wydany w Warszawie, zjednał autorowi wielkie uznanie zarówno w zgromadzeniu Pijarów, w których imieniu przemawiał do biskupa, jak i u samego biskupa, którego rychły zgon w r. 1772 da Konarskiemu okazyę do wypowiedzenia i ogłoszenia mowy, a raczej panegiryku pośmiertnego. Gdy katedrę poznańską objął teraz drugi Tarło, wuj rodzony Konarskiego, tenże również uczcił go panegiry-

kiem o rozciągłym wielce tytule („*Angelus Posnaniensis ecclesiae* i t. d.), obejmującym 62 stron *in folio* (Warszawa, 1723), a następnie dedykował zbiór swych ód i elegii na cześć N. M. Panny, wydanych r. 1724, („*In numerum annorum Mariae*"). W r. 1725 przemawiał w czasie ślubu Karola Wielopolskiego z Elżbietą Mniszkówną w imieniu kolegium pijarskiego i mowę tę ogłosił pod szumnym tytułem: „*Iter Palatinis Majorum Purpuris trabeatam... D. Carolis Piescova Skała Wielopolski Capitanei Cracov.* i t. d." Wedle świadectwa samego autora ilość tych panegiryków doszła dwunastu, lecz nie wszystkie się dochowały. Sam fakt, że zgromadzenie pijarów reprezentuje przy takich obchodach młody tak jego członek i pozyskuje sobie rozgłos takimi utworami, pozwala nam ocenić poziom umysłowy otoczenia, śród którego się rozwijał i zdobywał sobie uznanie przyszły reformator.

Rzecz naturalna, iż odmienne warunki życia umysłowego, jakie napotka młody panegirysta w Rzymie i Paryżu, podniecą silnie ambitną duszę młodzieńca i pobudzą do studyów, które pozwolą mu zrównać się z poziomem duchowym nowego otoczenia. Odsłoni mu się teraz cały fałsz i nicość panegiryzmu i bezmyślnej retoryki, zrozumie teraz dopiero, że prawda musi stanowić podstawę i cel zarówno wszelkiej nauki, jak i sztuki, że wysłowienie musi poprzedzać praca myśli, opierającej się na faktach i ich stosunkach. Ten przewrót umysłowy pozwoli Konarskiemu przy pomocy wiedzy, zebranej z książek, wykładów, obserwacyi, wytworzyć trzeźwy pogląd na życie umysłowe i polityczne własnego społeczeństwa.

Poczucie własnego uzdolnienia, stosunki z Leszczyńskim (przez Tarłę, przedstawiciela króla Stanisława przy dworze wersalskim), podniety ambicyi i patryotyzmu popchną młodego pijara do przerzucenia się od studyów naukowych i pedagogicznych do działalności politycznej i dyplomatycznej. Upadek sprawy Leszczyńskiego położy kres karyerze dyplomatycznej Konarskiego, rozwieje jego nadzieje osobiste i zacieśni pole jego działalności do skromnego zakresu pracy pedagogicznej w szkołach pijarskich. Niezrażony zawodami dostrzeże on teraz swym bystrym umysłem wielką doniosłość wpływu wychowawczego szkoły na pojęcia młodych pokoleń. Posiadając w zgromadzeniu pijarskiem wielkie poważanie i znaczenie, użyje tego wpływu i władzy na przeprowadzenie rozległego planu reformy politycznej drogą powolnego przekształcania pojęć warstw rządzących. Czego nie osięgły zabiegi dyplomatyczne, ma dopiąć cicha, cierpliwa działalność z pomocą szkoły i publicystyki. Pierwsze zarysy tej akcyi reformatorskiej wytworzyły się w duszy

Konarskiego po powrocie z zagranicy (1731 r.), gdy innem okiem zaczął oceniać stosunki własnej ojczyzny. Sejm warszawski z r. 1732 dostarczył wtajemniczonemu w zakulisowe przygotowania do zerwania obrad jaskrawego przykładu anarchii politycznej i bezwładności rządu. Doświadczenie, nabyte w czasie popierania w kraju i zagranicą sprawy Leszczyńskiego, umocni w powziętym dawniej zamiarze, lecz przekona zarazem o potrzebie przygotowania gruntu pod zamierzoną reformę przez pozyskanie dla niej umysłów przyszłego pokolenia.

II.

Powzięty przez Konarskiego zamiar urządzenia przy szkołach pijarskich zakładów wychowawczych dla zamożnej młodzieży szlacheckiej pociągał za sobą konieczność radykalnego przekształcenia ustaw zgromadzenia i ducha tej instytucyi, przeznaczonej przez założyciela do prowadzenia szkół dla ubogich przedewszystkiem. Wprawdzie zgromadzenie pijarskie na gruncie polskim przystosowało swe zakłady do potrzeb młodzieży szlacheckiej, ale zakładanie konwiktów i szkół wyłącznie dla bogatej szlachty odbijało rażąco od zadań, jakie wskazywały ustawy zgromadzenia. Mimo to Konarski, mając poparcie i zachętę w kołach senatorskich, zdobywając sobie przytem coraz większy wpływ na zgromadzenie, któremu niesie dzięki swym stosunkom pomoc w walce ciągłej z jezuitami, — przeprowadza wytrwale swój plan. Uzyskawszy drogą prywatną 2,400 dukatów na poparcie tych zamiarów, użyje procentów od tego kapitału na stypendya dla młodych pijarów, których wysyła zagranicę w celu przygotowania na przyszłych nauczycieli. Jednocześnie, popierając spór pijarów wileńskich z jezuitami, nalega na utworzenie w Wilnie konwiktu dla młodzieży szlacheckiej. Choć więc skutkiem nieprzychylnego wyroku musieli zamknąć pijarzy wileńscy swe szkoły publiczne, to jednakże pozwolono im utrzymywać konwikt na 24 młodzieży szlacheckiej i 6 ubogich.

Stosunki z Janem Tarłą, wojewodą lubelskim, następnie sandomierskim, stawiały Konarskiego w trudnem położeniu. Tarło, wuj i protektor młodego pijara, wyjednywał mu zapewne szczupłą płacę, jaką pobierał od Leszczyńskiego, również jak pewną sumę, przeznaczoną mu przez króla francuskiego z dochodów jakiegoś opactwa; ale z drugiej strony wyzyskiwał rozum i energię uległego krewnego dla swoich interesów i nie tylko wymagał od niego stałej korespon-

dencyi, informującej o wszystkich sprawach, ale dawał zlecenia, wymagające ciągłych podróży do odległych krańców Rzecz pospolitej. Cierpi na tem zdrowie Konarskiego, cierpią podjęte a tak doniosłe dla ogółu plany, a przytem i obowiązki, jakie na niego wkładała reguła. Zmęczony tą kolizyą i zniechęcony zamyślał już o wyjeździe z kraju w r. 1739, gdy powołanie na stanowisko prowincyała zakonu w r. 1741 ułatwiło mu przeprowadzenie zamierzonego dzieła. Pomimo to, iż tak dla załatwienia spraw Tarły, jak i szukając odpoczynku lub spokoju potrzebnego przy pracy, zmienia Konarski często miejsce pobytu i bawi naprzemiany w Rzeszowie, Radomiu, Warszawie, zapędzając się czasem aż pod Żwaniec, nie opuszcza go troska o wprowadzenie w czyn rozległego planu, który zaczyna częściowo urzeczywistniać. W r. 1741 ukazują się dwie książki, mające torować drogę do wytkniętych przez reformatora celów. Jedną jest nowo opracowana z natchnienia Konarskiego przez pijara Obermajera gramatyka łacińska dla szkół pijarskich, mająca wyrugować Alwara, drugą ostra i rozumna krytyka bezmyślnej retoryki i panegiryzmu, skreślona przez samego Konarskiego w języku łacińskim p. t. „O poprawie błędów wymowy” (*De emendandis eloquentiae vitiis).*

Współcześnie zaś rozpoczyna w r. 1740 prowadzić obok istniejącej szkoły publicznej pijarskiej w Warszawie zamknięty konwikt dla synów zamożnych rodzin szlacheckich, który rozwinie się stopniowo w miarę napływu młodzieży w późniejsze „*Collegium nobilium*”. W r. 1743 zakłada kamień węgielny pod budowę specyalnego gmachu, który stanie przy ulicy Miodowej na terytoryum, należącem do pijarów [1]). Ponieważ instytucya ta będzie miała na celu zastąpić synom senatorskim edukacyę zagraniczną, kosztowną i chybiającą często celu, przeto całe jej urządzenie dostosowane będzie do potrzeb i wymagań pańskich pod względem wygody, wytworności w urządzeniu, rozkładu nauk, rozrywek. Każdy wychowaniec miał osobną alkowę sypialną, zaś prócz sal, na klasy przeznaczonych, istniały oddzielne na pomieszczenie kaplicy, biblioteki, zbiorów naukowych, specyalna sala teatralna, łazienka, pomieszkania nauczycieli. Wkrótce potem urządzoną zostanie dla uczniów letnia rezydencya na tak zw. Żoliborzu (dziś Cytadela) z pięknym ogrodem.

---

[1]) Plany gmachu wykonał głośny wtedy budowniczy Fontana (ojciec przyjaciela Chopina). Opis gmachu z rysunkami ogłosił drukiem Konarski po polsku i francusku w Warszawie r. 1743.

Zbliżającą się do końca budowę zniszczy pożar r. 1748, zniewalając niestrudzonego organizatora do nowych zabiegów i wysiłków w celu zgromadzenia ze składek, ofiar i różnych zapomóg znacznego funduszu na doprowadzenie dzieła do końca. Dopiero w r. 1754 nastąpi uroczyste otwarcie ukończonego i urządzonego należycie kolegium.

Oceniając dzieło Konarskiego, trzeba pamiętać przedewszystkiem, że ten zakonnik-pedagog jest w głębi duszy swej politykiem i arystokratą, że w szkole swej widzi on tylko narzędzie przekształcenia pojęć i podniesienia charakterów młodzieży senatorskich rodów w celu przygotowania stronników partyi reformatorskiej, dążącej do położenia kresu anarchii, obezwładniającej Rzeczpospolitą. Ponieważ cała edukacya młodzieńca ma się odbywać w tem kolegium, przeto, jak późniejsze liceum krzemienieckie, łączyć ono będzie program nauczania średniego z przedmiotami, wchodzącymi w skład studyów uniwersyteckich. Wprowadza więc filozofię z podziałem na wstęp (*prolegomena*), logikę, metafizykę (ontologia, kosmologia, psychologia, teologia naturalna), etykę, uczy swych wychowańców prawa państwowego i międzynarodowego, kładzie duży nacisk na studyowanie historyi państw starożytnych i nowożytnych, ale nie z podręczników dziejów powszechnych, lecz ze specyalnych opracowań, przepisuje również do studyów pozaplanowych dzieła geograficzne. Z nauk przyrodniczych wprowadza fizykę z mechaniką. Zaleca też wychowańcom konwersacyę francuską, naukę tańców francuskich, każe im przedstawiać na teatrze szkolnym komedye w języku francuskim. Język ten jest również osobnym przedmiotem nauki szkolnej. Nauka języka polskiego odbywa się razem z wykładem łaciny, i to zarówno nauka gramatyki, jak i wypracowania piśmienne. Tragedye w teatrze szkolnym mają być wystawiane tylko po polsku. W rozmowie między sobą czy z nauczycielami wychowańcy winni używać języka francuskiego, a w niektóre dni i godziny—niemieckiego. W wykładzie nauk panowała przeważnie łacina. Do pomocy w studyach służyły dzieła łacińskie i francuskie. Tendencya polityczna, przewodnicząca Konarskiemu w urządzeniu tego zakładu, dała się wybornie pogodzić z uwzględnieniem postępów ówczesnej pedagogii, znanych organizatorowi z doświadczenia, nabytego przez pobyt w kolegium nazareńskiem w Rzymie, tudzież pism znanego mu osobiście Rollina. Tak samo znowu arystokratyczny charakter systemu wychowawczego zostawał w harmonii z ideałem obywatelskim, pojmowanym w duchu starożytnym, przyjętym za podstawę edukacyi. Wreszcie

przewaga łaciny i francuszczyzny nie dowodzi bynajmniej obojętności dla języka ojczystego, ale wynikła zarówno z braku dzieł naukowych i podręczników szkolnych w języku polskim, jak i z potrzeby uwzględnienia wielowiekowych tradycyi szkoły łacińskiej i zadośćuczynienia nowym potrzebom duchowym, ku czemu najwięcej się nadawała bogata literatura francuska, zdobywająca sobie wtedy wszechświatowe stanowisko. Ubóstwo literatury polskiej, trwające już wiek cały, nie pozwalało na jej szersze uwzględnienie w nauczaniu szkolnem. Mimo to reforma, przeprowadzona w jednym zamkniętym zakładzie, da impuls potężnej fali reformatorskiej, która, zataczając coraz szersze koła, ogarnia ogół zakładów naukowych w całej Rzeczypospolitej.

Zachęcony powodzeniem swego „*Collegium*" Konarski wyjeżdża w r. 1747 do Francyi i Niemiec dla zapoznania się z urządzeniem tamtejszych szkół, uzyskuje przez Maryę Leszczyńską od króla francuskiego stały roczny zasiłek z dochodów pewnego opactwa, od Augusta III również dostaje pomoc materyalną na lat sześć i pozwolenie na loteryę, mającą dostarczyć funduszu na dokończenie budowy. Wyrobiwszy w Rzymie r. 1749 wyjęcie na lat trzy pijarów polskich z pod władzy generała zakonu, przelanej czasowo na pijara Cypryana Komorowskiego, brata prymasa, naznaczonego wizytatorem papieskim klasztorów pijarskich w Polsce, przeprowadził przez ten czas Konarski pod osłoną uległego mu zwierzchnika radykalną reformę w samem zgromadzeniu i szkołach jego w Polsce. Ustawa, ułożona przez Konarskiego i zatwierdzona w Rzymie r. 1754, nosi tytuł „*Ordinationes visitationis apostolicae*" i obejmuje w części czwartej i piątej nową organizacyę szkół pijarskich w duchu zasad, na jakich oparte było „*Collegium nobilium*". Zrozumiawszy doniosłość narodową i polityczną dobrej szkoły, Konarski nie szczędzi trudu i rozwija zdumiewającą energię w przeprowadzeniu i rozwijaniu swego planu Reforma jego pobudzi współzawodniczących jezuitów do naśladownictwa i wprowadzania stopniowego nowości, cechujących szkoły pijarskie. Komisya edukacyjna wreszcie rozszerzy tylko i usankcyonuje powagą instytucyi państwowej najdonioślejszą w skutkach z reform, jakiemi społeczeństwo polskie stwierdzi swe stopniowe odradzanie się z wiekowego upadku i zastoju.

III.

Walka z bezmyślną retoryką i panegiryzmem, jaką podjął Konarski, zostaje w ścisłym związku z jego działalnością reformatorską.

Bezmyślność, przesada, fałsz mów i utworów wierszowanych rażą w nim nie tyle poczucie estetyczne, na którem mu zbywa, ale przedewszystkiem poczucie moralne i obywatelskie i wymagania rozumu praktycznego. Jako światły polityk, pojmuje, iż mówca, zabierający głos w sprawach publicznych, powinien w swych wywodach wspierać się na danych realnych, pewnych i dążyć szczerze do wyświetlenia prawdy słuchaczom; jako człowiek rozumny, pedagog, pragnie, by piszący, zarówno poeci, jak prozaicy, dostarczali czytelnikom zdrowego, kształcącego duszę pokarmu. Przeciwko złemu oddziaływać będzie pismami i edukacyą szkolną.

Już na lat sto przed wystąpieniem Konarskiego dostrzegł i napiętnował dosadnie to złe Opaliński w satyrze: „Na tych co się sobie mądremi i uczonemi zdadzą". Obeznany z literaturą i nauką Zachodu woła z ironią wzgardliwą satyryk do polskich oratorów i mędrców, którzy „umieją oracye pisać, z inszych złożone szumnych oratorów".

Tu u was, gdy kto sobie łaciną pomaże
Gębę, zaraz uczony, zaraz człowiek godny,
Nie dziw, że *inter caecos monoculus Rex est.*

Przypomniawszy, że tylko przez mozolne i gruntowne studya dochodzą do uczoności mędrcy Zachodu, dodaje:

„A wy co, sapienci? tu owdzie łapacie
Sentencyjki i *frases*, i *modos loquendi*,
Pokradszy stąd i zowąd, i tak miasto szaty
Przystojnej oracyi, *centon* uczynicie
Łatany z siłu sztuczek różnego koloru.
In metaphoris tylko i w płonnych figurach,
A rzekę jednym słowem, *in verbis res* wszystka.
Oracya nie będzie żadna bez konceptu
Wziętego z herbu, albo tam z miesiąca, albo
Z podkowy, z krzyżów, z mieczów, z Nałęcza lub z Łodzi.
.... ani kształtu, ani *artificium*,
Ani porządku będzie, ani elokucyej,
Tylko ni to ni owo, i dźwięk próżnobrzmiący.
Naśmieszniejsza gdy owo łacinę mieszają
W polski język, i głupie, i źle, i niewcześnie,
Nie pomnąc, że tam tylko łaciny potrzeba
Zażyć, gdzie polskie słowo nie ma tej i takiej
Energii, jak trzeba. U nich to namędrsza
Macaronice mówić a siać solecyzmy
Z barbaryzmami oraz.....

Przyczynę złego i lekarstwo na nie wskazuje trafnie satyryk.

Ta wszystka *inscitia* z szkół idzie: bo jako
Sami nic nie umieją, tak i drugich uczą;
Lata młode *in nugis* tylko *consumendo.*
Jeśli co, tedy trzeba szkoły zordynować
I *studiorum* sposób *atque rationem.*
Chłopca przez siedm lat bawią samą gramatyką,
Którą, jako papuga, trzepie bezrozumnie,
I przydam niepotrzebnie.....
Prawdziwa ona, ona cna philozophia
Non in verbis zawisła, *sed rebus et factis,*
W życiu, nie w szkole, ani w tych dysputacyach.
To jest prawdziwa mądrość; żyć według rozumu,
A nie według mniemania.

Konarski, ogłaszając w lat 90 później swe dziełko „*De emendandis eloquentiae vitiis*", nie powie nam nic nowego właściwie. Rozbierając w tem piśmie (mającem formę dyalogu między trzema osobami) wady mów i panegiryków, własnych utworów zwłaszcza, kładzie nacisk na niezgodność z logiką wyrażeń, przenośni, porównań, a przytem na odstępstwa w zwrotach i wyrażeniach od wzorów klasycznych. Doniosłość dziełka polega na tem głównie, że autor sam był przez dłuższy czas nauczycielem retoryki i poetyki w szkołach pijarskich, że sam również napisał cały szereg panegiryków, które poddał teraz surowej ocenie, że w chwili wydania swej książki stał na czele zgromadzenia pijarów w Polsce i otwierał właśnie wzorową szkołę, w której miał przeprowadzać zasady, głoszone w książce. Jak Opaliński, ganiąc niepotrzebne makaronizmy, sam się od nich ustrzedz nie umie, a Wacław Potocki przy swym zdrowym rozsądku, miłości prawdy i podniosłości duchowej nie może się powstrzymać od ciężkich, niesmacznych wywodów i konceptów, opartych na figurach herbów, lub grubych, rozwiązłych anegdot, tak znowu Konarski, poddając krytyce błędy wymowy i poezyi ówczesnej, sam w listach prywatnych (do Tarły) posługuje się cudaczną mieszaniną trzyjęzyczną (łacina, francuski i polski). Mamy jednak dowody przekonywające, iż w potrzebie umiał nasz reformator pisać poprawnie po polsku.

Dla teatru szkolnego w „*Collegium nobilium*" przełożył on, a raczej przerobił tragedyę Kornela „Otton" (wydaną r. 1744 w Warszawie) i napisał oryginalną p. t. „Epaminondas", r. 1756 wystawioną a r. 1882 ogłoszoną drukiem [1]). Utwór ten jest właściwie dyalo-

---

[1]) Wydał ją Fr. Nowakowski w „Archiwum do dziejów literatury i oświaty" tom II, Kraków.

gowaną rozprawą na temat, czy patryocie godzi się złamać prawa dla ocalenia zagrożonej upadkiem ojczyzny, a przedewszystkiem, czy należy utrzymywać prawa sprzeczne z dobrem państwa. Epaminondas, wódz tebański, w wojnie ze Spartanami przedłuża samowolnie określony przez prawo termin sprawowania dowództwa wojsk i, odniosłszy zwycięstwo pod Leuktrami, poddaje się dobrowolnie sądowi, jako winny złamania praw.

Przez usta Chabryasza autor, noszący się z myślą reform politycznych, takie wygłasza zdania:

Czyliż, niźli ojczyzna, prawo więcej waży?
Całość ojczyzny nie jestże największe prawo?
Prawa na to, przez nie by w ludzkim narodzie
W bezpieczeństwie żył każdy, w wolności, swobodzie.
Prawo, choćby najświętsze, prawem być przestaje,
Kiedy szczęściu ojczyzny przeciwnem się staje.
Dobro państwa za koniec prawodawcy mieli,
Prawo pisząc, nic złego ojczyźnie nie chcieli.
Od tej własnej istoty gdy prawo odpada,
Gdy mu szkodzi, traci moc wszelką, nic nie włada,
Jestże w tem co rozsądku, by prawa zachować,
Ojczyznę zgubić? Państwo im sakryfikować?

Obok tendencyi reformatorskiej przebija się tu i dążność arystokratyczna, w duchu starożytnym zresztą, w przedstawieniu stosunku bohatera, spokojnie oddającego swe życie na zadośćuczynienie złamanym prawom, do ludu, rządzącego się chwilowymi popędami, niezdolnego do oceny wielkości duszy swego wybawiciela.

Toć to ludzi fortuna wielkich—te przysmaki
Od pospólstwa; ten zwyczaj i tryb ludu taki.
Dziś o sąd krzyczy, wrzeszczał co o tryumf wczora.

Epaminondas sam tak się wyraża o ludzie w rozmowie z przyjacielem:

Nie wątpię, że lud tego nie pojmie. Czy mniemasz,
Że to dla ludu mówię, z którym ładu niemasz?
Niechaj lud jak chce sądzi, krzyczy i złorzeczy,
Mnie dość na tem, że w samej nie zgrzeszyłem rzeczy.

Utwory te, wyprzedzające co do czasu tragedye Rzewuskiego, a współczesne z wydanymi r. 1752 poematami Drużbackiej, są pierwszymi pojawami odradzania się literatury polskiej. Podniosłość uczuć i doniosłość idei, rozwijanych w „Epaminondasie”, przy

czystości i względnej poprawności języka pozwalają uważać ten utwór za gołębia, zwiastującego koniec zaćmienia umysłowego i martwoty na niwie literackiej.

Rozmiłowany w ideałach starożytności klasycznej i wybornie władający mową Rzymian Konarski nie przestaje w ciągu całego życia pisywać ód łacińskich, okolicznościowych przeważnie.

W r. 1747 ogłasza w Paryżu „Carmen epicum de Stanislai Leszczyński Regis Pol. Ducis Lothar. virtutibus". Następnie wydaje w Warszawie r. 1767 „Lyricorum in moralibus et politicis materiis libri duo". Stanisławowi Augustowi poświęca z okazyi obioru, urodzin, imienin cały szereg ód, wyrażających nadzieję odrodzenia się kraju pod względem umysłowym i politycznym za sprawą światłego i pragnącego postępu króla. Zachęca zwłaszcza do reform politycznych, a głównie do zmiany sposobu odbywania obrad sejmowych. Ostatnim utworem Konarskiego jest wiersz na dzień ślubu Ignacego Potockiego z Elżbietą ks. Lubomirską, pisany w r. 1772. Myśl poety zwraca się tu naprzemian to do nowożeńców, których zasługi i przymioty podnosi, to do ojczyzny, przebywającej wtedy właśnie ciężkie bardzo chwile. W drugiej zwłaszcza części tego utworu autor zdobywa się na śmiały i energiczny protest, jedyny w ówczesnej poezyi naszej. Wiersz ten wraz z wyborem innych dawniejszych ukazał się i w przekładzie polskim w zbiorze, ogłoszonym po śmierci Konarskiego przez jego przyjaciół i uczniów p. t. „Stan. Konarskiego Schol. Piar. wiersze wszystkie z łacińskich na polskie przełożone". (Warszawa, 1778, str. 214).

Współcześnie ze zbiorem poezyi łacińskich wydał Konarski swój wykład retoryki w języku łacińskim, ułożony w formie pytań i odpowiedzi p. t. „Institutiones oratoriae seu de arte bene cogitandi ad artem bene dicendi necessariae plurimis exemplis illustratae", (Warsz. 1767). Jak we wszystkich pracach, tak i tu chodzi mu głównie o popieranie idei reformy. Ze względu na ważność wymowy, jako czynnika potężnego wszelkiej akcyi politycznej, pragnie on sztukę mówienia oprzeć na umiejętności jasnego, logicznego myślenia. Stąd główny nacisk kładzie na „inwencyę" tematów i dowodów, mających popierać daną myśl. Podsuwa on tu za przykłady tematy polityczne i społeczne, jak np. o potrzebie nadania wolności włościanom. Zaleca przytem nauczycielom, by zasady retoryki starali się też i po polsku uczniom wyłożyć, gdyż „dbałość o wydoskonalenie języka ojczystego jest najpierwszym obowiązkiem". Idee powyższe przenikną zarówno nauczanie szkolne w całym kraju, jak

i budzące się do życia pod wpływem dążeń reformatorskich — piśmiennictwo.

IV.

Jako reformator i pisarz polityczny, Konarski stanowi tylko jedno ogniwo w długim łańcuchu publicystów i mężów stanu, ciągnącym się bez przerwy nawet przez takie mroczne epoki, jak czasy saskie, w których rozwój kulturalny społeczeństwa ulegał zupełnemu niemal zastojowi, a anarchia sparaliżowała życie polityczne.

Dzięki zasobom duchowym, wytworzonym przez bujne życie i różnokierunkową działalność wieku XVI, pewna liczba rodów senatorskich, małopolskich i wielkopolskich mianowicie, tudzież niektóre rody szlacheckie, protestanckie poprzednio, zdołały przechować przez burze wieku XVII i martwotę pierwszej połowy w. XVIII zarówno wyższy stopień oświaty, jak i poczucie obowiązków obywatelskich i świadomość potrzeb i zadań politycznych.

Opaliński, Wacław Potocki, Morsztynowie, Herakliusz Lubomirski, następnie Karwicki, Garczyński, Stan. Leszczyński, Jabłonowski, Załuski, Wacław Rzewuski—oto zastęp ludzi, pokrewnych Konarskiemu szczeblem hierarchi społecznej, źródłami, z których czerpali swe zasoby umysłowe, poglądami na stan polityczny i potrzeby kraju. Pod skromną sutanną pijara góruje on nad tym zastępem nie tyle siłą rozumu, wiedzy i uzdolnień literackich, ile energią woli, trafnością w wyborze środków i wytrwałością w systematycznem przeprowadzeniu swej myśli.

Rozbudzona pod wpływem studyów, w Rzymie i Paryżu odbywanych, w duszy młodego pedagoga świadomość ubóstwa umysłowego społeczeństwa polskiego a zarazem własnej wyższości nad otoczeniem, przeświadczenie, iż należy do małego grona ludzi, rozumiejących ciężkie położenie ojczyzny i uzdolnionych do służby publicznej,—oto bodźce prawdopodobne, które obok tradycyi rodowych, a może i zachęty ze strony Tarły i Leszczyńskiego, pchną młodego pijara na pole działalności politycznej i dyplomatycznej. Małżeństwo Maryi Leszczyńskiej z Ludwikiem XV, zawarte r. 1725 przy udziale Tarły, który przy dworze francuskim reprezentował króla Stanisława, niewątpliwie podziałało też na podniecenie ambicyi Konarskiego, który ujrzał przed sobą otwarte pole działalności, mogącej przynieść sprawie ojczystej pożytek, a jemu sławę i godności.

Te pobudki zwrócą dotychczasowego pedagoga i wierszopisa,

do studyów nad historyą i prawem polskiem, podsuną mu myśl zebrania i wydania w wielkim zbiorze rozproszonych i pozapominanych dawnych statutów i konstytucyi sejmowych. W r. 1732 z drukarni pijarskiej w Warszawie wyjdzie pierwszy tom tego zbioru p. t. „Collectio Legum, Statutorum et Constitutionum Regni Poloniae et M. D. L. a comitiis Vislicensibus 1347 usque ad annum 1736". Na wstępie Konarski w przedmowie „Ad lectorem" podał zarys rozwoju prawodawstwa polskiego, świadczący o rozległem oczytaniu młodego autora. Zbiór ten, znany pod skróconym tytułem: „Volumina legum", miał stanowić niejako podstawę akcyi reformatorskiej w duchu konserwatywnym, opartej na lepszych, światlejszych jednostkach arystokracyi ówczesnej. Wobec niedochodzących ciągle do skutku sejmów księgi te miały nawiązać do wątka dawnych ustaw niezbędną do podniesienia Rzeczypospolitej dalszą, regularną czynność prawodawczą i organizatorską. W rok później ogłasza Leszczyński swój program reformatorski („Głos wolny" 1733), a Konarski wydaje dwie broszury polityczne: „Rozmowa ziemianina z sąsiadem o nieszczęśliwościach ojczyzny" (Lipsk, rzeczywiście Warszawa), tudzież „Listy przyjacielskie" (Warszawa, 1733 r.). Gdy stronnictwo Leszczyńskiego dla uzyskania poparcia ze strony Francyi wyprawia w poselstwie Jerzego Ożarowskiego, oboźnego kor., Konarski zostaje mu dodany w roli sekretarza. Układa on wtedy obszerny memoryał o stosunkach polskich i wręcza takowy posłowi francuskiemu w Hadze, Fenelonowi. Pamiątką energicznej działalności młodego polityka są przechowane dotąd „Acta legationis". Upadek sprawy Leszczyńskiego rozwieje marzenia o karyerze dyplomatycznej czy politycznej naszego kasztelanica; utraciwszy nadzieję otrzymania biskupich fioletów i krzesła senatorskiego, wrócić on będzie musiał do skromniejszej roli pijara, pedagoga.

W trzy lata po zrzeczeniu się tronu przez Leszczyńskiego spotykamy w jednym z listów prywatnych Konarskiego (pisanym r. 1739 do Tarły, wojew. sand.) ciekawe stwierdzenie tego zrzeczenia się ambitnych rojeń młodego księdza - dyplomaty. Oświadcza on tu możnemu wujowi, że ma polecenie od generała zakonu i prowincyała, ażeby „podczas żadnej więcej rewolucyi z klasztoru nie wyjeżdżał ani w pisma się żadne *in publicis materiis* nie wdawał, abym w domu zakonnym *in officio* siedział.... *Meritum* inszego strzeżenia Rzeczypospolitej u nas nie znają tylko w szkołach.

Dependuje stąd *etiam* pokój i szczęście dalszego życia mego, ja już dawno *et solide* wyzułem się *ex spe* biskupstwa i prędzej spo-

dziewam się być Mandarynem w Chinach, niżeli biskupem w Polsce. Ani mi się też o to starać godzi, ani choćbym się starał, *ullum* tego nie widzę *emolumentum*, doskonale już uspokoiłem się na tem, że ja biskupem nie będę. Tymczasem płyną mi lata marnie w kongregacyi, w której jednej honoru spodziewać mi się trzeba, żyć mi i umierać trzeba. Przez lat kilkanaście włóczęgi mojej nie byłem jej *utilis;* teraz dają mi *campum merendi*, oraz i honor (jakiż on kolwiek jest) Rektorstwa warszawskiego, asekurują mnie, że wkrótce mogę być obranym prowincyałem, tu mi tedy, jeżeliby mnie ta *tentaret vanitas*, *securior qualitercunque exercendi modus*".

W rok później, jako prowincyał pijarski i kierownik konwiktu dla młodzieży z rodów senatorskich, rozpocznie Konarski najświetniejszy i najdonioślejszy w rezultaty okres swej działalności. Przez rozumnie obmyślany i z niepospolitą energią i wytrwałością przeprowadzony plan wychowania przygotuje on w ciągu lat trzydziestu cały zastęp umysłów i charakterów, odpowiednich do podjęcia i przeprowadzenia reform politycznych i do pełnienia obowiązków służby obywatelskiej w ciężkich warunkach ówczesnych. Żaden minister ni senator współczesny nie mógłby się pochwalić ani tak doniosłym wpływem, ani tak realnymi a ważnymi rezultatami działalności, jakie osiągnął skromny rektor „*Collegium nobilium*". Po dwudziestu latach pracy na tem polu Konarski, który na stanowisku kierownika szkoły arystokratycznej rozległe ponawiązywał stosunki w kołach senatorskich i mógł śledzić stopniowe przekształcanie się przekonań politycznych w tych sferach, uzna za stosowne wystąpić w roli mentora-polityka i pouczyć dojrzałych słuchaczów o potrzebie wydobycia kraju z anarchii i niemocy przez reformę rządu. W r. 1760 ukazuje się w Warszawie pierwsza część dzieła: „O skutecznym rad sposobie albo o utrzymywaniu ordynaryjnych sejmów" [1]). Druga część nosi datę 1761, trzecia wyszła r. 1762, a czwarta r. 1763. Każdy z czterech tomów obejmuje do 300 stron ścisłego druku. Nie tylko rozmiarami, lecz bogactwem treści, wyczerpującem przedstawieniem doniosłej dla społeczeństwa kwestyi, książka ta stanowi najpoważniejszą pracę w naszej literaturze politycznej, a jednocześnie jest pierwszym wybitnym pojawem odrodzenia się życia umysłowego i piśmiennictwa po długotrwałym zastoju.

---

[1]) Na tytule czytamy r. 1760, lecz na cenzurze kościelnej, umieszczonej na czele książki, podano: styczeń r. 1761.

Całe dzieło stanowi jakby jedną wielką mowę sejmową. Autor nie wykłada swych przekonań, ale prowadzi ciągłą niejako polemikę z przeciwnikami lub zwraca się do czytelników w ten sposób, jakby ich widział skupionych koło swej mównicy. Wie, że zdania jego będą krytykowane i potępiane przez tych zwłaszcza, którzy nie mają dość cierpliwości i przygotowania, by odczytać i zrozumieć całość. Poprzedza więc książkę prośbą „Do nieczytelnika, to jest tego, który tej nie chce czytać książki", ażeby wstrzymał się z sądem, jeśli nie doczyta do końca. „Ta się więc książka czytelników nie stracha, ale nieczytelników".

Z wielu ciężkich dolegliwości, na jakie cierpi Rzeczpospolita, zdaniem Konarskiego najważniejszą, z której wszystkie inne pochodzą, jest: „zła Rad forma". Zwracając się do oponentów, woła: „Ty mi rzeczesz, że naprzód sił i obrony dla bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego ojczyźnie potrzeba, a ja mówię, że Sejmu na tej opatrzenie i ustanowienie obrony potrzeba", i, ciągnąc tak dalej rozprawę z oponentami, kończy, obstając przy swojem zdaniu: „Ty mnie tysiąc potrzeb Ojczyzny wyliczysz? Ja tobie nie mogę inaczej, tylko tysiąc odpowiedzieć razy, że i na to, i na drugie, i na setne, i na tysiączne, sejmów, sejmów najpierwej, koniecznie potrzeba. Apeluję do wszystkich rozumnych patryotów i świata całego zdania, niech każdy rozsądzi, czy dobrze mówię".

Następnie rozstrząsa aż trzynaście różnych sposobów, podawanych przez publicystów czy mężów stanu, dla uchronienia obrad sejmowych od zerwania, poczem poddaje rozbiorowi osławioną zasadę: „Nierządem stoi Polska" i wreszcie rozwija jedenaście pobudek, nakazujących zabezpieczyć trwałość obrad sejmowych. W rożdziałach, poświęconych rozpatrywaniu środków na ukrócenie przekupstwa posłów, podaje szczegółową a ciekawą relacyę agenta, któremu zamierzający zerwać sejm roku 1732 wręczyli tysiąc dukatów z poleceniem wyszukania w Warszawie posła, gotowego za pieniądze wziąć na siebie smutne zadanie. Patrząc na te przygotowania, Konarski świeżo po powrocie z zagranicy powziął wtedy pierwszą myśl opracowania pisma, wymierzonego przeciw „*Liberum veto*". W końcu pierwszej części, zwracając się do tych, którzy w „*Liberum veto*" widzieli tarczę swobód, woła z całą siłą przekonania: „Bajki są, kochani bracia, żeby który sejm dotąd, aby jeden, był z dobrem ojczyzny zerwany. Jest to jedno, co ogniem pożar gasić, trucizną leczyć, co chcąc Dom naprawić, fundamenta pod nim podkopywać i kruszyć a rwaniem sejmów chcieć pomódz Rrzeczypospolitej".

Drugą część rozpoczyna charakterystyka anarchii polskiej, przypominająca siłą uczucia, przebijającego się przez skargi zbolałego patryoty, nieśmiertelne „Kazania sejmowe". Wiemy i powtarzamy wszyscy, żali się Konarski, „że bojaźń jakaś, lichość umysłów i podłość generalna opanowała wszystko. Że interesów prywatnych, ambicyi, emulacyi, łakomstwa taka moc jest, iż zda się, że w nas pamięć o Rzeczypospolitej i ojczyźnie wygasła, jakby każdy obywatel kraju o niczem więcej myśleć nie powinien, tylko, żeby jemu dobrze było, choćby wszyscy zginęli. Oszukania i fałszów w publicznych tranzakcyach ustawicznych tak gęsto, że prawie *fidem publicam* ledwo znajdziesz. Skarb koronny od wielu miastek cudzoziemskich publicznej kasy uboższy i gorzej rządzony... Niesława, hańba, słabość, sromota, upadek na wszystkiem całego narodu. Praw ojczystych zupełna ruina. Rozpacze wielkie po całym kraju, że już nigdy lepiej nie będzie i być nie może".

Rozpatruje następnie dzieje sejmów polskich, szukając nadaremnie uchwały, pozwalającej zrywać obrady, zestawia zdania różnych pisarzów i polityków w tej kwestyi, wyszukuje rzadkie wypadki zrywania sejmu przez całą grupę posłów i wreszcie przez jednego, czego dokonał dopiero smutnej pamięci Siciński. Rozbiera wreszcie postanowienia, tyczące się porządku obrad sejmowych. *Liberum veto* przyrównywa do bożyszcza pogańskiego, świętego dębu na Litwie, którego mimo przyjęcia chrześciaństwa nikt nie śmiał ściąć wobec ogólnego przeświadczenia, iż śmiałek taki zginąć musi. Gdy jednak znalazł się odważny kapłan, który pierwszy zatopił w piersiach dębu siekierę, lud, widząc, iż świętokradca nie ginie, dopomógł mu do obalenia drzewa.

Przy końcu tomu drugiego dochodzi do wniosku, iż jedynym środkiem, który może przywrócić Polsce nieistniejący faktycznie rząd, wyrwać ją z toni anarchii, jest zasada większości głosów, przed którą mniejszość, a cóż dopiero jednostkowa opozycya, ustąpić musi.

Wydawszy część pierwszą swego dzieła, rozesłał ją Konarski do wszystkich senatorów i wybitniejszych obywateli z prośbą o udzielenie mu piśmiennej opinii o rozwijanych w książce poglądach. Była to więc tak zwana dziś ankieta, świadcząca korzystnie zarówno o politycznem wyrobieniu reformatora, jak i o odradzaniu się społeczeństwa, w którem tak liczny zastęp ludzi wybitnych zainteresował się żywo sprawą, przez Konarskiego podjętą. Między innemi sejmik słonimski przez swego marszałka Wołłowicza zwrócił się do

cenzora książki, ks. Śliwickiego, z prośbą o wyrażenie nieznajomemu autorowi aprobacyi jego poglądów i zachęty do wydania dalszych części.

W trzeciej części rozpatruje autor przebieg i skutki wszystkich zerwanych sejmów i rozbiera zarzuty, jakie można uczynić zasadzie decydowania większością głosów. W konkluzyi, powołując się na przykłady, jakie dają inne narody, przytacza list, świeżo pisany z Warszawy (1761 r.) przez pewnego cudzoziemca do sekretarza stanów generalnych w Hadze. Cudzoziemiec ów twierdzi, iż sejm w Polsce nie istnieje wcale, bo choć przez lat 40 zwołano 23 sejmów, to wszystkie zostały zerwane, że Polska jest dotknięta rodzajem paraliżu, nie dozwalającego spełnić jej żadnej czynności pożytecznej dla ogółu. Jednocześnie Polska jest narodem najbiedniejszym i najciemniejszym w świecie (*la plus aveugle au monde*), bo jej nie prowadzi żadna rada. Przytoczywszy taką opinię, Konarski woła z boleścią: „Szlachcicu polski... drzeć ci i zakrwawić serce takie ojczyzny twej opisanie powinno. Cóż to za letarg nas wszystkich skrępował"?... W dodatku do tej części zamieszcza autor nowy poczet listów, bardzo gorących przeważnie, popierających jego przekonania. Że obok głosów pochwalających odzywały się niechętne i złośliwe, o tem wspomina sam Konarski w pierwszym rożdziale części czwartej. Część tę poświęca głównie przedstawieniu trybu odbywania obrad publicznych w różnych państwach europejskich, zacząwszy od dawnej Rzeczypospolitej rzymskiej. Drugą połowę tej części zajmuje rozwinięcie projektu „rad nacyonalnych", t. j. sejmu trwałego, nieustającego, decydującego sprawy większością głosów. Po dokonaniu tej zasadniczej reformy będzie dopiero mogła Rzeczpospolita przystąpić do całego szeregu pilnych, nieuniknionych przekształceń i ulepszeń w prawach, wymiarze sprawiedliwości, skarbie, obronie, administracyi. Dzieło Konarskiego góruje tak systematycznością opracowania, jak rozległą erudycyą, trzeźwością sądów, jasnością i żywością wykładu, zarówno nad pracami poprzedników (Karwicki, Leszczyński, Garczyński), jak i nad pięknymi pomnikami literatury politycznej z epoki sejmu czteroletniego. Ni „Uwagi" Staszyca, ni „Listy Auonima" mimo swych zalet niepospolitych nie mogą równać się, jako dorywczo skreślone, okolicznościowe publikacye, z pracą w której autor zawarł rezultaty trzydziestoletnich obserwacyi, rozmyślań i poszukiwań, nagromadził i systematycznie rozłożył cały arsenał dowodów na pokonanie przeciwników, i zgromadził pod sztandarem swej idei okazały zastęp najpoważniej-

szych w kraju mężów, aprobujących swymi głosami wywody i plany rozważnego a niezłomnego w swych dążeniach reformatora.

V.

Wytrwała, długoletnia, doniosła, a tak bezinteresowna działalność Konarskiego, napiętnowana rzadką jednolitością, musiała mieć swe źródła i bodźce w podniosłym ideale moralnym, wytworzonym pracą ducha, dążącego szczerze do dobra i prawdy. Ideał ten nadawał niewątpliwie pismom i czynom reformatora powagę, piękność, siłę i spoistość, wyróżniając wybitne czyny Konarskiego od działalności tylu innych mężów owej epoki, utalentowanych, zasłużonych lecz tak słabych, chwiejnych i giętkich pod względem moralnym i obywatelskim.

Ideał ten przejął Konarski ze świata starożytnego za pośrednictwem jego najlepszych przedstawicieli, z dzieł poetów, historyków, filozofów. Zarówno sam język i formy literackie, jak i utrwalone w tych formach pojęcia polityczne i moralne Rzymian, umiłował i przyswoił sobie reformator polski, znajdując w nich odbicie i urzeczywistnienie własnych duchowych pragnień i upodobań. Odpowiadał on jego arystokratycznym i patryotycznym aspiracyom. Przewodniczył mu w urządzeniu i prowadzeuiu „*Collegium nobilium*", piętnuje ody łacińskie i „*Epaminondasa*", wreszcie znajduje swój wyraz w głośnej mowie, wypowiedzianej r. 1754 przy akcie uroczystego otwarcia nowego kolegium: „*De viro honesto et bono cive*".

Zaletą najważniejszą męża zacnego i dobrego obywatela jest zdolność panowania nad sobą. Tą drogą może osięgnąć zdrowie ciała i duszy, którym szkodzi najwięcej niewstrzemięźliwość i smutek (niepokój?). Panowanie nad popędami fizycznymi, zwłaszcza w jadle i napoju, daje zdrowie ciała, siłę woli i zwrócenie myśli ku wyższym przedmiotom i boskiej konieczności biegu rzeczy, pozwala utrzymać równowagę umysłu. Wtedy dopiero człowiek może spełniać należycie obowiązki życia prywatnego, a mianowicie rządy rodziny, w skład której wchodzą: żona, dzieci, słudzy i poddani, tudzież uczestniczyć w rządzie Rzeczypospolitej, od czego nie godzi się uchylać zacnym, bo inaczej władza dostanie się w ręce złych i niesprawiedliwych. Niewolno mężowi wobec ciężkiego położenia Rzeczypospolitej usuwać się od życia publicznego i wobec trudności i niebezpieczeństw w sterowaniu sprawami kraju uchylać się od zajmowania niemi. Nie trzeba szukać w piastowaniu urzędów

zadowolenia próżności, tytułów, oznak, wyniesienia, ale pamiętać, że ci, co mają pieczę o Rzeczypospolitej, winni najpracowitsze pędzić życie. Jedyną nagrodą ma być przeświadczenie, że, jakikolwiek z naszych usiłowań był skutek, zawsze do ostatka wytężaliśmy nasze siły, by czegoś pożytecznego dokonać.

Konarski ma tu na myśli własne społeczeństwo, ale patrzy na nie oczami Rzymianina i jego ideał pragnie wcielić w życie polskie. Współcześnie z tą mową napisał dla teatru szkolnego „*Epaminondasa*”, wcielając w główną postać swój ideał obywatelski. Z latami jednak zaczął Konarski powątpiewać o praktycznej wartości tego ideału, myśląc o reformie politycznej w Rzeczypospolitej, doszedł do przeświadczenia, iż musi ona się wspierać na moralnem odrodzeniu obywateli. W tej sprawie jednak ani stoicyzm rzymski, ani krytycyzm ówczesnej filozofii nie mogły przynieść pożytku. Starożytni mędrcy już widzieli, iż najsilniejszymi bodźcami życia duchowego człowieka są: bojaźń i nadzieja, a właśnie tak stoicyzm, jak i filozofia francuska, usiłowały wyzwolić człowieka z zależności od tych bodźców. Ująć je w karby, uszlachetnić i pogodzić z zadaniami życia społecznego może jedynie religia, a przedewszystkiem chrześcijaństwo.

Proces przekształcania się uczuć i pojęć religijnych w duszy Konarskiego jest nam mało znany i możemy się domyślać jedynie, iż zaszczepiona w nowicyacie pijarskim dewocya, znalazłszy swój wyraz w odach łacińskich na cześć Matki Boskiej, pisanych w 19 roku życia, przeszły zapewne zwykłą koleją rzeczy w indyferentyzm, który otworzył duszę młodego pijara dla ideałów stoickich, a równocześnie i dla poglądów, szerzonych przez myślicieli i publicystów francuskich.

Zajęty praktycznemi zadaniami Konarski nie miał skłonności do zaciekań filozoficznych, do rozstrząsań krytycznych podstaw własnych wierzeń i poglądów, z drugiej strony światły umysł przy ambicyi arystokratycznej nie usposobiły go do potulnego dogmatyzmu, do ascetycznego wyrzeczenia się własnego sądu. Wyrazem tej samodzielności duchowej było wytworzenie się ideału moralnego w duchu pojęć świata starożytnego. W ostatnim okresie życia zaczyna się w duszy Konarskiego reakcya na korzyść ideału chrześcijańskiego, poczęści z pobudek praktycznych, politycznych, poczęści też i z moralnych.

Coraz cięższe położenie kraju i coraz wybitniej zaznaczający się brak ludzi, skłonnych do pracy bezinteresownej i ofiar dla dobra ogólnego, coraz to jaskrawszy kontrast między rosnącym po-

lorem umysłowym i towarzyskim a coraz większym upadkiem obyczajów, zanikiem zalet moralnych przekonywają Konarskiego, że ani ideał obywatela rzymskiego, ani nowy ideał wolnomyślnego kosmopolity, szerzony przez publicystów francuskich, nie mogą odrodzić szlachty polskiej i pobudzić jej do spełnienia ciężkich zadań ówczesnego życia publicznego.

Sprawa dysydencka i przebieg cały konfederacyi radomskiej wywarły niewątpliwie wstrząsający wpływ na przekonania naszego reformatora [1]), który zostawał w bliższych stosunkach z ówczesnym kołem senatorskim. Współcześnie z występującą w konfederacyi barskiej reakcyą uczuć religijnych i narodowych Konarski ogłasza r. 1769 swe dziełko „O religii poczciwych ludzi" z pomieszczonym na czele listem Andrzeja Zamojskiego, datowanym z Warszawy 22 listopada r. 1768. Pochwalając zamiar i poglądy autora, tak w końcu powiada Zamojski: „nieszczęśliwe czasy dają poznać, jako jest mało, którzyby dla cnoty sakryfikować chcieli swój własny interes, swój urząd i fortunę. W M. Pana refleksye w jednych wskrzeszą osłabiałą, w drugich wzmocnią cnotę, w umysł wpojoną.

Wszyscy coś mówią o reformie Rzeczypospolitej i jej życzą; lecz, jako bez słońca światło świata być nie może, tak poprawienie rządów i rad bez poprawy wprzód obyczajów, a poprawa obyczajów bez religii udać się żadną miarą nie mogą".

Zwracając się na początku tej książki do młodzieży i swych byłych wychowańców, przytacza Konarski w przekładzie polskim swą odę łacińską, kończącą się zwrotką:

Nic, nic od grzechu nas, śmiertelnych ludzi,
Mocniej nie wstrzyma, do cnoty nie wzbudzi,
Jak przyszłych rzeczy po śmierci koleją
Bojaźń z nadzieją.

W dalszym ciągu, nazywając swe dziełko zbiorem „chrześcijańskich myśli", dla pożytku młodzieży dokonanym, powiada: „Bądźcie wyperswadowani, że ani Ojczyźnie, ani wam w niej, ani waszym familiom być nie może i nigdy przez życie wasze nie będzie dobrze, jeżeli wy poczciwych chrześcijan rzetelnego szukać nie będziecie zaszczytu". Mówiąc dalej o niebezpieczeństwach, grożących religii

---

[1]) Prócz memoryału i projektu mowy w tej sprawie wydał Konarski r. 1764 broszurę: „Réponse aux remontrances des messieurs les dissidents", a r. 1767 rozprawę pełną erudycyi historycznej: „Prawo powszechne przeciwko dyssydentom".

ze strony libertynów i filozofów francuskich, powtarza za Cyceronem, że nie można wymyśleć żadnego, by najgrubszego błędu, któregoby już który nie powiedział filozof. Dalej uroczyście oświadcza: „Ja chrześcijanin, zrodzony i w mej wierze żyć chcący, ale nie zazdroszczę wyniesionym nad nasz gmin tym dowcipnym duchom najwyższej, nadludzkiej prawie umiejętności, zazdroszczę raczej prostej niewieście danej pochwały od naszej wiary fundatora:

„Niewiasto, wielka jest wiara twoja".

Oskarżony o deizm i libertynizm w raportach dwulicowego Duriniego [1]) i opierających się na jego powadze późniejszych biografach i krytykach (Theiner, Bartoszewicz Julian, ks. Załęski), okazał się Konarski w tem wyznaniu przekonań szczerszym i gorętszym chrześcijaninem, niż cały zastęp wybitnych przedstawicieli wieku XVIII, zarówno mężów stanu, jak pisarzów, reformatorów, noszących suknię duchowną.

W lat pięć po ogłoszeniu tej książki zakończył Konarski pełne trudów i zasług życie dnia 3 sierpnia 1773 r. w Warszawie. Choć społeczeństwo ówczesne rozkoszowało się dowcipem i wdziękiem pióra Krasickiego, ceniło rozum, jędrny humor i pracę poważną Naruszewicza, oddawało należne uznanie różnorodnym zasługom Bohomolca, podziwiało nieznaną dotąd u nas doskonałość artystyczną utworów Trembeckiego, swawolną werwę Węgierskiego, jednemu tylko Konarskiemu okazywało cześć, należną powadze i podniosłości charakteru, niezłomności wytrwałej woli, jasności i trzeźwości umysłu śmiałego i rozważnego zarazem.

Współcześni pod wpływem pojęć wieku oświeconego cenili w Konarskim przedewszystkiem reformatora życia umysłowego, „polskiego Descartes'a, jak go nazywa ks. Michał Krajewski w swej „Pochwale" (1784 r.). My uzupełnić musimy ten sąd i utrwalić fundamenta, na których spoczywa wielkość Konarskiego, wysunięciem na pierwszy plan jego zalet moralnych. Gdybyśmy stawiali pomnik na cześć wielkiego reformatora, napisalibyśmy zapewne na nim: „*Sapere et agere auso*".

Bronisław Chlebowski.



[1]) Durini, nuncyusz papieski w Polsce, pisywał na cześć Konarskiego poezye łacińskie i zostawał z nim w bliższych stosunkach, co nie przeszkodziło mu oczerniać działalność wielkiego pijara w raportach, składanych Klemensowi XIV.

Rozbiory i Sprawozdania.

Prochaska. Geneza i rozwój parlamentaryzmu za pierwszych Jagiellonów. Kraków, 1898.

Dawniejsi historycy prawa państwowego polskiego, jak np. Lengnich, Skrzetuski, Bentkowski, rozpoczynali genezę sejmów od pierwszych zjazdów dygnitarskich w Polsce i żadnej zasadniczej różnicy między pierwszymi a drugiemi nie upatrywali. Natomiast Bobrzyński, Pawiński i Rembowski powstanie właściwych sejmów dostrzegali dopiero około połowy XV wieku, i jedynie co do stanowczej daty zachodziło pewne nieporozumienie wobec zgody na to, że sejmy wbrew zjazdom odróżniają się rozwojem zasady reprezentacyjnej, wyborczej i przeistoczeniem się tejże z samowoli i faktycznego przyzwolenia królewskiego w prawo stanów do peryodycznego wspierania tronu sejmową radą.

Dr. Prochaska pogląd powyższy uznał za błędny, utrzymując, że wcześniej zjawiają się stany na widowni dziejów naszych. Król czy książę od zarania dziejów, od przyjęcia chrystyanizmu, związany był z najstarszymi swego ludu, również przez chrzest związanymi z nim węzłem cywilizacyjnym. Stąd wcześnie powstała królewska rada, która w stosunku do króla tworzyła osobny stan. Ci doradcy wobec króla, reprezentującego władzę najwyższą, byli reprezentantami podwładnych, przedstawicielami korony (regnum). Stany dzielą się na duchowne i świeckie, a obydwa razem stanowią dopiero reprezentacyę królestwa. Zezwolenie obu nadaje moc rozporządzeniom królewskim. Tylko w sprawach o pomoc w poborach udaje się król do każdego z dwu stanów zosobna, i na tem polu osobno obradują duchowni, osobno świeccy. Obowiązek obrony ojczyzny ciąży zarówno

na obu stanach. Natomiast dziełem obrony kraju zajmuje się głównie stan rycerski, zajmujący wśród świeckiego stanu, do którego liczy się mieszczaństwo, naczelne miejsce. Sam król odczuwał błogi wpływ stanów na rządy, a jakkolwiek zachodziły pomiędzy nim a stanami starcia, to jednak w sprawach większej wagi zawsze odwoływał się do ich przyzwolenia, zasłaniając się tem, że nie mógł działać przeciwko własnej przysiędze.

Trzy stany: króla, duchowieństwo i stan świecki łączy wiara, wskazując szerzenie cywilizacyi chrystyanizmu, jako główne zadanie. Formę zewnętrzną tego węzła stanowi kontrakt, normujący ich wzajemne zobowiązania i stwierdzony przysięgą. W czasie bezkrólewia znowu ta wiara stawała się silnym węzłem, jaki stany spoił wzajemnie, ochraniając tem samem koronę od ciosów zewnętrznych i od zaburzeń wewnętrznych. Stany były też narzędziami dzieła cywilizacyjnego; one stały na straży jego, każdy pracując w swoim zakresie nad jego dziełem.

Stałej, zawsze przy królu działającej rady nie było. Król, ilekroć tego potrzeba zachodziła, zwoływał radę, a zwoływał ją tem częściej, im częściej wypadało wziąć pod obrady ważne sprawy państwowe. Skoro król przybył do jakiej ziemi, z owych pięciu, stanowiących ciało korony, aby rozstrzygać sprawy, załatwiane przez królewski majestat, wtedy radę jego tworzyli towarzyszący mu dygnitarze i najwyżsi dostojnicy ziemscy. Duszą tych obrad poważnych byli najwyżsi dostojnicy kancelaryi królewskiej: kanclerz i podkanclerzy, czołem rady byli biskupi, a zasadą obrad była ich publiczność, t. j., że król w sprawach ważnych powoływał ogółem wszystkie uprawnione do udziału w radzie osobistości. Rada królewska ma ściśle uporządkowane miejsca, z których senatorowie wotują po kolei, przestrzegając pilnie porządku. Obowiązki rady dotyczyły rządów państwa i wytycznego dla nich kierunku. W sprawach tak ważnych, jak obrona ojczyzny, prowadzenie wojny, dawanie odpowiedzi książętom, stosunki z zagranicą, związany jest król ze swą radą. Jej przyzwolenie przy obsadzaniu najwyższych posad i godności ustala się za Jagiełły i zastrzeżone jest nawet sankcyą ustawodawczą. Rada doradza królowi, gdy chodzi o małżeństwo, w sprawach ceł i dróg handlowych, w sprawach bicia monety, zwołania sejmu i t. d. Sądy w sprawach o dziedzictwo król sprawuje przy radach, darowizny dóbr ziemskich lub zastawy dokonywują się zawsze przy radzie. Najważniejszym atoli obowiązkiem rady jest przestrzeganie całości korony i czuwanie nad prawami stanów.

Rośnie też powaga rady wobec króla do tego stopnia, że staje się ona sędzią w sprawie króla z królową, a co ważniejsza, król rzymski, podejrzewający Jagiełłę w sprawach, dotyczących pacyfikacyi husytyzmem podminowanych Czech, ucieka się do pomocy rady koronnej. Wobec całego stanu duchownego rada ręczy za króla, że ten zwróci kosztowności kościołowi, wypożyczone na gwałtowne potrzeby Rzeczypospolitej. Powaga rady skłaniała króla do uciekania się do pomocy młodszych, ale właśnie owi „juniores“, widząc wzrost olbrzymi ciężarów, brak poszanowania dla prawa, bunty na Litwie, zachwianą równowagę między koroną a Litwą i wzrost tamże separatystycznych dążeń, sami starali się o przywrócenie radzie dawnego jej znaczenia.

Organem, za pomocą którego rada odbywa publiczne obrady, jest sejm. Skoro bowiem szło o rzeczy większej wagi, obchodzące zarówno wszystkie stany, jako też ziemie, natenczas rada, złożona z powołanych do boku królewskiego radców, sama nie chciała przyjąć wielkiej odpowiedzialności, jaka ciążyła na uchwalających ważne zarządzenia. Sprawy też żywotne szły pod obrady najliczniejszego zgromadzenia rady czyli, jak pospolicie mówiono, sejmu. Instytucya ta

wykształconą już jest pod koniec XIV wieku do tego stopnia, że obejmuje wszystkie najważniejsze sprawy nie tylko dwu wielkich prowincyi państwa, lecz i ogólne zadania. Niewiadomo, czy za czasów Kazimierza W-go nastąpiło zwoływanie sejmów obu połów państwa, to jest jednak rzeczą pewną, że w czasach bezkrólewia po Ludwiku okazuje się żywa łączność pomiędzy dwoma sejmami, tak, iż trudno przypuścić, aby mogła się wytworzyć w krótkim czasie.

Za czasów króla Jagiełły zgoda i zjednoczenie sejmowe potęguje się tak dalece, że o wielu sejmach nie można na pewno powiedzieć, czy to były dzielnicowe, czy też walne sejmy. W każdym razie sejm dzielnicowy mniejszy miał zakres działalności i obejmował sprawy mniej ważne w porównaniu z sejmem całego Królestwa. Przedewszystkiem sprawy na sejmie prowincyonalnym obejmowały interesa, jednej połowy państwa dotyczące, jak zarządzenia co do szafunku dygnitarstw tej prowincyi, budowy zamku lub obrony ziemskiej, o ile ona obyć się mogła bez połowy drugiej, dalej ustanowienie podatków, sposobu ich wybierania, wyznaczenie poborców, wreszcie deputatów do sprawdzania liczby, słowem zarząd i gospodarka całej prowincyi. Sejmy walne zwołuje król za pomocą posłów lub orędzi albo też obu sposobów równocześnie, przyczem zaznaczyć należy, że osobno wzywał Wielkopolan, osobno zaś Małopolan do obesłania sejmu.

Z obu generalnych sejmów wysyłano na taki walny sejm obu państw delegowanych, wybranych z liczby najpoważniejszych z rady. Sposób ten porozumiewania się za pośrednictwem najwybitniejszych delegowanych z rady, zdaje się, był pierwszy raz zastosowany w Horodle w r. 1413; widzieliśmy tam bowiem tylko najpoważniejszych dygnitarzy polskich. Co do sposobu obradowania, to przedewszystkiem zauważyć należy, że z reguły nie broniono nikomu głosu, zwłaszcza osobom, godnością lub wiekiem poważnym. Obrady stanów odbywały się publicznie wobec wszystkich stanów; skoro tego jednak wymagały okoliczności, zawieszano obrady publiczne, i król z najpoważniejszymi z rady, z najwyższymi dygnitarzami odbywał posiedzenie tajne lub też sami dostojnicy naradzali się na osobności. Skoro stany sejmujące nie mogły się zgodzić na jedno, natenczas poruczały rozstrzygnięcie najpoważniejszym dygnitarzom, najczęściej biskupom, jak np. w r. 1445. Co do czasu trwania walnych sejmów, to zazwyczaj obrady ciągnęły się dwa tygodnie. Wotowanie odbywało się z powagą, przyczem przestrzegano ściśle porządku. Wnioski zapadały jednogłośnie, bez najmniejszego sprzeciwiania się ze strony któregokolwiek z uczestników, tak samo i rozporządzenia królewskie, wbrew prawu wydane, usuwano jednomyślnie.

Wraz z pierwszymi śladami życia sejmowego spostrzegamy w niem czynny udział ze strony duchowieństwa. Kapituły poczytywały sobie za obowiązek uczestniczyć w każdym takim publicznym zjeździe. Z drugiej strony udział szlachty nie ulega również żadnej wątpliwości. Wszyscy ogółem mieli obowiązek stawienia się na sejmie, był to obowiązek moralny raczej, aniżeli prawny. Pierwszą wzmiankę o posłach ziemskich spotykamy pod r. 1382 u Janka z Czarnkowa, mówiącego o sejmie wiślickim, na który zjechać mieli Krakowianie, Sandomierzanie i posłowie wszystkich ziem polskich. Jest to pierwsza wzmianka, za mało mówiąca, na sejmie atoli, odbytym z powodu koronacyi Władysława Warneńczyka, spotykamy już wyraźnie posłów ziemskich, oddających swe wota z każdej ziemi zosobna. Przyjąć też można za pewnik, że około połowy XV wieku obsyłanie sejmów przez posłów ziemskich już się ustaliło. Panowie, przewodniczący wówczas na sejmie generalnym, wzywają sejmiki do wysyłania posłów z zupełną mocą. Co do liczby owych reprezentantów, to ona ustalała się do dwu posłów z każdego ziemstwa.

Ze względu na wielkie wydatki, jakie funkcya poselska za sobą pociągała, już około połowy XV wieku przestaje być poselstwo bezpłatnem. Dyety płacono ze skarbu ziemskiego każdej ziemi albo też każdego powiatu, a później zwyczaj utarł się, że dyety na sejmie walnym płacono posłom z ogólnych ziemskich poborów. Wysokość dyet była niestałą i stosowała się do wysokości cen produktów.

W sejmach brały udział także i miasta stołeczne większych ziemstw za pośrednictwem swych rajców i na nich przedstawiają swoje żałoby, petita i wnioski. Wszystkie rokowania dyplomatyczne dzieją się w obecności rajców większych miast, miasta brały niezaprzeczony udział we wszystkich elekcyach, w zezwalaniu na podatki, w obradach, dotyczących monety, mennicy, cła obrony ziemskiej, jako też w obradach nad zawarciem lub potwierdzeniem traktatów zagranicznych. Miasta też dążyły nietylko do zatrzymania, ale i do powiększania praw. Królowie poręczają Krakowowi w r. 1458 i 1476, że zezwolonego przez miasto podatku na przyszłość wyciągać nie będą. Z tem wszystkiem przewaga stanu rycerskiego w życiu parlamentarnem polskiem była niezaprzeczoną, ale nie uderzała ona żadną niesłusznością, a niosła z sobą wiele dobrodziejstw dla rozwoju cywilizacyi.

W zakres kompetencyi sejmu wchodzą wszystkie te przedmioty, które stanowiły treść obrad rady królewskiej. Pobory uchwalano stale na dzielnicowych sejmach, tu się też domagano kontroli i udziału w administracyi skarbem publicznym dla dobra korony. Obrona królestwa, utrzymanie ładu na wewnątrz zwierzchnicze czuwanie nad pokojem na zewnątrz spoczywa w ręku sejmu. Za czyny swoje, wbrew woli sejmu podjęte, odpowiadał król, i wiadomo, że najwybitniejsi członkowie rady nie szczędzili na sejmach publicznych strofowań królom. Baczna uwaga sejmu towarzyszy Jagiellończykom od zarania ich młodości;—sejm bowiem naznacza nauczycieli dla królewiczów, aż do mogiły, bez sejmu walnego bowiem nie godziło się pochować ciała królewskiego. Wcześnie powagę sejmu uznaje kościół, a sobór konstancyeński i bazylejski udają się do jego poparcia w sprawach, obchodzących cały świat chrześcijański. Wpływ sejmu na wszystkie ogólem czyny, na całą polityczną działalność Jagiełły podnosi sam król przez stałe odnoszenie się do jego powagi, bez którego niepodobna mu w sprawach wielkiej wagi samemu rozstrzygać.

Przy królu obradują zatem dwa ciała i wpływają na losy korony. Jedno obszerniejsze—zjazd dygnitarski i urzędników ziemskich czyli sejm, obradujący peryodycznie na rozkaz królewski; drugie, otaczające częściej króla, rada koronna, złożona z biskupów i najwyższych dostojników państwa, z osób, wybieranych przez króla, będąca właściwie duszą i sercem państwa. Źródłem parlamentaryzmu w Polsce, jak i na Zachodzie, była ostatecznie idea federacyi, ale nie takiej, której pierwszym objawem konfederacya, lecz idea federacyi w duchu spólności chrześcijańskiej, idea, jakiej nie znał świat starożytny, mająca na celu rozwój i obronę zasad chrystyanizmu wobec wroga wewnętrznego i zewnętrznego.

Parlamentaryzm czyli rząd reprezentacyjny polski miał prócz dodatnich i ujemne strony, podobnie, jak i na Zachodzie. Z nieposłuszeństwa dla władzy powstawał egoizm stanowy, usuwanie nieszlachty od prelatur, mieszczan od udziału w sejmach; partykularyzm brał górę nad dążeniami ogólnemi, a poczucie wyższych dążeń, obejmujących potrzeby i wymogi ogółu zanika. Ideał, mający stanowić cel wspólnych dążeń wszystkich ziem i stanów, zaciera się we mgle egoistycznych zachcianek i partykularnych dążności. Z tego też źródła płyną owe wspomniane związki pozasejmowe, bez udziału i wiedzy senatu powzięte, owe konfe-

deracye r. 1406 i 1407, aż do nieszczęsnej konfederacyi Spytka z Melsztyna; wszystkie one bowiem nie z idei wspólności i związkowości chrześcijańskiej, lecz wprost z nieposłuszeństwa władzy tak świeckiej, jak i duchownej, wypływały, dlatego też kościół przez cenzury duchowne starał się złemu zapobiedz.

Na tem uważam za stosowne zakończyć sprawozdanie z pracy d-ra Prochaski, genezie i rozwojowi parlamentaryzmu polskiego poświęconej. Jakkolwiek bowiem znajdujemy w jego studyum obszerne wywody historyozoficzne i wielkie bogactwo faktów interesujących, sądzę jednak, że w powyższem streszczeniu zawarłem zasadnicze poglądy autora na powstanie rady królewskiej i jej przeistoczenie się w sejm walny koronny. W przedstawieniu też rozwoju i kompetencyi zarówno rady, jak i owych zjazdów, zwanych przez autora sejmami, leży główna jego zasługa naukowa. Właśnie ta epoka przejściowa, pomijana lub niedostatecznie przedstawiana przez poprzednich historyków prawa, została przez d-ra Prochaskę opracowana starannie i zbogacona niejednym cennym szczegółem. Inaczej się jednak rzecz ma z poglądami historyozoficznymi, upatrującymi już w XIV w. rozwój parlamentaryzmu czyli, jak się autor wyraża, rządów reprezentacyjnych w Polsce W pracy d-ra Prochaski spotykamy nawet dowód, że wszystkie ważniejsze znamiona charakterystyczne rządów reprezentacyjnych w Polsce występowały dopiero około połowy XV wieku, początek jednak wieku XV, a tembardziej wiek XIV noszą cechy sprzeczne z istnieniem parlamentaryzmu w Polsce.

Tem bardziej nieuzasadnionymi są poglądy d-ra Prochaski, utrzymujące, że na Zachodzie Europy było to samo, i że już wcześnie, bo na początku XIII w., funkcyonują w pełni rządy reprezentacyjne i ustrój stanowy się rozwinął. Na całym Zachodzie spotykamy wprawdzie dość wcześnie zjazdy urzędnicze lub dygnitarskie, zwane dworskimi, które powoli uzupełniają się pierwiastkami wyższych stanów (meliores terrae), ale nabierają charakteru reprezentacyi stanowej dopiero w ciągu półtora wieku i wtedy zyskują nazwę rządów reprezentacyjnych. Po większej części w państwach Europy zachodniej doba ta przypada na drugą połowę XIV lub na początek XV wieku, a zatem rozwój konstytucyi stanowej w Polsce spóźnia się mniej więcej o jeden wiek w porównaniu, ogólnem naturalnie, z zachodem Europy. Dr. Prochaska powołuje się w swych porównawczych wywodach na Austryę, cytując jednego z poważniejszych historyków austryackiego prawa, Luschin v. Ebengreuth. Właśnie cytowany przez autora uczony niemiecki dowodzi szczegółowo, że pierwotnych zjazdów dygnitarskich z udziałem meliores terrae nie można bynajmniej uważać za reprezentacyę stanową i że rozwija się ona w Austryi dopiero w końcu XIV stulecia.

Wreszcie na zarzuty, uczynione prof. Pawińskiemu i Rembowskiemu, mogę na tem miejscu jedynie ogólnikowo odpowiedzieć. Co się tyczy pierwszego, to zarzut, że w swych cennych studyach nie rozpatrywał rzeczy porównawczo, nie można uważać za uzasadniony. Prof. Pawiński poruszył dziedzinę prawa państwowego polskiego, zaniedbaną i prawie nierozjaśnioną. Zadaniem jego było rozproszyć dotychczasowe ciemności, w historyi sejmików ziemskich, a porównawczy wykład nie zajmował go zupełnie, bo stanowił drugorzędne zadanie, które z łatwością mogli następcy wykonać. Nadto prof. Pawiński wiedział dobrze, że ogólnikowe porównania nie posiadają żadnej wartości i że lepiej się skupić w granicach, dotyczących badanego przedmiotu, aniżeli się rozpraszać w nieujętej historyozoficznej frazeologii, która naukowej doniosłości nie posiada. W końcu, co się mnie dotyczy, to przedewszystkiem zauważyć jestem zniewolony, że zarzuty,

stawiane mej pracy, wypływają przeważnie z pobieżnego jej przeczytania. W następstwie czego pomawiany jestem o to, czego nie utrzymywałem zupełnie, lub dr. Prochaska poucza mnie o tem, co nietylko, że mi było wiadomem, ale czego się dowiedziałem z poprzednich cennych prac jego, na które się niejednokrotnie powoływałem. W jednem tylko miejscu dr. Prochaska nie zgadza się ze mną na wpływ monarchizmu oświeconego w XVIII wieku, przypisując mi jednak takie poglądy, jakich nigdy nie wygłaszałem, a nawet sprzeczne z tymi, jakie wygłaszałem. Co się tyczy rzeczywistych moich poglądów na oświecony monarchizm, to oświadczyć jestem zniewolony, że nietylko najpoważniejsze prace poprzedników, ale piękna i cenna praca Roschera, która się później ukazała, nie zmusiła mnie do zmodyfikowania moich przekonań. Przy nich też mogę spokojnie pozostać.

A. R.

R. Dmowski: „Wychodźtwo i osadnictwo". (Część pierwsza. Lwów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Warszawa. Poznań, 1900. Str. 106).

Nie przebrzmiały jeszcze echa dzwonów, w jakie uderzyła większość naszej prasy na wieść o gorączkowem wychodźtwie ludu polskiego za morze, ludu, który, podniecany namowami agentów, wyzbywał się corychlej ubogiego mienia, by podążyć tam, gdzie spodziewał się znaleźć ziemię urodzajną i poprawę bytu. Zaniepokojenie to skierowało myśl wielu do odszukania właściwych przyczyn i następstw wychodźtwa.

Autor świeżo wydanej rozprawki, p. t. „Wychodźtwo i osadnictwo", p. R. Dmowski, pragnie zbadać i jedno, i drugie. Pierwsza część pracy zawiera wychodźtwo. „Drugą zaś, poświęconą głównie osadnictwu, zamierzam ogłosić po powrocie z Brazylii, dokąd obecnie przedsiębiorę podróż w celu osobistego zapoznania się z krajem." (Przedmowa, str. 3).

W dziejach wychodźtwa autor rozróżnia trzy epoki, mianowicie: ukształtowanie się społeczeństwa średniowiecznego, odkrycie Ameryki, wreszcie rewolucyę francuską z okresem wojen napoleońskich. Trzecia epoka, rozpoczynająca wiek XIX-ty, jest najciekawszą i przez autora szczegółowiej od pierwszych opracowaną. Emigracya naszego wieku, rozpoczęta po r. 1815, początkowo z Anglii, wynosiła w pierwszych latach zaledwie parę tysięcy głów. W piętnaście lat potem cyfra ta podnosi się znacznie, dając za czas 1830—34 roku 381,956 głów. Po r. 1846 wychodźtwo do Ameryki przybiera wielkie rozmiary; głównie dostarcza go Irlandya — po nieurodzaju kartofli, Anglia — po zastosowaniu w przemyśle tkackim udoskonalonych warsztatów samodziałających, wskutek czego tysiące robotników znalazło się bez pracy. Za okres 1840—1852 r. cyfra wychodźców z Anglii i Irlandyi równa się 2,480,165. Na mocy danych statystycznych oblicza autor liczbę wychodźców z Wielkiej Brytanii w bieżącem stuleciu na półtora miliona.

Po Anglii pierwsze miejsce w emigracyi przypada Niemcom. W drugiem i trzeciem dziesięcioleciu miały około trzydziestu tysięcy wychodźców; cyfra ta w połowie wieku dziewiętnastego wzrosła do 214,000. W następnych latach cyfra wychodźców stopniowo maleje.

Francya na mocy danych statystycznych wykazuje liczbę wychodźców 1,200,000 za mijające stulecie. Większość jednak emigrantów przypada na Algier i kolonie.

Półwysep Pirenejski wykazał liczbę wychodźców 1,700,000. Belgia, Holandya, Szwajcarya — do 800,000 razem wzięte. Włochy—2,500,000, przeważnie wychodźtwo czasowe. Dania bardzo drobne cyfry, najwyższa w r. 1873—7,000 głów.

Półwysep Skandynawski — około półtora miliona. Austro-Węgry — około półtora miliona (przeważnie wychodźtwo czasowe). Rosya z Królestwem Polskiem i Finlandyą — około 800,000, z których 300,000 przypada na Królestwo.

W wychodźtwie ostatniego piętnastolecia daje się zauważyć fakt, że zmniejsza się ono w północno-zachodniej, a powiększa w południowo-wschodniej Europie (Włochy, w małej części Rosya).

Głównym czynnikiem, skłaniającym masy ludności do opuszczania ziemi rodzimej jest chęć poprawy bytu. Jakkolwiek obok przyczyny natury ekonomicznej stają i inne: zmiany i klęski polityczne (wychodźtwo Duńczyków ze Szlezwiku po przyłączeniu go do Prus, Alzatczyków po wojnie r. 1870, wychodźtwo polskie po r. 1830), zwiększanie podatków (w Niemczech za czasów nowego cesarstwa), wychodźtwo dla uniknięcia służby wojskowej,—te jednak, razem wzięte, nie dadzą tej cyfry, co wychodźtwo z przyczyn natury ekonomicznej; głód lub ciągły niedostatek są silniejszym od innych bodźcem, zwalczającym i przywiązanie do ziemi, i powab życia w pośród swoich, i te wszystkie węzły, łączące jednostkę ze społeczeństwem, do którego należy. Zresztą w latach gorączki emigracyjnej wiele zaważyła i agitacya.

Przeciwnicy wychodźtwa główny kładą nacisk na to — mówi p. Dmowski, że zmniejsza ono ludność kraju i pociąga za sobą straty materyalne. Czy rzeczywiście? Kiedy pewna część ludności opuszcza kraj, zapotrzebowanie pracy zwiększa się, a z niem wzrasta i norma wynagrodzenia; wyższe zarobki wpływają korzystnie na rozwój pozostałej w kraju ludności pracującej. Wyjątek — kiedy emigracya przewyższa naturalny przyrost ludności. Na mocy danych statystycznych autor dochodzi do wniosku, że cyfra wychodźtwa równa się najwyżej połowie przyrostu naturalnego. Straty materyalne, jakie społeczeństwa ponoszą przez emigracyę, są nieuniknione: drobne zazwyczaj sumy, które wychodźcy zabierają z sobą, składają się na miliony. Na obronę powiedzieć można, że wielu wychodźców powraca do kraju po dorobieniu się majątku, inni przysyłają zapomogi krewnym pozostałym.

Wychodźtwo wpływa dodatnio na rozwój umysłowy i kulturalny jednostek.

Wychodźtwo polskie z przyczyn natury ekonomicznej rozpoczęło się o całe dziesiątki lat później od zachodnio-europejskiego. Na to wpłynął ustrój społeczny głównie, ubocznie zaś — poziom oświaty ludu i oddalenie od wielkich portów handlowych. Wychodźtwo nasze zaczęło się dopiero po r. 1870 z Prus zachodnich i W. Ks. Poznańskiego. „Na silny rozwój ruchu w tych ziemiach wszystko się składało. Ludność mnożyła się szybko, wykazując najwyższą w Europie cyfrę przyrostu naturalnego, postęp oświaty, dzięki samopomocy społeczeństwa i szkole ludowej pruskiej, oraz wpływ pośredni więcej nieco kulturalnych osadników niemieckich w kraju wpłynęły na szybki wzrost potrzeb życiowych ludności; położenie zaś geograficzne kraju, odciętego granicą od wschodu, a otwartego dla przemysłowców prowincyi niemieckich, niemal uniemożliwia, przy braku bogactw mineralnych, żywszy rozwój przemysłowy, który mógłby zatrudnić przyrastającą ludność na miejscu. Nadto ciężka służba wojskowa, wysokie podatki i inne ciężary państwowe, które po wojnie francuskiej znacznie wzrosły, wreszcie prześladowanie religijne za czasów *kulturkampfu* nie omieszkały wywrzeć silnego wpływu dodatkowego, zwiększanego przez wzrost żeglugi niemieckiej z Hamburga i Bremy, a więc ułatwienie komunikacyi z Ameryką.“ (Str. 97).

Królestwo Polskie ma pierwsze próby wychodźtwa za morze z osad fabrycznych (Pabianice, Zgierz, Ozorków) po zamianie drobnego przemysłu tkackiego na wielki około 1876 roku. „Wychodźtwo ludności wiejskiej zaczęło się i rozwinęło silniej tylko w części kraju, leżącej wzdłuż granicy pruskiej, gdzie ludność, mająca stosunki po drugiej stronie granicy, ulegała wpływowi, idącemu stamtąd, nadto zaś miała bliższą drogę do niemieckich portów i większą łatwość opuszczania granic państwa. Ruch wychodźczy opanował gubernie: płocką, warszawską, suwalską (przeważnie w części zamieszkałej przez ludność litewską), potrosze kaliską i piotrkowską. Gubernie te, a właściwie ich powiaty, bliżej granicy leżące, zaczęły dawać i dotychczas dają główną masę wychodźtwa ludności rolnej. Ten stopniowo rozwijający się ruch wychodźczy w stosunkowo bardzo małej części kraju trwał w swoich rozmiarach i granicach do roku 1890, w którym rozwinęła się znaczna, dwuletnia gorączka brazylijska, ogarniająca większy o wiele obszar i zabierająca za ocean znaczną ilość ludności miejskiej, zwłaszcza z Warszawy i Łodzi. Po okresie agitacyi brazylijskiej ruch wychodźczy za morze osłabł, a jego miejsce zajęło silne wychodźtwo czasowe z tych samych powiatów nadgranicznych, z których ludność udaje się obecnie bądź do ziem niemieckich, bądź do prowincyi polskich Prus, gdzie znajduje pracę w gospodarstwie rolnem, zastępując w znacznej części miejscową ludność polską, mającą większe potrzeby i szukającą wyższych zarobków w Niemczech. Dotychczasowy ruch wychodźczy w Królestwie jest właściwie objawem miejscowym, ogarnia bowiem tylko część kraju, bardziej wystawioną na wpływy, idące z poza granic państwa. Kraj, jako całość, dotąd nie został w ogólno-europejski ruch wychodźczy wciągnięty. Chwilowo tylko silna agitacya agentów kompanii okrętowych, zdołała wywołać gorączkę emigracyjną, grożącą rozszerzeniem się na kraj cały ruch ten wszakże pod rozmaitymi wpływami, a przedewszystkiem skutkiem ustania agitacyi, przerwał się. Można powiedzieć, iż większa część kraju jest dotychczas przez ruch wychodźczy wcale nietknięta. Jest to fakt, z którym się trzeba liczyć, gdyż skutki jego mogą być bardzo doniosłe.“ (Str. 99—100).

W Galicyi wychodźtwo za morze rozpoczęło się około r. 1880, bardzo nieznaczne w skutkach. Dopiero w latach 1895—96 wskutek agitacyi ruch zaczął się gorączkowy, kierujący masy ludu do Brazylii i Kanady. Ustał zaś z tych samych przyczyn, co i w Królestwie Polskiem. „Przy traktowaniu sprawy wychodźczej w Galicyi nasuwa się analogia z takimi krajami, jak Irlandya i Włochy, które przez długi czas miały wychodźtwo bardzo słabe, naszem zdaniem, dzięki temu, że lud pozostał tam dłużej, niż gdzieindziej, na nizkim poziomie kultury i posiadał niższą znacznie skalę potrzeb. W warunkach takich gromadzi się materyał, który pod wpływem postępu kulturalnego i wzrostu wymagań do życia może wytworzyć ruch wychodźczy, przechodzący w *exodus*. Zresztą analogii nie trzeba tu szukać daleko: dostarczają jej ziemie polskie Prus, które już miały swój okres — zajmowały jedno z pierwszych miejsc w Europie pod względem siły ruchu wychodźczego, zabierającego, jak już wspomnieliśmy, cały niemal przyrost naturalny ludności.“ (Str. 106) [1]).

er.

---

[1]) Podając na tem miejscu streszczenie dziełka p. Dmowskiego, odsyłamy czytelnika do obszerniejszej pracy w kwestyi wychodźtwa, skreślonej piórem

„Czasopismo prawnicze i ekonomiczne“. Rocznik I. Zeszyt 1, 2. Kraków, 1900. Str. 296.

Do niewielu czasopism prawniczych, wychodzących w języku polskim, przybyło jeszcze jedno. Dotychczas mieliśmy zaledwie trzy pisma prawnicze, mianowicie: dwa we Lwowie, „Przegląd prawa i administracyi“ i „Prawnik“, i jedno w Warszawie „Gazetę Sądową“. Obecnie Kraków obdarza świat prawniczy jeszcze jednem wydawnictwem w tym kierunku. Jest to „Czasopismo prawnicze i ekonomiczne“, którego dwa pierwsze zeszyty, stanowiące jedną całość, ukazały się niedawno na półkach księgarskich. Te dwa zeszyty, a właściwie jeden, zatytułowany: „Zeszyt 1, 2“, wskazują nam dostatecznie, z czem mamy do czynienia. Karta tytułowa mówi, że „Czasopismo“ jest „organem wydziału prawa i administracyi uniwersytetu Jagiellońskiego oraz towarzystwa prawniczego i ekonomicznego w Krakowie.“ A więc ma na względzie przedewszystkiem świat prawniczy krakowski, następnie galicyjski. Pomimo to nie przestaje być zajmującem tak dla prawników pozagalicyjskich, jak i dla szerszego ogółu. Jak czytamy w „Słowie wstępnem“, umieszczonem na czele zeszytu, zakres nowego pisma będzie nieco odmienny od zakresu wychodzących dotychczas wydawnictw peryodycznych prawniczych, „czasopisma bowiem istniejące ograniczają się bądź całkowicie, bądź też przynajmniej przeważnie do rozwiązywania kwestyi praktycznych. W przeciwieństwie do nich — mówi dalej redakcya — pragniemy, aby nowopowstające czasopismo zajmowało się *przedewszystkiem* rozwojem teoryi prawa i umiejętności społecznych i aby w ten sposób uzupełniało tę niesłychanie ważną i pożyteczną dla życia prawniczego działalność, jaką rozwijają czasopisma prawnicze, w kraju naszym wychodzące.“ W myśl tej zasady na pierwszem miejscu znajdujemy trzy bardzo poważne artykuły treści czysto teoretycznej, mianowicie: „O naukowem stanowisku prawa rzymskiego po zaprowadzeniu powszechnego kodeksu cywilnego w Niemczech“ przez prof. d-ra Fr. Zolla sen. (str. 1—17), „Determinizm i poczytanie przestępstw w świetle najnowszych badań“ przez prof. d-ra Edm. Krzymuskiego (18—55) i „O warrantach rolniczych“ przez prof. Fr. Zolla jun. (55—71). Następny artykuł prof. d-ra J. Rozenblatta „Reforma prawa prasowego“, jakkolwiek stoi na gruncie teoretycznym, uwzględnia jednak przedewszystkiem prawo austryackie i stosuje się do tegoż prawa przy proponowaniu poszczególnych reform. Cztery pozostałe artykuły (105—214) dotyczą różnych dziedzin obowiązującego prawa austryackiego. Drugą część zeszytu stanowią „Krytyki i sprawozdania“, podzielone na cztery części: 1) Ruch naukowy, 2) Recenzye, 3) Notatki bibliograficzne, 4) Przegląd czasopism. „Recenzye“, jakkolwiek nadzwyczaj starannie opracowane przez prof. d-ra W. L. Jaworskiego, doc. d-ra J. Makarewicza, prof. d-ra Ant. Górskiego i innych, robią jednak przykre wrażenie. Oto autorowie prawie wyłącznie uwzględniają literaturę niemiecką. Na 19 recenzyi jedna tylko omawia dzieło polskie, jedna — włoskie i jedna — francuskie, pozostałe 16 poświęcone są literaturze niemieckiej. To samo wrażenie mamy w dalszym ciągu. „Notatki bibliograficzne“ nie czynią nawet wzmianki o istnieniu literatury polskiej, a „Przegląd czasopism“ wspomina o jednej tylko pracy po polsku. Czyżby w naszej literaturze nie było więcej dzieł i artykułów godnych

---

p. J. Tokarzewicza p. t. „Zamiast kroniki“, a zamieszczonej w zeszycie niniejszym. (*Przyp. Red.*).

zanotowania? W końcu zeszytu mamy kilka stronnic (290—296) „Z kroniki krakowskiego towarzystwa prawniczego i ekonomicznego“. Redakcya z prof. Fr. X. Fierichem na czele obiecuje, że czasopismo ukazywać się będzie w zeszytach, wychodzących trzy do czterech razy na rok w objętości łącznej około 30 arkuszy druku. Każdy zeszyt składać się będzie z artykułów oryginalnych treści prawniczej lub społecznej oraz z działu informacyjnego i krytycznego, obejmującego bibliografię i sprawozdania z prac naukowych. Wogóle zeszyt pierwszy i drugi robi bardzo dodatnie wrażenie i możemy się spodziewać, że nowe czasopismo zapełni tę lukę, jaka oddawna daje się uczuwać w naszej literaturze teoretyczno-prawniczej.

Aleksander Mogilnicki.



Zamiast kroniki.

4-go września 1900.

Trudna rada, trzeba się poddać oczywistości. Główny, zasadniczy, wolny od pobocznych widoków temat prof. Józefa Siemiradzkiego, rozwijany we wszystkich jego pracach i sprawozdaniach brazylijsko-kolonizacyjnych, że „należy rozciągnąć opiekę nad bezładnie emigrującymi do Ameryki chłopami polskimi" — temat ten utrzymał się na całej linii rozpraw, polemik i „zapasów cyrkowych", o których wspominaliśmy w lipcowo-sierpniowym zeszycie „Ateneum", w sprawozdaniu z broszurki tegoż autora-podróżnika p. t. „Polacy za morzem".

Stwierdzili to jednomyślnie zarówno przyjaciele, jak i przeciwnicy prof. Siemiradzkiego. W przedmowie do dwutomowej pracy p. t. „Szlakiem wychodźców" *) dr. Julian Ochorowicz powiada: „Skoro się nie dało powstrzymać tej emigracyi, należało przynajmniej ochronić ją od wyzysku, a jednocześnie pomyśleć o tem, ażeby kapitałom miejscowym zapewnić udział w przedsiębiorstwach,

*) „Bibl. dzieł wyborowych", 1900, t. 133 i 134.

które zagranicznym towarzystwom przynoszą już odpowiednie korzyści"... Nieco dalej dr. Ochorowicz pisze: „Prof. Siemiradzki jest jednym z głównych kierowników założonego we Lwowie Towarzystwa Kolonizacyjno-Handlowego, na którego czele stoi Kazimierz ks. Lubomirski. Towarzystwo to przystępuje do działania na szerszą skalę... Nie zachęcając bynajmniej do emigracyi, Towarzystwo ma na celu pośredniczenie między rządem brazylijskim, który drobnych działów nie sprzedaje, a nabywcami owych drobnych działów; i gdyby w ziemiach polskich nie zebrały się odpowiednie kapitały z drobnych akcyi, jest zdecydowane użyć kapitałów zagranicznych, byle tylko uchronić emigrantów krajowych od wyzysku obcych agentów". Wspomina następnie dr. Ochorowicz o ciężarach współzawodnictwa zawiązującego się Towarzystwa polskiego z zagranicznemi; oprócz licznych drobnych przedsiębiorstw parcelacyjnych czynne są obecnie w Brazylii dwa wielkie Towarzystwa niemieckie, z siedliskiem w Hamburgu i Lipsku, każde z kapitałem 1,200,000 marek, a także włoskie, z siedzibą w Medyolanie i z kapitałem 3 milionów lirów. Nadmieniając jednocześnie, że zawiązujące się czy też zawiązane już we Lwowie polskie Towarzystwo Kolonizacyjno-handlowe ma zapewnioną opiekę władz austryackich oraz pomoc konsulów austro-węgierskich w Brazylii, dr. Ochorowicz tak kończy przedmowę, polecającą i pracę i osobę prof. Siemiradzkiego: „Gdyby nie powstało podobne Towarzystwo polskie, znaczna część osadników naszych, umyślnie rozrzucanych na znacznych przestrzeniach przez pośredników niemieckich, u t o n ę ł a b y p r ę d z e j czy później w otaczającym ich żywiole cudzoziemskim". Wniosek, jaki się z powyższego nastręcza widocznie i nieodbicie, brzmi otwarcie: że zarówno interes publiczny, jak i patryotyzm, nakazują wspierać Towarzystwo lwowskie w jego usiłowaniach zakupywania obszarów gruntu od rządu brazylijskiego i parcelowania takowych między wychodźców polskich i rusińskich, bądź to już osiadłych w Brazylii, bądź zamierzających się przenieść do stanu Parana z innych stron Ameryki.

W zarysach kostnych, z pominięciem wszakże istniejących już prób organizacyjnych (we Lwowie), a z wyraźnem i niekiedy dobitnem wykluczeniem zachęt lub aluzyi osobistych (pr. Siemiradzki) temat d-ra Ochorowicza (również bezimiennie i ogólnikowo) poparli też w ostatnich czasach dwaj nasi podróżnicy parańscy, pp. Dmowski („Wychodźtwo i osadnictwo", Lwów, 1900) i Bielecki („Listy z Brazylii" w odcinkach „Gaz. Polskiej", 1900). Ważną usługę wyświadczył p. Bielecki społeczeństwu, przyczyniając się swemi zwię-

złemi, treściwemi, na licznych i nieraz drobiazgowo zebranych faktach opartemi sprawozdaniami do dokładniejszego oświetlenia pytania: jakie to mianowicie korzyści, prerogatywy, ułatwienia i widoki społeczne ciągną chłopów naszych za Atlantyk. P. Dmowski znowu większy nacisk położył na szersze, ogólno-europejskie i poniekąd historyozoficzne przyczyny i powody ruchu emigracyjnego. Dobitnie wykazawszy: że sam rozwój cywilizacyjny, same warunki tegoczesnego życia towarzyskiego, podnoszące ciągle skalę materyalnych potrzeb w najniższych nawet warstwach ludności, stają się głównem i w wielu sytuacyach nieprzepartem źródłem wychodźtwa; że postęp przemysłu, dostarczając zajęć zarobkowych narastającej masie proletaryatu wiejskiego, zwęża do pewnego stopnia i łagodzi pobudki do wynoszenia się z kraju rodzinnego i że faktycznie główna masa wychodźtwa współczesnego pochodzi z krajów rolniczych; że wreszcie naturalny przyrost potrzeb i ludności, wiążąc się z bodźcami drugorzędnymi, z powabem rozdmuchiwanych przynęt zamorskich, z udogodnieniami komunikacyi szybkiej i taniej, z agitacyami rządów i agentur amerykańskich, czyni ruch wychodźczy zjawiskiem powszechnem na starym lądzie europejskim, wytwarza z niego gatunek konieczności nieodbitej i niepowstrzymanej, — p. Dmowski wplata z kolei w nieubłagane, ostre to koło konieczności cywilizacyjnej zniechęconą, znękaną, ciemną, podjudzoną, podniecona masę własnego naszego wieśniactwa i kreśli krótką historyę zarobkowej, za groszem i ziemią goniącej emigracyi polskiej od jej pierwszych stalszych śladów szląskich w Texas około r. 1860 aż do powszechnie znanych gorączek brazylijskich z lat 1890—91 i 1895 - 96.

Dla pomysłów i projektów organizacyjnych prof. Siemiradzkiego ważne są bardzo motywa wstępne i konkluzye p. Dmowskiego. „Skutkiem wybitnej odruchowości — pisze on — znamionującej nasze życie umysłowo-moralne w dobie obecnej, z przemijaniem zjawiska mijają u nas zwykle i rozprawy nad niem, tak, iż prędzej przestajemy sprawą się zajmować, niż zdążymy czegokolwiek się o niej nauczyć”... Chwilowo po r. 1896 owczy pęd naszego wychodźtwa wiejskiego osłabł nieco, nie znaczy to jednak, aby wolno było stąd wnosić, że się już nie ponowi. Przeciwnie, „dotychczasowe wybuchy ruchu emigracyjnego tak w Galicyi, jak w Królestwie Polskiem, należy właściwie traktować, jako ostrzeżenia tylko na przyszłość, jako wskazówki, iż materyał do wychodźtwa istnieje w kraju w olbrzymich rozmiarach”. A w innem miejscu, uzupełniając i uwydatniając swe twierdzenie, p. Dmowski dodaje: „Ruch wychodźczy, rozwinąwszy się w Królestwie Pol-

skiem, będzie miał, jak we wszystkich krajach ze słabo rozwiniętym przemysłem, widoki na długą trwałość, tem bardziej, iż w części kraju, nie tkniętej nim dotychczas, istnieją obszary, jak np. gubernia kielecka, posiadające najgęstszą z całego Królestwa ludność rolniczą". Gorzej jeszcze z Galicyą, tem gorzej, że pochopność do wędrówek zamorskich płynie tu dziś przeważnie nie z nizin nędzy i ubóstwa, lecz z wyżyn względnej zamożności... duchowej. „Wprawdzie — powiada autor —przyrost ludności w Galicyi wskutek wielkiej śmiertelności jest znacznie słabszy, niż w Królestwie i nie dochodzi nawet $1^0/_0$; to wszakże kraj ten dziś już ma znacznie więcej mieszkańców, niż wyżywić może, gdy tymczasem poziom kulturalny ludności w dobie obecnej szybko bardzo tam się podnosi, na co wpływają przedewszystkiem postępy szkolnictwa ludowego w okresie autonomicznym. Nieunikniony jest przy nim współrzędny wzrost potrzeb życiowych, który prędzej czy później wywołać musi silny, długie lata trwający ruch wychodźczy. Może on tu nawet przybrać rozmiary nienormalnie wielkie i niema żadnej pewności, czy Galicya nie dostarczy po Irlandyi drugiego przykładu kraju, wyludniającego się przez emigracyę".

Poglądy pp. Bieleckiego i Dmowskiego widocznie wpłynęły z kolei i na ostatnie roździały relacyi ich towarzysza podróży po Brazylii, p. Artura Gruszeckiego — relacyi, świeżo ukończonej i zamkniętej w „Tygodniku illustrowanym". Nie można bez ubliżenia słuszności utrzymywać, iżby końce w sprawozdaniu autora „Tuzów" i „Szachrajów" ideowo się różniły i odskakiwały od początków lub logicznie z nimi się kłóciły. Ale zestawiając artykuły wiosenne z przedjesiennymi (28 kwietnia = 18 sierpnia), niepodobna nie zauważyć głębokiej, prawie rażącej różnicy w tonie, zabarwieniu, dążności, w celowym kierunku dowodzeń i wywodów, tam i tu użytych. Przypomnijmy sobie niektóre zarzuty, poczynione od wstępu dawniejszym pracom prof. Siemiradzkiego („Za morze", „*La Nouvelle Pologne*") lub tym, które pod jego imieniem podstępnie jakoby wydane były, np. „Opis stanu Parana" w edycyi drugiej, z r. 1896; przypomnijmy „niezgodne z rzeczywistością, niemiłosiernie przesadzone lub z gruntu fałszywe" przedstawienie bogactw naturalnych Parany, zapomóg rządowych, ułatwień przewozowych, siedzib rozkosznych, pól bezpłatnych, smakowitego pożywienia emigrantów albo też — jak we „Wspomnieniach" p. Stanisława Kłobukowskiego — gotowych brylantów w rzece Tibagy... A dalej — owe domyślnie podsunięte obrazy portów polskich w Paranagua

i sejmów polskich w Kurytybie, stolicy stanu, gdzie „Brazylianie znajdują się w ogromnej mniejszości" i gdzie przy otwarciu posiedzeń reprezentacyi prowincyonalnej już tych Brazylianów wcale nawet nie widać, republikę zaś — na wzór tego, co się w końcu wieku XVIII-go działo z boginią rozumu w Paryżu — uosabia jedynie „dziewczę w krakowskim stroju z brazylijską chorągwią, w asystencyi konnej banderyi Krakusów". Mowa polska i domy polskie po miastach — naturalnie w proporcyi odpowiedniej, którą jednakże p. Gruszecki po ściślejszem nieco, niż u prof. Siemiradzkiego, obliczeniu sprowadzić musiał do ram nieskończenie węższych, zapewniając np., że z 2,208 domów w Kurytybie należy do Brazylijczyków 780, do Portugalczyków 223, do Niemców 650, do Włochów 411, do Polaków... 58. Przypomnijmy wreszcie owych pp. Bendaszewskich, którzy, według wiadomości, podanej przez p. Hempla („Polacy w Brazylii"), byli głównemi sprężynami gorączkowego ruchu emigracyjnego w Królestwie Polskiem w r. 1891 i tym sposobem, to jest „na krwi i śmierci emigrantów" (słowa p. Gruszeckiego) dorobili się znacznych majątków... Zapewne, autor „Rugi wojskich" i „Kretów" punktualnie i najskrupulatniej, a we właściwej porze odgrodził prof. Siemiradzkiego od cienia jakiejkolwiek solidarności z Bendaszewskimi; nie mniej, na podstawie ścisłych przytoczeń z jego właśnie prac wysunął na czoło swego referatu szereg pytań, których osnowa zdawała się niemylnie i najprostszą drogą prowadzić do potępienia, a przynajmniej do zaniechania, do odroczenia robót przygotowawczo-organizacyjnych, podjętych z inicyatywy, czy tylko przy współudziale prof. Siemiradzkiego przez lwowskie Towarzystwo handlowo-kolonizacyjne. „W jakim celu, na co i po co wprowadzać w błąd czytelników?... Po co wystawiać biedaków na śmierć głodową lub nie o wiele od niej lepsze poddaństwo dożywotnie? Komu i dlaczego potrzebne są łzy nieszczęścia ludzi, wywabionych z kraju?... I co, kto, w jakich widokach skłania chłopów polskich do emigracyi kosztownej, pełnej zasadzek, niebezpieczeństw, upokorzeń i niezmiernie uciążliwego, długoletniego przystosowywania się do całkiem obcego, zabójczego nieraz otoczenia? — Ludzie ci przecież mogliby być pożyteczni w kraju... Jedni z jadących ze mną zarabiali w roboczy czas do dwóch złr. w. a. dziennie, drudzy byli gospodarzami małorolnymi, inni trudnili się szewstwem, malarstwem, tak, iż ostatecznie mieli byt zapewniony i nie byli bez środków, opłacili bowiem kolej do Bremy... Emigrują bądź co bądź jednostki energiczniejsze, dzielniejsze, któreby mogły i w kraju ojczystym wyjść zwycięsko w walce o byt"...

Drażliwości zbyteczne, zagadnienia niepotrzebnie kłopotliwe! — skoro one, tak czy inaczej, nieodzownie pójść będą musiały jedynie na podściół i użyźnienie konieczności cywilizacyjnej, ogólno-europejskiej i specyalnie galicyjskiej, autonomiczno-wychowawczej, wypierającej wieśniaków polskich z siedzib odwiecznych, z podłoża ojczystego i zniewalającej ich — za przykładem starszych ongi braci — „deptać obcych ludów łany". W karbach fatalizmu, rugującego chłopa naszego z tych samych kawałeczków ziemi, na których wędrowny Niemiec dorabiał się w dawnej Polsce i po dziś dzień się dorabia niekiedy fortuny i nobilitacyi, spór o większą lub mniejszą dokładność przesłanek prof. Siemiradzkiego jest tylko sporem o cent tańszej, o kopiejkę droższej ruiny naszej gospodarczej i narodowej. Nie będzie tego centa miał w swym worku emigrant, to go na poczekaniu pańszczyźnianem zaforszusuje hamburska spółka kolonizacyjna, a zapragnie-li Lwów z Hamburgiem wziąć się rywalizacyjnie za bary, to koszta podróży i walki pokryją ze swych portmonetek prof. Henryk Siemiradzki, książę Kazimierz Lubomirski, krakowska rada municypalna, przemyska kasa oszczędności i reszta akcyonaryuszów „krajowych". Niema na to ratunku, przeto w epilogu swych protestów, swych krytyk siarczystych p. Artur Gruszecki dał nareszcie i swoje przyzwolenie na kombinacyę przygotowawczo-wywozową, chociaż nie bez pewnych zastrzeżeń i nie bez ciężkich, może nawet bolesnych rozpraw i tranzakcyi ze szlachetnem swem współczuciem dla niedoli chłopa polskiego. „Jesteśmy krajem przeludnionym — pisze w swej kapitulacyi... chcieliśmy powiedzieć rekapitulacyi, p. Gruszecki — bo gdy na kilometr kwadratowy liczą Prusy wschodnie 55 mieszkańców, Królestwo Polskie ma 75, a Galicya 90". „Brak przemysłu (? gdzie? w jakich stronach?), wielka podaż rąk roboczych i trudność zarobku (? na jakich trzęsawiskach? po jakich norach?) — powodują głód i nędzę, a to są źli doradcy w życiu i skłaniają biedaków do bezwzględnej wiary w każdy promyk nadziei poprawienia losu, choćby za dziesiątemi górami i morzami, choćby tam na nich oczekiwały cierpienia, choroby, głód, a bardzo często śmierć... Z tego, że występuję przeciw Towarzystwu kolonizacyjno-handlowemu, bynajmniej nie wynika, że jestem przeciwnikiem każdej działalności w kierunku emigracyi i emigrantów... Z tego, co widziałem i doświadczyłem, uważam Paranę za kraj odpowiedni dla naszej emigracyi... Roztoczenie opieki moralnej i materyalnej nad emigrantami, tak w drodze, jak i na miejscu, jest rzeczą konieczną i potrzebną... Wreszcie 45,000 Polaków za morzem, Polaków w dodatku tak dzielnych i energicz-

n y c h, stanowi dla nas poważny zawiązek i nie wolno nam o nich zapominać... Ale na to nie trzeba wspaniałych delegatów ani komiwojażerów z próbkami towarów, ani twórców partyi socyalistycznych w Paranie, gdzie każdy, znając stosunki, przy pracy posiądzie ziemię i niezależność, — nie trzeba znakomitych agitatorów, nie potrzeba protekcyi ministrów, łaski Brazylijczyków, sążnistych biletów wizytowych — tylko ludzi czynu i pracy"... — tych ludzi pracy i czynu, — zakończmy to od siebie, — o których tak niezmiernie, tak natarczywie, tak okrutnie dopominają się u nas, na miejscu, wszystkie dziedziny, wszystkie odłogi, wszystkie zakątki przedsiębierczości życiodawczej, pokrzepiającej, odnowczej, ocalającej...

Niema rady. W obrachunku niewątpliwie już tym razem ostatecznym, likwidacyjnym, zwycięstwo oświadczyło się za tezą i programem prof. d-ra Henryka Siemiradzkiego. Pozostało tylko rozważyć i rozstrząsnąć pytanie: jakie wyroki na naszych włościan i na nas zapadły w jego najświeższem, dwutomowem dziele „Szlakiem wychodźców".

Na samym froncie — mapka sytuacyjna kolonii rolniczych w południowej Brazylii. Nie widać już na niej, jak na mapce przy „Opisie stanu Parana", ani pól dyamentowych, ani obszarów, połyskujących kopalniami złota, miedzi, rtęci... Według zaświadczenia p. Gruszeckiego, p. Poznański, jubiler w Rio de Janeiro (ul. Ourives 78) posiada jeszcze trochę „brylantów", przysłanych do oceny przez Polaków z Parany, ale, jak się pokazało, są to najzwyczajniejsze krzemienie. Rtęć, miedź, złoto, dyamenty prawdziwe oddawna zapewne, przed Polakami, wyzbierane zostały przez liczne kolonie niemieckie i włoskie, grubymi i gęstymi rysami zalegające na nowej mapce prof. Siemiradzkiego pobrzeża Oceanu, ujścia rzek głównych, stacye węzłowe kolei, miejskie ogniska przemysłu i handlu. Obok nich, za nimi, w oddaleniu, posunięci w głąb lasów, w wąwozach gór, kupkami luźnemi, rzadko gdzie skoncentrowanemi i zgęszczonemi, rozsiani bezładnie, gnieżdżą się chłopi polscy. Największe ich odłamy umieściły się na północ i południe od Kurytyby. Poza tem, w odległości mil kilku, kilkunastu i kilkudziesięciu na zachód i południe, naliczysz w Paranie jeszcze kupek polskich ze dwadzieścia, bez arteryi komunikacyjnych, bez widomej pomiędzy odrębnemi ciałkami spójni. W dwu innych stanach brazylijskich, położonych kartograficznie poniżej Parany, klimatycznie umiarkowańszych, chłodniejszych, jest zaledwie po parę na bezludziu zatraconych osad naszych: w Santa Catharina dwie, obie ściśnięte przez Niemców i Włochów, a z tych jedna nad morzem; w Grande de Sul

— trzy, w odosobnieniu rozpaczliwem. Nadto spostrzegamy jedną większą kolonię polską, przerzuconą aż do Argentyny, z bardzo znaczącą nazwą „Apostolos".

Mapka niewesoło uspasabia; wynagrodzi to czytelnikowi podróżnik zajmującą, humorystycznie skreśloną introdukcyą. Już dr. Ochorowicz uprzedził w przedmowie, w jakich to warunkach powstał opis podróży, odbytej przez prof. Siemiradzkiego przed czterema laty (1896). Pragnęła „Biblioteka dzieł wyb." zapoznać (?) swych prenumeratorów „z materyałem, niezbędnym do wyrobienia sobie pojęcia o całym tym ciekawym procesie emigracyjnym", uprosiła przeto prof. Siemiradzkiego, „który dwukrotnie jeździł do Brazylii ze specyalnym celem zbadania miejscowych kolonii polskich, o wypracowanie popularnego opisu ostatniej podróży, odbytej z polecenia i kosztem wydziału krajowego we Lwowie"... Popularyzacyę autor pojął modernistycznie, w duchu czasu, że zaś czteroletni przedział między faktem a opowiadaniem zarzucił nieco cienia na przedmiot, odświeżył go opowiadający kolorystycznym obrazkiem rozmowy z d-rem Sawczakiem, członkiem wydziału krajowego, który „pewnego pięknego poranku majowego 1896 r." przybył o nader wczesnej godzinie do mieszkania prof. Siemiradzkiego i kazał służącemu rozbudzić pana. Przeprosiwszy za „negliż", gospodarz z podznaczonym sarkazmem wysłuchał propozycyi wydziału: przejechania się przez Atlantyk i wzdłuż Parany sumptem rządu a w towarzystwie księdza Wolańskiego z Trembowli, jako delegata Rusinów, przyczem dr. Sawczak oznajmił dość kategorycznie, że z księdzem Wolańskim pojedzie jego żona. „Po omówieniu bliższych warunków" prof. Siemiradzki się zgodził, zrzuciwszy tylko z siebie odpowiedzialność za żonę, która też rzeczywiście umarła w drodze, na ziemi już brazylijskiej; owdowiały kapłan mężnie jednak i do końca znosił trudy i niebezpieczeństwa koczowniczego żywota na tych dzikich polach Ukrainy romańskiej, pomyślnie niekiedy walcząc z narowami wierzchowców brazylijskich, chrzcząc w czambuł dziatwę nowo i dawno narodzoną, wiążąc stadła, przekładające „byle jaką" sankcyę kościelną nad żadną, i dostarczając prof. Siemiradzkiemu obfitego materyału do rozmaitych zabawnych komentarzy i anegdot. Drobnych przygód i scen rodzajowych nigdy i nikomu na obczyźnie nie zabraknie, a prof. Siemiradzki umie korzystać z niewyczerpanego tego zasobu swady myśliwskiej i podróżniczej. Zanadto wszakże bywa czasami „objektywnym", za mocno w skórę obojętności turystowskiej obszytym. Ton jego staje się z tego względu niemal ironicznym przy zetknię-

ciu się z nędzą i głupotą chamów polsko-rusińskich. Zaraz po odpłynięciu w dniu 24 czerwca z Hamburga statku „Amazonas”, wiozącego do Rio-Janeiro i portów południowej Brazylii grubo pod pokładem stłoczoną masę galicyjskiego emigracyjnego towaru, nieprzyjemnie uderza nas filistersko-amatorska ta farba na palecie „delegata krajowego”. Kłótnia o jadło dwu „rozindyczonych bab w kożuchach, od których zapach baraniny sięgał daleko”, odmalowana z flamandzka po kołomyjsku, nie dorzuci ani jednego nowego listka wawrzynu do wieńca znanych i uznanych zasług prof. Siemiradzkiego na polu odkryć lingwistycznych i etnograficznych.

Po wytknięciu tej jednej — całkiem formalnej niestosowności, tej jednej przesady, trafiającej, co prawda, w samo sedno tegoczesnych naszych arystokratyczno-żydowskich, fabryczno-wykrochmalonych, małomiejsko-wytrefionych antypatyi do rozzuchwalonego bezpoddańczego bydła wiejskiego, wyznać trzeba, że książce prof. Siemiradzkiego, jej stylowi, układowi, metodzie, mnóstwu zawartych w niej wiadomości, postrzeżeń i poglądów żadnych cięższych zarzutów nie odważylibyśmy się postawić. Praca jest — a przynajmniej wydaje się sumienną, opartą na notatkach, spisywanych doraźnie, na miejscu, pod świeżem wrażeniem wieloramiennych, zbieżnych i rozbieżnych wycieczek częściowych, których punktem środkowym i oryentującym: Kurytyba, stolica stanu Parana. Nie opisać, nie powtórzyć tych skoków i przeskoków, w lewo, w prawo, na zachód, na północ, na południe od Kurytyby! W drugiej połowie pierwszego tomu dostajemy się do Rio-Janeiro i stąd do Sao-Paulo, stolicy stanu, położonego na północ od Parany i noszącego toż samo miano Sao-Paulo; w pół drogi z Sao-Paulo do Santos zwiedzamy najbardziej północną, więc w najgorętszej strefie położoną kolonię polską Capivary (Rio-Pequeno). Od stacyi kolejowej Sao-Bernardo dojeżdża się omnibusem do miasteczka tegoż imienia. W Sao-Bernardo, „posiliwszy się w oberży u jakiejś fertycznej i wcale dobrze po polsku mówiącej Niemki, siedzimy już na siodłach ku wielkiemu umartwieniu ks. Wolańskiego, który tego sportu nigdy w życiu nie uprawiał... Stopniowo wjeżdżamy w okolicę coraz bardziej lesistą i górzystą; po obu stronach drogi ciągną się rozległe poręby: co kilka kroków drewniane domki kolonistów polskich. Zewsząd unoszą się gęste dymy palonej rossy, przygotowywanej pod wiosenne zasiewy... Po kilkugodzinnej jeździe stajemy na wieczór w domku administracyi kolonialnej. Znana wiadomość o naszem przybyciu obiegła już całą kolonię; przed gankiem zebrała się gromada bliższych gospodarzy, mając na swojem czele najpoważniej-

szego z nich, Niedzielskiego. Na nasze „pochwalony” huknęli Maćki „na wieki”, aż echo po lesie daleko się rozległo, a obstąpiwszy nas szczelnie, jeden przed drugim o nowiny z kraju dopytywać zaczęli, zapraszając usilnie do siebie... „ot tu zaraz, parę kroków”... kujawskich i mazowieckich. Wyglądają dzielnie i zdrowo, miny gęste i zadowolone z rezultatów, ciężką pracą osiągniętych. Żaden już z nich nie wierzy, jak w chwili wyjazdu z kraju, o zbieraniu dyamentów na ulicy... Z wyjątkiem nowych przybyszów noszą się już z brazylijska; w szerokich filcowych kapeluszach i *poncho*, tylko ciężkich juchtowych butów pozbywać się nie chcą... Okrom kilkudziesięciu rodzin galicyjskich, przybyłych w r. 1895 z księdzem Trawińskim, oraz kilkunastu rodzin Litwinów i Żmudzinów wszyscy koloniści pochodzą z Królestwa Polskiego (1892)”... Z Santos dostajemy się morzem do głównego portu w Paranie, Paranagua, a stąd koleją żelazną, przez góry i lasy dziewicze, do Kurytyby. Tu delegaci nasi przedsiębiorą szereg wycieczek kresowych, epizodycznych, opuszczając i wracając raz po raz do stolicy, której okolice bliższe, gęsto zasiane kolonistami polskimi, postanawiają zlustrować później pod koniec wyprawy. Zwiedzają tedy: 1-o S. Jose dos Pinhaes, miasteczko, położone o trzy mile drogi konnej w kierunku południowo-wschodnim, wśród równin „pustego i nudnego” płaskowzgórza, rozciągającego się aż ku widniejącym zdala wyżynom nadmorskim, które właśnie przebyli niedawno przedtem, jadąc koleją z Paranaguy do Kurytyby; 2-o osady polskie nad rzeką Iguassu i za nią, dalej na zachód i północ, w głębi kraju, poza puszczami i stepami ukryte: Rio dos Patos, S. Mateus, Rio S. Claro; 3-o w powrocie stąd do Kurytyby statkiem parowym, konno lub koleją, pasma zaścianków stepowych na Campo Largo, wraz z koloniami S. Barbary i Palmeiry; 4-o nowym zwrotem na południe, koleją z Kurytyby do niemieckiego miasteczka Rio Negro, osadę Lucena, której ludność, tak samo, jak w Rio-Claro i na innych starszych już nieco porębach i nowinach (z r. np. 1892), stanowią wychodźcy z Królestwa Polskiego pośrodku, zaś na liniach dalszych przybysze świeższego autoramentu z Galicyi, Rusini i Mazurzy, „żyjący z sobą w nader przykładnej zgodzie”; 5-o w okręgu Sao Bento, na samej prawie granicy Parany i stanu S-ta Katharina, zniemczone lub niemczące się dokoła miasteczka Rio Vermelho wioseczki p o l s k i e: Wunderwaldstrasse, Banadostrasse, Bismarckstrasse i Humboldstrasse... Następuje raz jeszcze powrót do Kurytyby, odwrót do Paranaguy, a stąd odjazd morzem na południe, do stanów S-ta Ca-

tharina i Rio Grande de Sul, gdzie w gąszczu osadnictwa niemieckiego i włoskiego, w klimacie znacznie umiarkowańszym od parańskiego ocalały jeszcze gdzieniegdzie szczątki gospodarstwa polskiego, szczegółowiej opisane u Hempla i Kłobukowskiego. Niemcy szerzą się tu i mnożą od lat osiemdziesięciu, w r. 1820, w samej tylko okolicy nadmorskiego miasta Porto Allegre, w miejscowości „dziwnie miłej i wesołej" liczono ich do 20,000. Znacznie później nadciągnęły kolonie włoskie, zniewolone poprzestawać na mniej rozkosznych gajach pomarańczowych, w niejakiem od pobrzeża oddaleniu. Nareszcie, wypychani coraz głębiej w góry i skaliste wąwozy, ostatni przybysze fali emigracyjnej, Polacy oparli się aż na płaskowyżu, ocierającem się bezpośrednio o posiadłości i siedziby indyjskie; „ażeby się do nich dostać, należy odbyć uciążliwą podróż w górę rzeczki Cahy, przez kolonie najprzód niemieckie, później włoskie, aż na sam grzbiet płaskowzgórza, około 2,000 metrów nad poziom morza wyniesiony"... Najdalsza, na tych wysokościach rozłożona placówka n a s z a, Ijuhy, liczyła w r. 1896: rodzin polskich 500, n i e m i e c k i c h 250, włoskich 110, brazylijskich 110, austryackich 50, szwedzkich 30, r o s y j s k i c h 30, hiszpańskich 10, — a „ponieważ rubryka Rosyan obejmuje wyłącznie Litwinów, niemiecka zaś w znacznej ilości zawiera wychodźców z Poznańskiego i Szląska", przeto prof. Siemiradzki podaje ogólną liczbę Polaków w Ijuhach na 600 rodzin, to jest około 3,000 osób.

Czy długo wszystko to razem w tym swoim charakterze polskim się ostoi? a nawet czy zgoła, bez względu na narodowość, przy ziemi się utrzyma? — Pytanie jest zasadnicze, najdonioślejsze. Bierzemy też dla odpowiedzi i przykład z książki prof. Siemiradzkiego najdonioślejszy, najbardziej zasadniczy.

Potrąciwszy luźnie i dorywczo, niemal niechętnie o parę sporadycznych prób kolonizacyi polskiej w stanie Rio Grande de Sul, w pobliżu Porto Allegre, wśród pięknych, umiarkowanem słońcem ozłoconych, „schludnemi i ładnemi fermami niemieckiemi i szwajcarskiemi" opatrzonych gajów palmowych i pomarańczowych — jak np. kolonie Herra de Bicho (200 rodzin z Kujaw i Płockiego), Barao de Triumpho i Marianna Pimental (250 rodzin z Królestwa Polskiego), prof. Siemiradzki nadmienia lakonicznie, że na przeszkodzie rozwojowi osad polskich staje przedewszystkiem brak organizacyi narodowej, zupełne opanowanie przez kupców Włochów, brak szkoły polskiej i czytelni. I wogóle — pisze dalej sz. delegat — „zauważyłem niepochlebny dla wychodźców z Królestwa objaw, iż wszelkie

usiłowania organizacyjne, a zwłaszcza dotyczące zakładania szkół, napotykają u nich na zacięty opór, o ile niema pomiędzy nimi kolonistów z bardziej oświeconych dzielnic kraju, jak Prusy lub Galicya". A o parę wierszy niżej mamy ustęp kapitalny: „Zamiaru odwiedzenia kolonii Silveira Martins, na której było w roku 1890 kilka tysięcy Polaków, zaniechałem, przekonawszy się z wiarogodnych świadectw, iż ani jeden tam nie pozostał. Powodem ucieczki Polaków była pogłoska, puszczona podczas pobytu w koloniach polskich b. ambasadora rosyjskiego Bogdanowa, którego życzliwe zainteresowanie się losem osadników naszych połączono z misyą księdza Chełmickiego, rozgłaszając, iż p. Bogdanow wszystkich życzących sobie powrócić do kraju swoim kosztem odeśle. Pomimo potwornej niedorzeczności podobnej pogłoski znajdowała ona powszechną wiarę, a mnóstwo kolonistów zarówno tu, jak w Santa Catharina i Sao Paulo opuściło pracę i grunty nadane, uciekając do miast portowych, gdzie zmarniało wielu, inni zaś znaleźli zatrudnienie przy fabrykach" (II, 134—136).

A nie trzeba myśleć, że owi uciekienierzy z pod Silveira Martins byli ludźmi pospolitymi — oni, którzy w r. 1890 tworzyli gromadę kilkutysięczną i posiadali „ziemię nadaną" w najpiękniejszej i najżyźniejszej części Brazylii. Byli to prawdziwi wybrańcy losu, zwycięzcy, jakich mało w dziejach, wykuci chyba z żelaza, a przynajmniej ulepieni z gliny takiej, której już się i ogień piekielny nie ima. Wybrnęli oni z katuszy, wobec których bledną może średniowieczne wyobrażenia o mękach „Komedyi Boskiej". Nie zagryzła ich chciwość włoskich agentur przewozowych, nie zabiła wściekła pogarda dla „nierogacizny słowiańskiej" niemieckich dostawców jadła i napoju, nie zażgało słońce brazylijskie, o którem w swoim czasie pisał ks. Chełmicki w „Słowie": „Jeżeli Sienkiewicz powiedział o słońcu hiszpańskiem, że kąsa, to o brazylijskiem cieple powiedziećby należało, że ssie... Czuję w istocie, że się ono wpija w ciało, nerwy, mózg, kości i powoli wysysa energię, siłę, życie. Niema sposobu go uniknąć; dokucza zarówno w pokoju, jak na dworze, pod gołem niebem, jak i w cieniu. Jak ołów, ciąży na głowie, ściska niby kleszczami skronie, a skórę pokrywa tłustością jakąś"... Wszystko to przenieśli na sobie i strawili w sobie nieszczęśni ci banici polscy, szukający chleba i przytułku poprzez niepokonane przedtem dla nich zapory czujności pogranicznej, podejrzliwego i wrogiego przyjęcia sąsiedzkiego, złowieszczej przeprawy przez Atlantyk. Dotarli nareszcie, są w Ameryce. Wiozą ich oto na „Wyspę Kwiatów".

„Jest to prześliczne ustronie — zapewnia prof. Siemiradzki — położone w pobliżu przedmieścia Nictevohy (Rio-Janeiro), gdzie niegdyś trzymano świeżo przywiezionych z Afryki niewolników przed wyprowadzeniem ich na targ. Po zniesieniu niewolnictwa zabudowania przerobiono nanowo i użyto na pomieszczenie emigrantów. Urządzenie przytułku *dziś* jest wzorem, lecz podkreślam wyraz dziś.(koniec r. 1899), gdyż jeszcze w styczniu 1896 r. działy się tu rzeczy, od których włosy na głowie powstają, a których ofiarą padli wychodźcy galicyjscy. W przytułku, mogącym pomieścić wygodnie 2,000 osob, natłoczono 5,000 i trzymano przez całych pięć miesięcy w opuszczeniu i brudzie, namawiając, by zaniechali wyjazdu na kolonie rolnicze, a natomiast poszli do roboty na plantacye kawowe. W zaduchu i upale wybuchnęła wśród wychodźców zaraza żółtej febry i tyfusu, opieka lekarska (jeśli była jaka!) nie wystarczała, brakło wody do picia i prania"... Wdało się w te sprawy miłosierdzie chrześcijańskie -- i coś tam ocalało. Gmach tortury odświeżono... „Atoli — dodaje prof. Siemiradzki — przy panującym bezładzie administracyjnym nie można ręczyć za to, że się dawne opłakane stosunki kiedy znów nie powtórzą"...

Przypuszczacie zapewne, mili nasi psychologowie, estetycy i poeci, błąkający się po otchłaniach natchnień egotycznych i bólów „wszechświatowych", że przecież niedobitków z „Wyspy kwiatów" bez namysłu już obecnie, bez zwłoki, przewieziono do Silveira Martins i ziemie im nadano? Sądzicie zapewne — o wy, czcigodni filantropowie polscy, zakładający po cudownych cottage'ach szwajcarskich wspaniałe muzea pokoju i wojny, że przecież tym razem poprzestano już nareszcie na tyfusie, żółtej febrze, zaduchu, braku wody do picia, zadżumionej bieliznie, konaniu starców na gnoju i zanoszeniu się od płaczu na śmierć dziatwy nagiej, poczerniałej od głodu? — Uspokójcie się! Wobec olbrzymiego, niesłychanego faktu, że kilka tysięcy osiadłych i zagospodarowanych chłopów opuszcza naraz swe zagrody brazylijskie i na pierwszy odgłos możności powrotu na ojczyzny łono, śpieszy w cień i mrok ośpiewanych przez Mickiewicza, odprzedanych przez Niemców na angielskie maszty dąbrów i borów nad Wartą, nad Pilicą, nad Narwią, — wobec tego faktu godzi się odświeżyć co do litery bibułę z przed lat dziesięciu i dwunastu, na której bez echa i odzewu zamarły głosy Chełmickich i Dygasińskich... Toć tych samych właśnie chłopów wpierw, nim zdążyli z „Wyspy kwiatów" dopłynąć do Porto Allegre i nim z porto Allegre doleźli na czworakach do palmowych i pomarańczowych pagórków Silveiry Martins, oglądali oni na lagunach

pod Sao Paulo, Santos, Rio Claro, pełzających na gołej ziemi i w barakach Parany, w budach, skleconych naprędce z desek, w szopach wązkich a długich, wzniesionych na miejscu wilgotnem, tak, iż dopiero po dużych kałużach błota zaledwie dostać się do nich było można... Dość było wejść do wnętrza, aby z kłębów buchającej stęchlizny przekonać się o zabójczym wpływie wilgoci. Barak taki mieścił w sobie 120 ludzi, dla których rozstawiono w dwa rzędy, jedne przy drugich, łóżka żelazne, z wiązkami trawy morskiej, okrytej jakimś plugawym, ohydnym, podziurawionym łachmanem... Mężczyźni, dzieci, kobiety, chłopcy, dziewczęta — wszystko to sypiało razem, a przestrzeń między łóżkami mieli tak wązką, korytarz poprzeczny tak szczupły, że z trudnością przecisnąć się do nich było można... Na dworze zamiast kuchni dwie cegiełki, gdzie w garnku gotowała się czarna fasola z tłuszczem... Porozumieć się, upomnieć o krzywdę krzyczącą, bezczelną nie było sposobu. Włoch, Portugalczyk skradł ci zrana ostatnie zawiniątko z bielizną: goń-że teraz wiatr w polu. Złodziej z językiem swoim trafił nawet do prezydenta Republiki, biedny chłop polski, rozpaczliwie drąc kudły na głowie, stał tylko bezradnie przed tłómaczem, rozumiejącym niekiedy parę słów szwedzkich lub łotewskich, i na migi mu zaledwie coś niecoś mógł wyłożyć... Pędzą go oto do roboty, dają tymczasowo kawałek pola, ale robota jest mu zupełnie nieznaną, równie jak gleba i to, co w niej ma sadzić. Pożywienie odmienne, w pierwszej chwili wstrętem go przejmuje; ryż, kukurydza, faryna, suche mięso, wszystko to w gardle mu staje, faktycznie dławi... A oto zbliża się choroba aklimatyzacyjna, nieodżegnana, niewymownie odrażająca, wrzody, rany, puchlina, świerzb, niemoc. Śmierć zabrała żonę, zabrała chłopaka, on się wylizał; oburącz teraz chwyta się narzędzia, jakie mu do rąk wetkną: młota, kielni, taczki, postronka. Po długich, przytłaczających cierpieniach, złamany, przybity zawodem i rozpaczą, wzdycha teraz, jak do zbawienia — do ruchu, do trudu... Ale akurat na taki moment czyhała *biecho de pe*—pchła brazylijska. Niewidzialnie, nienamacalnie usadawia się ona pod paznogciem nóg i tam w ciągu kilku godzin składa swoje jajko, które po dwu dniach wydyma się w bąbel wielkości grochu z tysiącem małych, ruchliwych żyjątek... Więc znowu nędzarz zwala się na tapczan i osowiały wzrok wlepia w kobietę, po kostki w błocie urobioną, krzątającą się dokoła blaszanki z parującą cuchnącą wodą, gdy dziatwa jej drobna wije się po kątach w dreszczach i ogniach gorączki...

Chwałaż Tobie nareszcie, Boże! Zginął ci wprawdzie piąty i dziesiąty, aleć drugi i trzeci doczołgał się tam jakoś do ziemi obiecanej! Jest teraz u siebie, ma chałupę, trochę przychowku, zaczyna siać żyto, baba mu coś w rodzaju barszczu gotuje na ogniu z mahoniów i palisandrów... Wtem, niby rzęsista ulewa na spieczoną glebę, spada nagle z niebios wieść stugęba, że „dają przejazd za darmo do starego kraju!"... nie więcej, tylko przejazd goły w nagrodę za tyle klęsk, upokorzeń, udręczeń, jęków, ciosów, kalectw, śmierci. I kto żyw, całe to mrowie — bo nie rodzin kilka, nie jedna, druga drużyna młokosów bez grosza, rozumu i doświadczenia, lecz gromada wielotysięczna, spoista, w przeciwnościach życiowych zahartowana, rzuca poza siebie darowizny, nabytki, zaledwie wytrzebione onegdaj zagony, niedostrugane wczora płoty, niedowiązane dachy i hurmem ciśnie się ku wyjściom i przeprawom, które im na wieki z przed oczu uprzątną te znienawidzone i przeklęte obecnie brazylijskie raje, wyśnione, wyzłocone i wydyamentowane nie dawniej, jak przed paru laty pod parciem nieubłaganej, nieprzepartej — według p. Dmowskiego — k o n i e c z n o ś c i przyrodzonej i cywilizacyjnej. Daremne zachody, niemożliwe do ziszczenia nadzieje! Owa konieczność podstępna i mordercza raz jeszcze pokaże startemu na proch i nicość koloniście polskiemu strupieszałe swoje oblicze. Podróżnicy nasi ujrzą zdziczałego rozbitka z pod Silveira Martins, błąkającego się dokoła „odmierzonych" gruntów pod świeżo powstające osady Lucena i St. Mateus. Na jego nieprzytomne, chrapliwe, pełne zgorzkniałej groźby zapytanie, czy „stary kraj" nie przysłał trochę zaoszczędzonego grosza na osuszenie własnych swoich bagien, na przeprowadzenie własnych swoich gościńców, na obmurowanie własnych swoich zwalisk, otrzyma opartą na przeładowanej statystyce szkolnej, peremptoryczną i notoryczną odpowiedź, że kraj stary zabiera się owszem do obmyślenia porządnej, masowej, dobrze zorganizowanej emigracyi, którąby mu raz przecie doszczętnie wymiotła z proletaryatu przedmieścia.

Zresztą, naprawdę kraj ma o wiele pilniejsze do załatwienia sprawy i potrzeby lokalne. Nadchodzą wyścigi jesienne z totalizatorem, na który wypadnie wydostać z kieszeni głuptasów i gapiów nowe jakieś parę kroć sto tysięcy. Rozpoczęto budowę gmachu Filharmonii warszawskiej, która coraz gęściej i częściej subhastowanym ziemianom osłodzi pierwsze chwile przejażdżek po bruku wareckim, a dyrekcyę „Echa muzycznego i artystycznego" wyniesie na trójnóg powagi wszecheuropejskiej. Spalił się wierzchołek wieży na Jasnej Górze, kronikarzom „Biesiady literackiej" i „Niwy pol-

skiej" napędził tyle łez na źrenice, iż po dziś dzień dostrzedz nie są w stanie, jakim sposobem ojciec Rejman zawczasu nie pomyślał o obiciu belek blachą, o opatrzeniu schodek spróchniałych, załamujących się pod nogami pobożnych już od r. 1883-go, kiedy je autor „Potopu" do swej powieści—w zarysie—wprowadzał... A przytem wojna w Transvaalu, wojna w Chinach — i demonstracya na wystawie paryskiej, w podobiźnie kartonowej wynalazków i narzędzi strzelniczych, mających wszelkiej wojnie zakneblować usta jeszcze przed zdobyciem i wysadzeniem w powietrze świętych kolumn wewnętrznego Pekinu... Trudna rada, trzeba się poddać oczywistości!...

Józef Tokarzewicz.



Z żałobnej karty.

† Antoni Mieszkowski,

dzielny publicysta i dziennikarz, zmarł w Warszawie, przeżywszy lat 35. W utworach nowelistycznych, wydawanych pod pseudonimem A. J. Sęka („Nowelle”), wykazywał dar spostrzegawczy i talent literacki, rokujący lepszą przyszłość. Dziennikarstwo, któremu się oddał z całem zamiłowaniem, pochłonęło mu cały zasób sił i darów natury i sprowadziło go przedwcześnie do grobu. Na odpowiedzialnem stanowisku redaktora „Gońca Łódzkiego”, który jemu głównie zawdzięcza swoje powstanie, zasłużył się dobrze społeczeństwu. Zgon jego po tak krótkim biegu życia i w pełni sił i rozwoju duchowego budzi powszechny żal wśród przyjaciół i kolegów po piórze.

† Bruno Abakanowicz,

urodzony w Wiłkomierzu dnia 6 października 1852 r., kształcił się w Warszawie, ukończył chlubnie politechnikę ryską, wcześnie już wykazując niezwykłe zdolności na polu nauk ścisłych. Przez kilka lat był docentem w politechnice lwowskiej, nie mogąc jednak docze-

kać się katedry, poświęcił się pracy zawodowej w dziedzinie elektrotechniki zrazu w Warszawie, potem zaś od r. 1881 w Paryżu, gdzie rozwinął działalność niezwykle ożywioną z początku we własnej pracowni elektrotechnicznej, później, jako dyrektor olbrzymich zakładów „Compagnie française du procédé Thomson Houston". Badania naukowe pociągały go wszakże teraz równie, jak i dawniej w kraju, kiedy wydawał „Zarysy statyki wykreślnej" (1876), „Integrator, krzywa całkowa i jej zastosowanie w mechanice budowniczej", „Nowy sposób budowy zwojów do machin dynamoelektrycznych" i inne cenne przyczynki w „Pamiętniku Akademii Umiejętności", „Kosmosie", „Tygodniu" i t. d. Na obczyźnie, zostawszy współredaktorem tygodnika „*La lumière électrique*", pomieszczał tam prace swoje, które dały mu rozgłos jednej z pierwszorzędnych sił naukowych w obranym kierunku. „Ateneum" również poszczycić się może współpracownictwem ś. p. Abakanowicza: przez kilka lat pisywał on w naszym miesięczniku „Kroniki naukowe" (Ateneum: 1878 r. t. IV; 1879 r. t. I, II, III; 1880 r. t. I) — jedne z pierwszych, jakie u nas pisano. Pod względem ofiarności publicznej nie dał się ś. p. Abakanowicz prześcignąć innym, wspierając hojną ręką tak instytucye krajowe, jak i rodaków w stolicy Francyi, wśród których pozostawił po sobie żywą i wdzięczną pamięć.

Zmarł w willi St. Maur pod Paryżem.

h.





Wydawca: *Wł. Spasowicz*
Redaktor: *Ignacy Chrzanowski.*